POLACY, KTÓRZY ZMIENILI ŚWIAT
SZÓSTY ODCINEK CYKLU

KURS NA MAJDAN, CZYLI W CO GRA OPOZYCJA

GŁOŚNA MOWA ORBÁNA O ROSJI

SIECI

SIECI

NAJWIĘKSZY KONSERWATYWNY TYGODNIK OPINII W POLSCE
Nr 32 (297) 2018
6–12 sierpnia
CENA: 6,90 zł
(w tym 8% VAT)

ILE PZPR W PO I OPOZYCJI

INDEKS 287393 ISSN: 2544-2694

HIPOKRYZJA OPOZYCJI. WYCIĄGAJĄ PiS KILKA NAZWISK Z PZPR W ŻYCIORYSACH, A SAMI MOGLIBY URZĄDZIĆ ZJAZD PARTII KOMUNISTYCZNEJ

eprasa.pl a937fcza1

Letnia promocja

Zamów subskrypcję tygodnika „Sieci” w wersji elektronicznej

a dodatkowo otrzymasz GRATIS:

- ✓ **wSieci Historii** – dostęp do e-wydań miesięcznika w okresie subskrypcji
- ✓ **Sieci EXTRA** – specjalne e-wydanie przygotowane dla czytelników Sieci Przyjaciół
- ✓ **Newsletter** – najlepsze artykuły z portalu wPolityce.pl bezpośrednio na e-mail

12 miesięcy

~~19,99 zł~~

9,99 zł

12 miesięcy

159,99 zł

+

Koszulka

o wartości 103zł

gratis!

www.SiećPrzyjaciół.pl

eprasa.pl a957fc2aa1

Nieobliczalność histerii

Przez trzy lata można się przyzwyczaić do ciągłej histerii, zobojętnieć, stracić czujność. Gdy jednak kończy się skala wrzasku, a produktywność działań spada, w histerykach wybucha desperacja. Brutalna, niebezpieczna i nieobliczalna. Właśnie z takim stanem mamy dziś do czynienia.

Zbigniew Hołdys, przestraszony wykreowaną przez opozycję rzeczywistością, rozmawia z rodziną „przez szyfrowane komunikatory". Boi się, że jego słowa zostaną użyte przeciwko niemu. „Zaczynam widzieć to, co się działo w latach 80. i 70." – wyznaje w TVN24.

Magdalena Środa idzie dalej. „Kaczka orła nie pokona" – pisze, przekonując, że „demokratyczny sen się skończył". „Trzeba organizować podziemie: infrastrukturę, wydawnictwa, uniwersytety (nauczanie początkowe też), trzeba zorganizować system adwokatów, którzy będą bezpłatnie wspierać tych, którzy pójdą siedzieć, i system mieszkań dla tych, którzy się ukrywają. [...] Trzeba nauczyć się z powrotem robić i rozrzucać ulotki, tak by się nie dać złapać, trzeba zacząć się komunikować poza systemem, wymyślić i wyprodukować jakieś symbole (nowe oporniki?)..." – nawołuje.

Jeszcze bardziej zdesperowany jest Jarosław Kurski. „Czekają nas cztery akty wyborcze. To decydujący moment. Ostatni. Jeżeli nie pójdziemy na wybory, »bo i tak sfałszują« – demokracja przegra. Przegra – jeśli pójdziemy z różnych list i podzieleni" – apeluje do czytelników „Wyborczej".

Opozycja żyje w świecie grozy. Histerycznymi zaklęciami wprawia swoich zwolenników w stan emocjonalnego rozchwiania, wskazuje palcem na politycznego wroga i uruchamia natarcie. Kolejne akty ulicznej agresji świadczą o świadomym przesuwaniu granic. Ćwiczone są różne scenariusze destabilizacji. Zdesperowana opozycja chce przeprowadzić skuteczne uderzenie. Zbyt wiele ma do stracenia, by odpuścić.

Marzena Nykiel

Słowo klucz to skuteczność

Kilka tysięcy skarg miesięcznie i ok. 2,5 mld zł zaległości z ostatnich lat – te dramatyczne liczby pokazują skalę problemów, z jakimi zmagają się polscy podwykonawcy budujący w ostatnich latach drogi i autostrady. To często niewielkie firmy, które zostały wynajęte, a następnie wykiwane przez duże zagraniczne koncerny, odpowiedzialne za los poszczególnych inwestycji. Za danymi stoją realne dramaty konkretnych osób, bankructwa przedsiębiorstw i naturalne pretensje do państwa, które pozwoliło na taką skalę nadużyć.

W najbliższym czasie ten bezwład instytucji może się skończyć. Wszystko za sprawą planów Ministerstwa Sprawiedliwości, które zakładają zmiany w prawie blokujące patologiczne scenariusze. Pomysł jest prosty – główny inwestor, którym najczęściej jest wielki koncern, nie dostanie pieniędzy, dopóki się nie rozliczy z podwykonawcami. Zatrzaśnięte mają też zostać furtki, które pozwalały na obchodzenie prawa i przerzucanie wszelkich możliwych kosztów na polskie firmy. W resorcie słychać, że projekt może zostać rozszerzony o branże inne niż drogowa.

Jeśli obóz dobrej zmiany ma osiągać trwałe sukcesy, to ich warunkiem jest powodzenie takich pomysłów. Roszady personalne i wojny na górze to jedno, ale bez poprawy sprawności polskiego państwa będzie trudno o odczuwalną zmianę. Jarosław Kaczyński często powtarzał, że trzeba zerwać z imposybilizmem, niemożnością polskiego państwa. Zobaczymy, czy to się uda.

Marcin Fijołek

Autopromocja

epasa.pl a957fc2aa

SIECI spis treści

36 *Dziś już nikt nie umrze za Rafała*
Marzena Nykiel

51--66 Polacy, którzy zmienili świat *odc. VI*

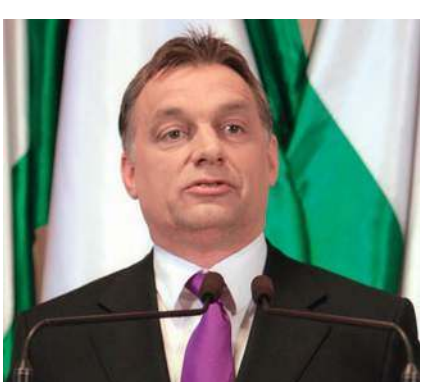

80 O Rosji i Europie
Viktor Orbán

NA POCZĄTEK

6 **SYGNALISTA NADAJE**
Nieoficjalny przegląd tygodnia

8 **DLA RAFAŁA**
Krzysztof Feusette

10 **LATO Z ŻARTEM (4)**
Jan Pietrzak

11 **KONSERWATYWNYM PIĘKNODUCHOM**
Bronisław Wildstein

14 **ŚWIATOWE ŻYCIE**
redaguje Piotr Skwieciński

16 **OGNIEM NA WPROST**
Andrzej Rafał Potocki

17 **KONSTYTUCJA DLA NAUKI**
Marta Kaczyńska

18 **ŚWIAT JEST FASCYNUJĄCY**
Dorota Łosiewicz

19 **PRAWDA NIGDY NIE LEŻY POŚRODKU**
Dominik Zdort

20 **FELIETONY**
Tomasz Łysiak, Piotr Cywiński

TEMAT TYGODNIA

22 **TOWARZYSZE PO LIFTINGU**
Marek Pyza, Marcin Wikło

KRAJ

27 **Z JÓZEFEM ORŁEM**
rozmawia Jacek Karnowski

30 **PARTIA NOWA**
Stanisław Janecki

34 **ZA KULISAMI (PRE)KAMPANII**
Marcin Fijołek

36 **JUŻ NIKT NIE UMRZE ZA RAFAŁA**
Marzena Nykiel

38 **NIEBEZPIECZNY TREND**
Piotr Skwieciński

42 **PRAWO JUŻ JEST, CZAS NA SPRAWIEDLIWOŚĆ**
Konrad Kołodziejski

45 **POLACY MOGĄ ZROBIĆ TO SAMI**
Kajetan Kutnowski

48 **TOŻSAMOŚĆ EUROPY**
Bronisław Wildstein

SIECI KULTURY

67 **PIĘKNO CISZY**
Jolanta Gajda-Zadworna

69 **ZAREMBA PRZED TELEWIZOREM**
Piotr Zaremba

70 **POLSKI ROCK BEZ PIERWSZEJ DAMY**
Adam Ciesielski

71 **TRĄBKA JAK ŻADNA INNA**
Adam Ciesielski

72 **CZYTANIE JAKO SPORT EKSTREMALNY**
Wojciech Stanisławski

74 **POLECA I ODRADZA**
Łukasz Adamski

OPINIE

76 **Z ABP. MARKIEM JĘDRASZEWSKIM**
rozmawia Piotr Słabek

ŚWIAT

84 **GRECJA: PAŃSTWO Z ŁATWOPALNEJ TEKTURY**
Maja Narbutt

87 **KAPITULACJA JUNCKERA**
Jan Rokita

GOSPODARKA

90 **JAK BUDOWAĆ KULTURĘ SUKCESJI**
Debata „Gazety Bankowej"

96 **NORMALNOŚĆ KONTRA TOTALNY ODLOT**
Janusz Szewczak

KUCHNIA

102 **MOJE SMAKI: RODZINKA.PL**
Jolanta Gajda-Zadworna

103 **SŁODKO-SŁONY/WILCZYM OKIEM**
Anna Monicka, Przemysław Barszcz

NA KONIEC

104 **GASNĄCA ISKRA**
Piotr Skwieciński

105 **DOOKOŁA EUROPY**
Krystyna Grzybowska

106 **DATY NIEPODLEGŁEJ**
Wojciech Reszczyński

107 **FELIETONY**
Witold Gadowski, Lech Makowiecki

108 **NAGRODY, TYLKO NAGRODY!**
Aleksander Nalaskowski

109 **WYŁÓWMY „TITANICA"**
Wiktor Świetlik

111 **FELIETONY**
Jerzy Jachowicz, Katarzyna Łaniewska

112 **ZA RAFAŁA!!!**
Ryszard Makowski

113 **TE „WIERSZE WOJENNE"**
Leszek Długosz

114 **POSTĘP SIĘ POTYKA**
Katarzyna i Andrzej Zybertowiczowie

41/0718/F

eprasa.pl a957fc2aa1

Szybki dostęp do lekarza

bez skierowania i kolejki

Wybierz prąd z pakietem medycznym

Zapewnij sobie i swojej rodzinie wsparcie medyczne najwyższej jakości. Zyskaj szybki dostęp do wykwalifikowanych lekarzy (do 24h u lekarza podstawowej opieki oraz do 5 dni roboczych u specjalisty), badań laboratoryjnych, USG i RTG.

Zamów już dziś na energa.pl/nazdrowie

Energa

W ramach Oferty „Energia na zdrowie Premium Rodzinna", obowiązującej od dnia 10 lipca 2018 do dnia 31 stycznia 2019 r., Klienci, którzy są konsumentami, są przyłączeni do sieci dystrybucyjnych Operatorów Systemów Dystrybucyjnych - Enea Operator Sp. z o.o., ENERGA OPERATOR S.A., PGE Dystrybucja S.A, innogy Stoen Operator Sp. z o.o., Tauron Dystrybucja S.A. (zwanych dalej OSD), korzystają z jednostrefowych grup taryfowych lub dwustrefowych grup taryfowych u swojego OSD i nie korzystają z taryfy antysmogowej (grupa taryfowa G12as u dystrybutora), zawrą Umowę kompleksową ze Sprzedawcą i nie korzystają z liczników przedpłatowych zostaną objęci Pakietem medycznym od dnia wskazanego w umowie, nie wcześniej niż po skutecznym przeprowadzeniu procesu zmiany sprzedawcy. Oferta obowiązuje przez okres 24 miesięcy. Zakres usług medycznych oraz świadczeń wykonywanych przez placówki medyczne jest zróżnicowany w zależności od wybranego Pakietu medycznego. Oferta nie obejmuje opłat za dystrybucję prądu. Szczegóły znajdują się u przedstawicieli ENERGA – OBRÓT SA.

eprasa.pl a957fc2aa1

Sygnalista nadaje

Wesele było jednak skromne. Podano (do wyboru) żurek i chłodnik, rybę i kaczkę z kluseczkami oraz oczywiście tort. Najszybciej zniknęły wędzone ryby, głównie mazurski węgorz. Był też grill, który niestety nie chciał się rozpalić i dość mocno podwędził delegację partyjno-państwową syntetycznym zapachem rozpałki. Nikt się nie pokłócił i nikt się przesadnie nie upił. Tańcowano za to do białego rana.

Nerwowo w Kancelarii Prezydenta. Tym razem za sprawą Zdzisława Sokala, prezesa Bankowego Funduszu Gwarancyjnego, a jednocześnie przedstawiciela głowy państwa w Komisji Nadzoru Finansowego. Jako szef BFG powinien się szczególnie troszczyć o stabilność sektora. Tymczasem w KNF zajmuje się głównie atakowaniem banków spółdzielczych. Spółdzielcy skarżą się więc w kancelarii, a prezydent ma kłopot, bo przecież nie popiera szykan wobec małych banków. Na czym zależy Sokalowi – wie tylko on sam. Może w końcu wyjaśni to także prezydentowi.

„[Konrad] Niklewicz podaje Trzaskowskiemu kartkę z informacją, co ma mówić", „Niklewicz mówi Trzaskowskiemu, co ma powiedzieć na następnej konferencji", „Niklewicz każe czekać", „Niklewicz sygnalizuje" – tak „Wyborcza" opisała codzienne funkcjonowanie ***Rafała Trzaskowskiego***. Z obszernego reportażu wyłania się obraz nie tylko kandydata prowadzonego za rękę przez asystenta (zresztą byłego dziennikarza „GW"), lecz również leniwego, zmęczonego, udręczonego kampanią.

Ozdobą ślubu prezesa TVP Jacka Kurskiego i Joanny Klimek (już Kurskiej) była fraszka ułożona przez Marcina Wolskiego. Życzył młodej parze szczęścia, zdrowia, pomyślności i życzliwości ze strony Naczelnika. Choć ceremonia odbyła się w Sulejówku, satyrykowi być może nie chodziło o Józefa Piłsudskiego. Naczelnik nie przybył, ale przysłał sympatyczne, choć krótkie, życzenia, starannie i głośno odczytane. A delegacja partyjno-państwowa była liczna i wysokiej rangi.

Czy „Wyborcza" gra na obalenie Trzaskowskiego i wzorem Wrocławia wystawienie kogoś innego? Raczej nie, bo – po pierwsze – już za późno, po drugie – nie bardzo jest kogo. To raczej szczypanie w ramach targów na zapleczu, które nie potrwa długo. Ale nie pomaga kandydatowi, który już balansuje na granicy śmieszności i który stale traci w sondażach zamawianych przez sztaby. Zwłaszcza w tzw. wskaźnikach miękkich, co wcześniej czy później przyniesie załamanie poparcia.

Trzaskowski i jego przyjaciel Michał Żebrowski skarżą się, że zostali skrzywdzeni nagłośnieniem spotu sprzed 10 lat, na którym znany aktor chwilę przed rozstrzelaniem krzyczy: „Za Rafała!". Bo to nie była parodia egzekucji z czasów niemieckiej okupacji, ale nawiązanie do roli „Kordiana", którego aktor zagrał w 1994 r. Może to i prawda, ale to Żebrowski i Trzaskowski powinni przeprosić. W Polsce egzekucje nie nadają się do skeczy. Za dużo krwi na naszym bruku.

Adam Michnik podziękował prezydentowi Gdańska Pawłowi Adamowiczowi za to, że stanął w jego obronie podczas jednego z wykładów, gdy na redaktora „ruszyła kilkuosobowa bojówka z tzw. Młodzieży Wszechpolskiej". Przy okazji Michnik stwierdził jednoznacznie: „Przyszli po to, by zerwać wykład i sprowokować awanturę. Tak zawsze postępowali i postępują faszyści". Czy zauważył, że dokładnie tak działają kodziarze i Obywatele RP promowani przez „GW"?

eprasa.pl a957fc2aa1

W opozycyjne demonstracje konsekwentnie wplatana jest przemoc. Po raz pierwszy – po stronie protestujących – pojawił się gaz łzawiący. Gołym okiem widać też, że nad scenariuszami siedzą poważne agencje public relations. Ktoś wymyślił akcję z długopisami, ktoś zamówił dużą, przezroczystą urnę. Wokół opozycji kręci się też sporo ludzi ze wschodu, z doświadczeniem kolorowych rewolucji. Owi zawodowi dysydenci bywają większymi radykałami niż nasza opozycja. Taka mała kompensacja.

„Ale i wśród demonstrantów – przyznaje Wojciech Czuchnowski z »GW« – nie wszyscy wyznają zasadę »bez przemocy«, nie wszyscy są grzeczni, a nawet – o zgrozo! – zawsze znajdzie się kilku nie do końca zrównoważanych". Bo „ulica to nie obraz Delacroix. To emocje, dla wielu trudne do powstrzymania". W praktyce, według rzecznika policji, wygląda to tak, że przed Pałacem Prezydenckim „policjanci byli kopani, opluwani, wyzywani, drapani". Jaka III RP, takie bojówki.

Szefową polskiego oddziału Amnesty International jest Serbka Draginja Nadażdin. W wywiadzie dla „Plusa Minusa" wyznała: „Nie mogę w Serbii krytykować rządu, więc przyjechałam do Polski, by tu taka sytuacja nie miała miejsca". Piękny przykład ofiarności. Lepiej by jednak się stało, gdyby pani Draginja albo pojechała do kraju naprawdę zagrożonego zamordyzmem (Rosja, Turcja), albo wróciła do siebie. U nas skutecznie skompromitowała poważną kiedyś organizację.

Kandydatów do Sądu Najwyższego jest prawie 200. I to mimo otwartych gróźb opozycji, w tym ***Włodzimierza Czarzastego***, szefa SLD, który zapowiada: „Wszyscy sędziowie, którzy zgłoszą się przy tych marnych kryteriach do SN, muszą się spodziewać kary". Włodzimierz Cimoszewicz poszedł jeszcze dalej: zapowiedział wyrzucanie z zawodu w okresie depisyzacji. Dziennikarz Jacek Łęski skomentował krótko: bardzo wyważona opinia jak na rodzinne tradycje. Przecież mógł zaproponować strzelanie w tył głowy.

W studiu TVN Zbigniew Hołdys wyjawił, że ze swoją rodziną rozmawia przez szyfrowane komunikatory. Na pytanie nieco zszokowanej dziennikarki, czy aby nie jest to przesada, stanowczo odpowiedział: „Nie!". Bo widzi dziś to, co widział w latach 70. i 80. Opowiedział też, że jadąc do studia, spotkała go niemiła przygoda. „Zauważyłem, że wyprzedził mnie samochód, przejechał przede mnie i gwałtownie zwolnił. Zrobił to trzy czy cztery razy. Tak jakby nie chciał, żebym ja dalej jechał". Szczęśliwie Hołdys dojechał i mógł opowiedzieć o tych represjach „współczesnej SB".

Żona Zbigniewa Ziobry, czyli słynna „Pati Koti", dorobiła się w niemieckich mediach sympatycznej ksywki. Zwają ciepło „babą z jajami". Coś w tym jest. Choć to „ziobrystka" z jednocyfrowym wysokim numerem legitymacji, wychodziła u premiera renty specjalne dla kilku zapomnianych opozycjonistów z czasów PRL. Ale i potężnych wrogów jej nie brakuje. Cóż, tak to jest, gdy wkładasz zbroję.

Szef klubów „Gazety Polskiej" Ryszard Kapuściński tak oto podsumował sytuację w TVP: „Przeciętny widz oglądający programy telewizji publicznej nawet nie zdaje sobie sprawy, że większość programów autorskich prowadzą dziennikarze współpracujący tylko z jednym tygodnikiem". Ciekawa uwaga, bo przeciętny widz rzeczywiście ma wrażenie, że co włączy TVP, to albo prowadzący z „GP", albo goście z „GP", zwłaszcza w prime timie. A i w Polskim Radiu nie tak łatwo usłyszeć kogoś spoza tego środowiska.

Nie ma tygodnia, by w jednym z prawicowych tygodników nie ukazał się jakiś prorosyjski tekst. Oczywiście w ramach szerokiej „debaty". A to ktoś z „Kresów", a to wywiad z jakimś wschodnim „realistą" czy innym fanem Moskwy. Pretekstów wiele, ale efekt jeden: krok po kroku prorosyjskie argumenty wchodzą do obiegu. Czy to tylko zabawa, czy coś poważniejszego?

Ambasador Niemiec w Polsce Rolf Nikel oddał hołd ofiarom Powstania. „Ze smutkiem i wstydem oddajemy hołd pamięci ofiar niewyobrażalnego niemieckiego okrucieństwa w Powstaniu Warszawskim. Oddajemy hołd odwadze Polaków, którzy stawili opór". Na znak pamięci wszystkie niemieckie przedstawicielstwa dyplomatyczne w Polsce opuściły flagi do połowy masztu. Piękny gest. Jeszcze tylko sprawa reparacji i możemy wspólnie, z czystymi sumieniami, zacząć budować przyszłość.

Amerykański polityk, demokrata ze stanu Nowy Jork, Dov Hikind oskarżył polską policję, że 29 lipca miała pobić w Krakowie zwiedzającego synagogę nowojorskiego Żyda, a do tego znieważyć go na komisariacie nazistowskimi gestami. Sprawę szybko wyjaśnił na Twitterze Jonny Daniels: gość był pijany, nie chciał wyjawić swojej tożsamości, a policja została wezwana przez wspólnotę żydowską. Nazistowskie gesty oczywiście sobie wymyślił. Można powiedzieć, sprawa mała, ale metafora całkiem duża.

Fot. Andrzej Wiktor x2, Julita Szewczyk

eprasa.pl a957fc2aa1

Dla Rafała

Szanowna Pani Kingo Gajewska albo ktokolwiek inny ze sztabu naszego kochanego Rafała Czas-Trzaskowskiego (hasło „Czas Trzaskowskiego" podsyłamy za darmo, zwracając uwagę, że można to pisać także jako: „Trzas Czaskoskiego" i będą jeszcze większe jaja) – informujemy uroczyście, że my, Koło Inteligencji Elektoratu Platformy (KIEP), pragniemy dołączyć do akcji „A co ty zrobiłeś dla Rafała?!".

Na wstępie chcemy zaznaczyć, że z wielkim entuzjazmem przyjęliśmy informację, iż do sztabu dołączyła właśnie pani Gajewska. Jej zasługi w dziele robienia czegoś dla kogoś są powszechnie znane, dość wspomnieć jej pamiętną (przede wszystkim – dla niej samej) akcję „skombinowania" papieru toaletowego do szkolnej toalety. Co ciekawe, pani Kinga uczyniła to dopiero w chwili, gdy została wybrana do samorządu szkolnego, wcześniej dzieci skazane były jedynie na to, co zaprenumerował dyrektor placówki. A wiadomo, co musiał w tamtych latach prenumerować. Jakieś wielkie „gie".

Najważniejsze, że dzięki pani Gajewskiej mamy zabezpieczone zaplecze higieniczno-sanitarne, nawet w najodleglejszych zakątkach Warszawy. To szczególnie istotne zwłaszcza teraz, gdy część z nas, dla Rafała, schodzi do podziemia. Na razie zgłosiła się jedna osoba, ale kto wie, czy nie będą potrzebne nieco większe autorytety. Dobrze by było zorganizować tam np. spotkanie z panią Krzywonos, jednak tu zaczynają się schody. Więc może z panią Gretkowską, która twierdzi, że Słowianie mają małe mózgi? Spoko, Manuela, na ciebie dużego nie trzeba.

Na szczęście są wśród nas gwiazdy z nieco większym od pisarki. Taki „pan Tadeusz" Michał Żebrowski oddał za Rafała życie artystyczne i sam sobie rozstrzelał wizerunek, żartując z rozstrzeliwań Polaków. Potem grzmiał, że chodziło o Kordiana, ale przecież bohater Słowackiego ani nie ginie, ani nie pali, ani nie ma zasłoniętych oczu, ani nie stoi pod ceglaną ścianą, w odróżnieniu od np. powstańców warszawskich. Inny aktor dyrektor, Tomasz Karolak – też dla Rafała – dał sobie ogolić nogi, choć ten ostatni do dzisiaj nie odpowiedział, czy właśnie tego chciał najbardziej. Obaj z Żebrowskim zaraz potem dostali lokale na prywatne teatry od naszej drogiej pani Hani, dla której Rafał to już nie jest tylko „wymarzony kandydat", lecz i polityczne dziecko. Aż dziwne, że tak słabo go wspiera. Żadnej konferencji poparcia, żadnego briefingu o tym, jak to niedaleko padło jabłko od jabłoni i czym skorupka za młodu nasiąknie, tym staruszka trąci. Na przykład z kamienicy. Wszyscy coś robią „dla Rafała", a pani Hania milczy. Panie Nurowska i Holland dziergają laleczki wudu (uwaga, odpuśćcie Piotrowicza, róbcie Jakiego!), pan Kasprzak z kolegą zamykają się w bagażniku, choć bardzo się trzęśli, że „strażnik każe otworzyć klapę i będzie żenująca sytuacja".

A dlaczego żenująca? To byłaby piękna scena, gdyby pan Kasprzak z kolegą wyginali ciała, próbując wykaraskać własne siedzenia z dalszych kłopotów. A potem z okrzykiem „Dla Rafała!" psiknęli sobie w oczy gazem. Zabrakło inwencji, strażnik przepuścił, wyszło jak zawsze. To już większy pożytek mamy z tych, co po prawej stronie nazywają spot Żebrowskiego jedynie „gów...noburzą". Ot, dziecięcy wygłup.

A nam się to dzieło bardzo podobało, chociaż jedna rzecz jest kontrowersyjna. Dlaczego, mianowicie, po zastrzeleniu Żebrowskiego przewraca się kamera? Były dwa strzały? Operator zemdlał ze wstydu? I jakim cudem całość kosztowała tylko 300 zł? Dlaczego finansowe akcje pomocy dla naszego kandydata są tak mało nagłaśniane? Czy to wstyd, że Żebrowski, akurat wtedy, gdy dawał się zabić „dla Rafała", dostał od jego politycznej matki chrzestnej nie tylko lokum, lecz i kasę na remont w wysokości 700 tys. zł? Przestańmy się ukrywać. Dla Rafała!

KRZYSZTOF FEUSETTE

Nasze przykładowe propozycje (resztę doślemy posłańcem Hołdysem, który umie szyfrować komunikaty) są następujące: pani Joanna Scheuring-Wielgus – dla Rafała – zniknie z telewizji na tydzień. Ludzie to docenią, bo to jakby rybę wyjąć z wody. Wiemy, jakie to będzie poświęcenie i że prawdopodobnie bez skrępowania się nie obejdzie. Pociesza nas to, że pani Joasia akurat nigdy skrępowania nie czuje, więc się nie obrazi.

I druga sprawa: pan Petru musi wyjść z cienia. Nikt tak nie przykryje wpadek, potknięć i gaf Rafała, jak boski „Ricardo" w szczytującej formie. Trzeba mu obiecać jakąś fuchę po wyborach (może prowadzenie „Kabaretonu"?) i niech bryluje. Niech opowiada o kulisach powstawania zalążka planu na posiadanie programu, a najlepiej niech ze studia wcale nie wychodzi. Gdyby tak chociaż raz na dziesięciu Giertychów u Moniki Olejnik pojawiał się pan Ryszard, Rafałek mógłby sobie strzelać w stopę co tydzień. Bo, nie oszukujmy się, mecenas Giertych ciągle mówi to samo. I wiecznie się zgrywa. Kiedyś udawał narodowca, potem idiotę, ostatnio – wziętego prawnika, chociaż koń, jaki jest, każdy widzi.

Na koniec prosimy o odpowiedź na pytanie, które poróżniło nas na ostatniej egzekutywie. Czy Andrzej Celiński zwyzywał Jana Śpiewaka od „ch..." także w ramach akcji „dla Rafała", czy wprost przeciwnie? Bo jego następca pan Rozenek, kiedyś wice-Urban, potem wice-Palikot, nieco głosów naszemu Rafałkowi w Lemingradzie odbierze.

Ale może to też jest elementem naszej akcji, bo dla Rafała będzie lepiej, gdy przegra? Ostatecznie po co mu Warszawa, skoro ma Brukselę.

48/0718/F

eprasa.pl a957fc2aa1

MATERIAŁ
MARKETINGOWY

Chroń swoje inwestycje

PZU Sejf + z Ochroną Kapitału.
Wybierz program inwestycyjny z ubezpieczeniem od ryzyka straty finansowej.

Kup w oddziałach PZU

Ten tekst jest materiałem informacyjnym. Nie jest ofertą w rozumieniu art. 66 Kodeksu cywilnego i nie może być podstawą do podjęcia decyzji o skorzystaniu z usług TFI PZU SA. Wymagane prawem informacje, w tym szczegółowy opis czynników ryzyka, zawarte są w prospekcie informacyjnym publicznie dostępnym na stronie www.pzu.pl, w siedzibie TFI PZU SA (al. Jana Pawła II 24, Warszawa), oraz w treści kluczowych informacji dla inwestorów funduszu, dostępnych w miejscach zbywania i odkupywania jednostek uczestnictwa. Subfundusz nie gwarantuje realizacji założonego celu inwestycyjnego ani uzyskania określonego wyniku inwestycyjnego. Uczestnik musi liczyć się z możliwością utraty przynajmniej części wpłaconych środków, jeżeli nie zostaną spełnione warunki określone w programie PZU Sejf+ z Ochroną Kapitału. Subfundusz może lokować powyżej 35% wartości aktywów w papiery wartościowe emitowane, poręczane lub gwarantowane przez Skarb Państwa, Narodowy Bank Polski lub inne niż Rzeczpospolita Polska państwa członkowskie Unii Europejskiej lub należące do OECD. Niniejsza informacja upowszechniana jest w celu reklamy lub promocji usług TFI PZU SA, przy czym nie może stanowić wystarczającej podstawy do podjęcia decyzji o skorzystaniu z usługi lub nabyciu jednostek uczestnictwa Funduszu. TFI PZU SA podlega nadzorowi Komisji Nadzoru Finansowego.

eprasa.pl a957fc2aa1

I ŚMIESZNO, I STRASZNO

Lato z żartem (4)

Jan Pietrzak

Różnica. Miller mówił, że mężczyznę poznaje się nie po tym, jak zaczyna, lecz jak kończy. Tuska poznajemy po tym, że nie może zacząć.

Bomba. W ciągu pierwszych dni premierowania Tuska w rządowych gmachach zrywano podłogi, kuto ściany w poszukiwaniu podsłuchów zostawionych przez poprzedników. I znaleziono bombę z czasów wojny. Żaden rząd od 1945 r. nie rył tak głęboko.

Wizyta. Tusk podczas pierwszej wizyty w Berlinie nie załatwił nic, choć obiecywał wszystko. Natomiast w Moskwie załatwił przywrócenie festiwalu w Zielonej Górze. Jednak sukces!

Zgłoszenie. Tusk zgłosił do Europejskiej Rady Mędrców L. Wałęsę. Rada po pierwszym posiedzeniu postanowiła nie zbierać się nigdy więcej.

Porównanie. Podsłuchane w barze: Tusk jest jak wódka. Obiecuje przyjemność, kończy się kacem.

Słoneczko. Tusk odbył podróż życia, za co otrzymał tytuł Słońce Peru. Krajowi zwolennicy Tuska dodali następne tytuły: Gwiazda Kaszub, Księżyc Żuław, Tuz Pułtuska, Orlik Dorohuska.

Debata. Premier odbył w TV debatę z siedmioma pustymi krzesłami, z tym że dwa były zajęte przez osoby nieróżniące się od krzeseł.

Kompromitacja. Tusk przyrzekł, że zwolni ministra Grada po kompromitacji z „katarskim inwestorem", ale się rozmyślił. Z dużej chmury mały grad.

Hall. Minister oświaty wysyła coraz mniejsze dzieci do szkół, by prędzej zwiększyć liczbę bezrobotnych, którzy szybciej wyjadą do arbajtu.

Klich. Minister wojny powiedział, że mu się na skutek poślizgów zapodziało 2 mld. Dowódca, któremu coś się zapodziewa, powinien czyścić latryny, a nie komenderować wojskiem.

Stara moda. Wróciła moda na nazwiska ministrów związane z resortami. Grabarczyk to grabarz autostrad. Kopacz od zdrowia to Kopacz cmentarny.

Wstęga. Tusk przeciął wstęgę na nowym odcinku autostrady. Wstęga była dłuższa od odcinka.

Droga nas zmienia

Z aktorem Dariuszem Kowalskim rozmawia Jolanta Gajda-Zadworna

Z kulturą jest panu po drodze?

Dariusz Kowalski: Mam nadzieję, że tak. Kultura jest drogą mojego życia zawodowego. Drogą mojej pasji i marzeń, które w jakiś sposób się zrealizowały i realizują.

Przyłączył się pan do projektu, w którym z kulturą każdemu z nas powinno być po drodze...

...i na drodze, czyli do akcji „Z kulturą w drodze". Zauważam, że droga – ta rozumiana dosłownie – zmienia nas. Pamiętam, że kiedy przesiadłem się z wartburga do dużo lepszego samochodu, żona stwierdziła, iż „coś we mnie wstąpiło". I pewnie tak jest, że kiedy człowiek dostaje do ręki lepsze narzędzie, podświadomie zaczyna się uważać za kogoś lepszego. Zwłaszcza gdy jest młody. Z biegiem lat nabiera dystansu. I – oby – rozwagi.

Powiedział pan pięknie, że na drodze oprócz koncentracji, wyobraźni i uwagi trzeba mieć też serce dla tych, którzy są obok...

...i są może słabsi, może mają gorszy dzień. Przydaje się ograniczone zaufanie, ale i życzliwość. A także świadomość, co może się zdarzyć. Na pewno każdy, kto doświadczył na drodze granicznej sytuacji, inaczej patrzy na uczestników ruchu drogowego niż ten, który wciąż czuje się królem szos. Tymczasem nawet krucha na co dzień osoba, wsiadając do wielkiej maszyny, dostaje ogromną władzę. Niewłaściwy ruch kierownicą może skutkować znacznie mocniej i dalej, niż nam się wydaje. Próbowałem kiedyś na planie jeździć ciężarówką. Gdy jeszcze ma ona przyczepę, zasięg „rażenia" może być ogromny. Warto o tym pamiętać.

Fot. Podlewski/AKPA

eprasa.pl a957lc2aa1

BRONISŁAW WILDSTEIN

Konserwatywnym pięknoduchom

Reforma sądownictwa – jak właściwie wszystko – powoduje w Polsce tak jednoznaczną polaryzację, że trudno przebić się z racjonalnymi argumentami, a zwłaszcza skłonić oponentów, aby chociaż spróbowali ich wysłuchać. Wina leży po stronie totalnej opozycji i kasty prawniczej, która stan rzeczy w III RP przedstawia jako spełnienie politycznego ideału. Charakterystyczny jest ton krytyki, a raczej ataku na przeniesienie w stan spoczynku prezes Sądu Najwyższego. Ukazywane jest to jako wołające o pomstę do nieba (i wszelkich innych instancji) złamanie konstytucji i podporządkowanie sądownictwa politykom, a więc cofnięcie nas do PRL, za co odpowiedzialni winni trafić do więzienia.

Wraz z legionem innych pisałem już, że ustawa zasadnicza deleguje w tej sprawie uprawnienia do ustawodawcy. Starając się podejść z jak najlepszą wolą do rozumowania stronników Małgorzaty Gersdorf, co najwyżej można by uznać, że w tej kwestii jej zapisy są dwuznaczne. Rzecznicy prawniczego establishmentu nie zgadzają się. Muszą przyznać, że jest w konstytucji artykuł, który deleguje do ustawodawcy decyzję o wieku emerytalnym sędziów, ale dodają, iż trzeba go czytać w kontekście. Czytam kolejny raz całość konstytucji i niczego, co kwestionowałoby ów zapis, nie znajduję. Czekam więc, aby prawnicze autorytety wyjaśniły mi, o co chodzi. Dowiaduję się, że mam obowiązek im wierzyć. Na temat tego obowiązku nic w konstytucji nie ma. Bo gdyby było, to należałoby zmienić jej pozostałe artykuły na temat demokracji i równości obywateli.

Piszę o tym nie po to, aby dyskutować z naszą prawniczą oligarchią, gdyż to ona najlepiej identyfikuje swoje interesy, a interesów przekonać nie sposób. Tekst kieruję do pełnych najlepszej woli kolegów po mojej stronie politycznej, którzy narzekają, że owszem cel w porządku, ale metody..., że trzeba podejść do sprawy strategicznie, bo chodzi o sprawy państwa; i wreszcie, że kiedy PiS utraci władzę, co wcześniej czy później musi nadejść, jego konkurenci skorzystają z precedensu stworzonego w trakcie obecnej reformy i podporządkują sobie sądy.

Czytam to i dziwię się, bo mam wrażenie, że żyjemy w różnych rzeczywistościach. Nie widzę gwałcenia standardów ani braku cierpliwości. Reforma prowadzona jest już ponad dwa lata, w ramach konstytucji i obowiązującego prawa i dlatego trwa tak długo. A ma charakter fundamentalny.

Instytucje państwa są sprawą ważną, ale nie wolno ich fetyszyzować. Najlepiej zaprojektowane mogą zostać zepsute przez grupę, która przejmie nad nimi kontrolę. Wymiar sprawiedliwości jest tego doskonałym przykładem. I to nie tylko w Polsce. Trybunały Konstytucyjne zostały inkorporowane do wymiarów sprawiedliwości nieomal wszystkich państw Europy po doświadczeniu nazizmu, które zademonstrowało, w jaki sposób demokracja może popełnić samobójstwo. Nikt nie spodziewał się wówczas, że zagrożenie dla demokracji przyjść może z ich strony, a szerzej, ze strony wymiaru sprawiedliwości, który uzurpował sobie będzie coraz dalej idące uprawnienia kontroli pozostałych władz. Proces ten zbiegł się z narastającą dominacją lewicowo-liberalnej ideologii. Sędziowie przestali „odkrywać" prawo, czyli stosować je zgodnie z kulturą i tradycją danego społeczeństwa, a zaczęli je traktować jako narzędzie budowy nowych porządków.

W Polsce problemy te miały szczególny charakter. W całości przeniesiona z PRL korporacja sędziowska stała się zwornikiem establishmentu III RP. Zapewniła sobie absolutną niezależność, ale poprzez układy i interesy była weń wpisana bez reszty. O jakiej trójwładzy mówimy, gdy niekontrolowana władza sędziowska kontroluje inne? O jakiej demokracji? Czytam o zagrożeniu, jakim jest obecne „upolitycznienie" sądownictwa, które może zostać wykorzystane przez kolejną władzę. A jak było dotąd? TK odrzucał nieomal wszystkie ustawy pierwszego rządu PiS, powołując się na „ducha konstytucji". Sądy były tak niezależne, że wypuszczały złapaną na gorącym uczynku przyjmowania łapówki posłankę PO, a skazywały na bezwarunkowe więzienie walczącego z korupcją nieposzlakowanego szefa CBA z PiS. To tylko przykłady. Trudno sobie wyobrazić, aby było gorzej.

Po to, aby Polska stała się państwem prawa, musi ulec fundamentalnej, personalnej transformacji korporacja prawnicza. Zainicjować ten proces mogą wyłącznie wybrani przez naród politycy. I za to powinni być rozliczani.

Fot. Andrzej Wiktor

eprasa.pl a957fc2aa1

Ma kto nieść tę historię

Co by było, gdyby Powstanie Warszawskie nie wybuchło? Być może mielibyśmy Warszawę tak piękną jak Paryż, ale polskiemu narodowi przetrącono by kręgosłup. Z niezgody na to, by jeden okupant wyszedł, a drugi po prostu wszedł, narodził się piękny mit, którym karmią się kolejne pokolenia.

Powstańcy często mówią, że biologia jest przeciw nim, że twardą ręką dowodzi nimi generał „czas". Rzeczywiście z roku na rok jest ich mniej. Za klika lub kilkanaście lat nie będzie już ani jednego. Ta myśl skłania mnie do dwojakiej refleksji. Po pierwsze, cieszmy się, że wciąż możemy korzystać z ich doświadczenia i słuchać tej opowieści z pierwszej ręki. I róbmy to, rozmawiajmy, notujmy, nagrywajmy ich. Niech zostawią świadectwo. Po drugie, rozpieszczajmy ich, spełniajmy marzenia, ułatwiajmy życie, dawajmy im do zrozumienia, nie tylko od święta, że są dla nas ważni. Że są naszymi bohaterami. Bo tak w istocie jest.

A gdy ich zabraknie? Co wtedy? Jak będziemy opowiadali o Powstaniu Warszawskim, nie mając przy sobie jego uczestników? Jestem przekonany, że harcerze poniosą ten mit w przyszłość, zarażą nim kolejne pokolenia. Już dzisiaj widać, że łączą ich te same ideały (służba i braterstwo), że potrafią się porozumieć, że taką samą Polskę sobie wymarzyli i do niej dążą.

Nawet jeśli co roku przy okazji sierpniowej rocznicy będzie wybuchał ten sam spór o sens Powstania, to patrząc na harcerzy, nie mam lęku o właściwe wytłumaczenie tej historii. Widząc, jak dzisiaj komunikują się z Powstańcami, wiem, że w przyszłości będą uzbrojeni we właściwe argumenty. Będą wiedzieli, co powiedzieć, gdy ktoś ich zapyta, dlaczego Powstanie Warszawskie musiało wybuchnąć. Że walka o Warszawę była w istocie bojem o całą Polskę. O być albo nie być naszej ojczyzny.

Marcin Wikło

Fot. Andrzej Skwarczyński

eprasa.pl

Rosja

Donbas za sojusz z Niemcami?

Konflikt między Berlinem a Waszyngtonem daje Rosji szansę, by wcisnąć się między obu sojuszników i zacząć rozdawać własne karty. Na razie po cichu.

24 lipca w Berlinie doszło do tajnego spotkania między Angelą Merkel a rosyjskim ministrem spraw zagranicznych Siergiejem Ławrowem. Nie podano żadnych szczegółów tych rozmów poza lakoniczną informacją, że omawiane były kwestie bezpieczeństwa na Bliskim Wschodzie oraz sytuacja w Syrii i na Ukrainie. W spotkaniu z Merkel – obok Ławrowa i jego niemieckiego odpowiednika Heiko Maasa – wziął udział również szef rosyjskiego sztabu generalnego Walerij Gierasimow. To o tyle ciekawe, że jako współodpowiedzialny za wojnę na Ukrainie ma on od 2014 r. formalny zakaz wjazdu do Unii Europejskiej.

Zdaniem El Murida, rosyjskiego blogera zajmującego się polityką zagraniczną, głównym tematem spotkania była współpraca obu krajów w dziedzinie bezpieczeństwa. Otóż Niemcy mają mieć własną – odmienną od polskiej – wizję dywersyfikacji dostaw paliwa do Europy. Od strony północnej dostawy te mają być realizowane za pomocą obu rosyjskich gazociągów Nord Stream, ale od południa poprzez tzw. Południowy Korytarz Gazowy – kontrolowany przez podmioty z UE system rurociągów tłoczących paliwo z kaspijskich złóż Azerbejdżanu, Turkmenistanu i Iranu.

Taka strategia nieco koliduje z interesami Rosji, która chce mieć kontrolę także nad alternatywnymi szlakami. Zarówno Moskwa, jak i Berlin są jednak zgodne w zasadniczym punkcie: niedopuszczeniu do europejskiego rynku amerykańskich paliw łupkowych. Berlin chce poprawić swoją pozycję negocjacyjną w sporze z Waszyngtonem, z kolei dla Moskwy jest to kolejny element długofalowej strategii wypychania USA z Europy.

Oczywiście gazowy deal między Berlinem a Moskwą ma swoją cenę. Rosja, zdaniem El Murida, gotowa jest ustąpić na Ukrainie w zamian za szersze otwarcie rynku europejskiego i zniesienie sankcji przez UE. W opinii El Murida Kreml podjął już strategiczną decyzję o „zwróceniu" zbuntowanego Donbasu Ukrainie, do negocjacji pozostają jedynie warunki tego „zwrotu" oraz zasady stacjonowania sił pokojowych w spornym regionie. To wyjaśniałoby obecność Gierasimowa podczas rozmów w Berlinie.

Czas pokaże, czy ten scenariusz jest prawdziwy. Nie ulega jednak wątpliwości, że na naszych oczach dochodzi do geopolitycznych przesunięć, które sprawiają, że Rosja i Niemcy mają coraz więcej wspólnych interesów.

Konrad Kołodziejski

Ukraina

Sezon na porwania

Na Ukrainie doszło do dwóch spektakularnych porwań cudzoziemców, którzy schronili się w tym państwie w obawie przed represjami swoich władz. Obaj zostali uprowadzeni w biały dzień i bez przeszkód wywiezieni za granicę. Chodzi o obywateli tureckich, którzy mieli prawo do stałego pobytu na Ukrainie. Obaj uchodzą za oponentów prezydenta Recepa Erdoğana.

Pierwszy z nich, przedsiębiorca Salih Zeki Yigit, wychodził z restauracji w Odessie, gdy nagle podeszli do niego nieznajomi mężczyźni. Wciągnęli go do samochodu i odjechali. Okazało się, że byli to funkcjonariusze tureckiego wywiadu MIT, którzy przewieźli porwanego do budynku swojego konsulatu generalnego. Po spędzonej tam nocy następnego dnia został bez problemów przetransportowany samolotem do Stambułu. Dziś oczekuje na proces w areszcie.

Drugą ofiarą padł opozycyjny bloger Yusuf Inan, oskarżany o współpracę z Fethullahem Gülenem – głównym przeciwnikiem Erdoğana. Uprowadzono go z Mikołajewa, gdzie mieszkał razem z żoną (Ukrainką) i dziećmi. Wcześniej Kijów zgodził się na żądanie Ankary i ekstradycję Inana, jednak bloger miał jeszcze pięć dni na złożenie odwołania od tej decyzji. Nie zdążył tego zrobić. Nazajutrz po porwaniu był już w Turcji.

Cała historia przypomina wydarzenia, do których doszło w 2012 r. za rządów Wiktora Janukowycza. Wówczas w centrum Kijowa porwany został rosyjski opozycjonista Leonid Razwożżajew, który wychodził właśnie z budynku ukraińskiej filii Wysokiego Komisarza ds. Uchodźców. W swoim kraju był on poszukiwany listem gończym, dlatego starał się nad Dnieprem o azyl. Nie zdążył. Prywatnym samolotem został przetransportowany do Moskwy, a następnego dnia Komitet Śledczy Federacji Rosyjskiej oświadczył, że skruszony Razwożżajew dobrowolnie zgłosił się do prokuratury i wyznał swą winę.

W tamtym czasie politycy opozycyjni wobec Janukowycza oburzali się, że Ukraina jest rosyjskim protektoratem, skoro pozwala moskiewskim służbom na bezkarne porywanie ludzi ze swego terytorium. Po 2014 r. to właśnie ci opozycjoniści doszli do władzy. A jednak uprowadzenia nie ustały. Zmienili się tylko porywacze. Otwarte pozostaje natomiast pytanie, czy działali za zgodą i wiedzą władz ukraińskich.

Grzegorz Górny

Fot. kafeinkolik/Shutterstock.com

Niemcy

Polityczny spalony

Co się dalej dzieje z niemieckim piłkarzem tureckiego pochodzenia Mesutem Özilem, o którym pisałem tydzień temu? Na razie sypią się na niego ze wszystkich stron połajanki, które w skrócie można by oddać słowami: „Zastanów się, kim właściwie jesteś?".

Po prawdzie Niemcem jest dopiero od jedenastu lat, gdy wystąpił o obywatelstwo RFN, choć urodził się i dorastał w Gelsenkirchen. W reprezentacyjnej „jedenastce" zdobywał bramki dla Niemiec, ale niemieckiego hymnu nie śpiewał. Podarował za to swą koszulkę prezydentowi Turcji, z którym sfotografował się podczas jego pobytu w Wielkiej Brytanii, gdzie aktualnie gra w jednym z klubów. Gdy spadła na niego lawina krytyki, że tym samym udzielił wyborczego wsparcia Recepowi Erdoganowi, urażony ogłosił, że więcej nie zagra dla Niemiec.

Swą decyzję tłumaczył dość karkołomnie, że to w ramach protestu przeciw rasizmowi i ksenofobii w Niemczech. I tu przestrzelił, nawet według chorwacko-słoweńskiego Niemca, także byłego reprezentanta Niemiec Frediego Bobica, który skwitował: „To samobój", Özil „będzie z pewnością czczony w Turcji", ale „w Niemczech tylko potęguje napięcia". Zrozumienie dla Özila wykazują nieliczni i raczej półgębkiem, jak trener reprezentacji, który wskazał, że gracze obcego pochodzenia mają problemy ze zdefiniowaniem tożsamości. Efektem wymiernym decyzji Özila jest wstrzymanie przez koncern Vodafone kampanii reklamowej z udziałem tego piłkarza, oraz „okresowe zawieszenie współpracy" przez Mercedesa „do czasu wyjaśnienia co dalej".

Co więc dalej? Nic. Rząd Niemiec ma na pieńku z Turcją, Erdoğan uznawany jest nad Szprewą za dyktatora, ale – zgodnie z wykładnią Realpolitik – dialog trzeba prowadzić i już we wrześniu prezydent będzie gościł w Berlinie.

Tymczasem Özil się „wyobcował", jak tygodnik „Spiegel" określił jego „przypadek". Obywatelstwa jednak nikt mu nie odbierze, tak jak milionom innych napływowych Niemców. Pozostaje pytanie, czy rezygnacja „tureckiego Niemca" z gry w reprezentacji piłkarskiej to był polityczny spalony? To zależy: Erdoğan cieszy się na „następne spotkanie z Özilem", zaś – jakkolwiek to zabrzmi – jego niemieccy rodacy debatują o „nieudanej integracji".

Kwestią sporną pozostaje, kto z kim powinien się lepiej zintegrować: imigranci z Niemcami czy odwrotnie? Jak twierdzi były burmistrz Berlina Zachodniego socjaldemokrata Walter Momper z SPD: „Özil jest i będzie przykładem udanej integracji. Urodził się gelsenkirchaninem i nim pozostanie. Mogę to zrozumieć, że z nostalgią myśli o Turcji. Kto dziś jest stuprocentowym Niemcem...?" – koniec cytatu.

Piotr Cywiński

Grecja

Koniec wiecznej miłości?

Grecy kochali Rosję od zawsze. Czyli co najmniej od czasów, kiedy prawosławni – tak jak i oni – carowie wspierali ich ruch wyzwoleńczy przeciw Turkom. Tę miłość zintensyfikowało jeszcze doświadczenie greckiej wojny domowej w latach 40., kiedy to Związek Radziecki wspierał, mającą wtedy poparcie większości społeczeństwa, partyzantkę komunistyczną, która uległa dopiero wskutek zbrojnej interwencji Anglików i Amerykanów. Jeszcze kilka lat temu rządząca w Atenach radykalnie lewicowa Syriza miała nadzieję na silne ekonomiczne wsparcie ze strony Moskwy, które pozwoliłoby Grecji uniknąć podporządkowania się dyktatowi zachodnich instytucji finansowych.

Ale tego wsparcia uzyskać się nie udało i m.in. dlatego Grecy doszli do wniosku, że z tym kochaniem to jednak przesadzali.

Ale nie tylko dlatego. Niedawno z Aten wyrzucono dwóch rosyjskich dyplomatów, a dwóm innym zakazano wjazdu do kraju. Greckie MSZ zaś zarzuciło Moskwie ingerencję w wewnętrzne sprawy Hellady.

Chodzi o szeroko zakrojone finansowe wsparcie udzielane przez rosyjską dyplomację greckim nacjonalistom organizującym sprzeciw wobec kompromisowego zakończenia wieloletniego sporu, w którego czasie Grecja blokowała uznanie przez wspólnotę międzynarodową Macedonii. Ta była jugosłowiańska republika nosi nazwę taką, jak jedna z greckich prowincji, zamieszkana częściowo przez ludność pochodzenia słowiańskiego – Ateny uznawały więc istnienie tak nazywającego się państwa za manifestację skierowanych przeciw nim roszczeń. Strony doszły jednak do porozumienia i Macedonia stała się oficjalnie Macedonią Północną. Grecja wycofała swoje sprzeciwy, więc Macedonia może wstąpić do Unii. I do NATO.

Co rzecz jasna nie podoba się Moskwie, która – co charakterystyczne – wspiera swymi pieniędzmi nie tylko greckich przeciwników kompromisu, lecz i ich śmiertelnych wrogów – macedońskich nacjonalistów, uznających dodanie do nazwy państwa słowa „Północna" za zdradę najświętszych wartości...

Grecja reaguje ostro, bo w grę wchodzi jeszcze jeden czynnik – turecki. To wrogie Atenom lokalne mocarstwo coraz silniej rozprzestrzenia wpływy na Bałkany. Akcesja Macedonii do Unii stała się więc, z punktu widzenia Grecji, czymś pożądanym. Przywróceniem równowagi.

I dlatego Ateny doszły do banalnego wniosku, że jednak nie ma wiecznych miłości...

Piotr Skwieciński

Fot. CP DC Press/Shutterstock.com

eprasa.pl a957fc2aa1

OGNIEM NA WPROST

„Lewacka szmata”

Jakub i Dawid tworzą homoseksualną śpiewającą parę, o której nikt nie słyszał. No, może kilku śledzących lewackie portale. Ponieważ trzeba jakoś zabłysnąć na firmamencie show-biznesu, dwóch gejów wzięło się do politycznego rapu. Jest w ich utworze o prezydencie Andrzeju Dudzie i o premier Beacie Szydło. Oczywiście nic dobrego. Ale prawdziwe mistrzostwo w używaniu języka polskiego duetowi udało się osiągnąć, poruszając temat Lecha Wałęsy i Jarosława Kaczyńskiego. „Lechu przerobiony jest w agenta, bo Jarosław od kompleksów wchodzi w nerwach” – rymują raperzy od siedmiu boleści, prosto z Częstochowy. Do piosenki Jakub i Dawid dołączyli przesłanie. Są, o dziwo, zgodni w opinii, że w Polsce „zawłaszczane są sądy, gnojone samorządy, a w mediach oglądamy zdjęcia, na których policja bije ludzi na ulicach i przecieramy oczy ze zdumienia, że to się dzieje naprawdę. Nie bądźmy obojętni”. Tak! Nie bądźmy obojętni i polećmy chłopcom dobrego okulistę, bo cierpią na poważną wadę wzroku. Widzą świat zupełnie inaczej, niż wygląda w rzeczywistości.

Rabin Ben-Zion Gopstein ma wyraźnie na pieńku z chrześcijanami. Chce ich wypędzić z Ziemi Świętej i całego Izraela, a także zakazać święta Bożego Narodzenia. Powód jest prosty: „Chrześcijanie to »wampiry«, które, gdy tylko będą mogły, zaczną wysysać żydowską krew. W dodatku chrześcijanie dopuszczają się prób nawracania na wiarę w Jezusa Chrystusa Żydów. To zbrodnia, której dopuszczają się tylko z jednego powodu: bo nie mogą już Żydów swobodnie mordować!”. W sierpniu tego roku ten sam rabin wzywał do palenia chrześcijańskich kościołów. Tłumaczył, że tak uważał wielki żydowski filozof Majmonides, a poza tym kościoły powinno palić państwo izraelskie. Nikogo więc jakoby do podpaleń nie namawiał i kara mu się upiekła. Tak nawiasem mówiąc, całkiem niedawno, bo w czerwcu, podpalono klasztor niemieckich benedyktynów nad Jeziorem Tyberiadzkim. Sprawców co prawda ukarano, ale zdaniem biskupów z Ziemi Świętej chrześcijanie nie są tam wystarczająco chronieni. Znamy żydowskie poszukiwania drzazg w oczach Polaków, przy jednoczesnym niedostrzeganiu belki we własnym.

Kościoły płoną też we Francji. Ostatnie podpalenie zdarzyło się w ubiegłym tygodniu. Ofiarą zamachowców padła świątynia Saint-Pierre du Martroi w Orleanie. Na szczęście strażacy przyjechali w porę i ogień ugasili, nie dopuszczając do większych szkód. Sprawcy pozostawili po sobie ślad. Na jednej ze ścian kościoła widniał napis „Allahu Akbar”. Według Observatoire de la Christianophobie, francuskiej organizacji non-profit śledzącej ataki na chrześcijan, w ciągu pierwszych pięciu miesięcy 2018 r. we Francji wydarzyło się 128 aktów wandalizmu wymierzonych w kościoły lub inne instytucje chrześcijańskie. Rabin Ben-Zion Gopstein i islamiści mają z sobą jednak coś wspólnego. Chora nienawiść do wszystkiego, co chrześcijańskie, zatruwa im głowy.

Lewacka Szmata to firma założona w kontrze do przedsiębiorstw produkujących i sprzedających tzw. odzież patriotyczną. Poza godłem narodowym na tle tęczowych konturów mapy Polski Lewacka Szmata promuje zamiast Żołnierzy Wyklętych czy symboli narodowych Marksa oraz socjalizm podlany ideologią LGBT i coś tam. To wymowny przykład, że dalej trwa walka trzeciego pokolenia Armii Krajowej z trzecim pokoleniem bezpieki i PZPR.

W gdańskich szkołach od września rusza program gender. W ten sposób miasto rządzone przez prezydenta Pawła Adamowicza dołączy do „tęczowych miast”, takich jak Berlin czy Paryż. Do akcji w szkołach wkroczą seksedukatorzy i trenerzy gender. Jedynie Kościół bije na alarm, ostrzegając słowami wikariusza i psychotraumatologa w parafii pw. Ducha Świętego i św. Katarzyny Aleksandryjskiej w Gdyni ks. Krzysztofa Gidzińskiego: „Będą wprowadzone zajęcia, które nie mają nic wspólnego z edukacją, a będą tylko deprawacją seksualną”. To, co obecnie dzieje się w Gdańsku, bardzo szybko przeniesie się na cały kraj. Może by tak władze coś zrobiły z tym genderowym praniem mózgów dzieciom w Gdańsku, bo dewiacje seksualne w szkołach to ostatnia rzecz, której potrzebuje Polska.

Andrzej Rafał Potocki

Fot. Andrzej Wiktor

eprasa.pl a957fc2aa1

Konstytucja dla nauki

Marta Kaczyńska

Podróżując ostatnio pociągiem do Warszawy, spotkałam Amerykanina. Moją uwagę zwróciło nasze godło, które miał wpięte w klapę marynarki. Na pytanie, dlaczego je nosi, odpowiedział: „Polska to mój ulubiony kraj!". Towarzyszyła mu grupka młodych ludzi – studentów ze stanu Georgia. Z perspektywy wielu obcokrajowców nasza ojczyzna jawi się jako wymarzone miejsce do życia, bezpieczne, spokojne, z perspektywami rozwoju. Najnowsze zmiany legislacyjne wskazują, że Polska ma szanse zyskać na atrakcyjności także w sferze nauki i przygotowania do kariery zawodowej.

Podpisana na początku sierpnia ustawa zwana Konstytucją dla nauki to kolejny przykład jednej z wielu prorozwojowych inicjatyw rządu PiS, zapewniająca uczelniom autonomię, wspierająca naukowców i studentów. Nowy akt prawny uzyskał aprobatę Parlamentu Studentów RP oraz Krajowej Rady Reprezentacji Doktorantów, Niezależnego Zrzeszenia Studentów, zrzeszenia rektorów uczelni wyższych i wielu innych organizacji skupiających przedstawicieli środowiska akademickiego. W toku prac parlamentarnych przyjęto poprawkę partii opozycyjnej dotyczącą zakresu finansowania uczelni niepublicznych. Przepisy, które będą wchodzić w życie etapami, począwszy od 1 października br., przyznają wspólnotom akademickim uprawnienie do decydowania o ich strukturze, a także swobodę w zakresie rozdzielania środków finansowych dla poszczególnych jednostek organizacyjnych. Ponadto wdrażając zasadę zrównoważonego rozwoju, przepisy przewidują organizowanie konkursów na uzyskanie dodatkowego finansowania przez uczelnie regionalne. O prawie do nadawania stopni naukowych nie będzie już decydować liczba zatrudnionych na uniwersytecie profesorów, ale jakość przeprowadzonych w jej murach badań naukowych, które podlegać mają ocenie w ramach dyscyplin, a nie w ramach wydziałów. Poszczególne uczelnie będą mogły ustalać własne zasady pokonywania kolejnych etapów kariery akademickiej. Istotnym novum jest wprowadzenie stypendiów dla wszystkich doktorantów, a także przyznanie im urlopów rodzicielskich. Wyżej punktowane niż dotychczas mają być publikacje ukazujące się na łamach czasopism naukowych figurujących w międzynarodowych bazach. Rodzime periodyki naukowe mają jednak uzyskać dodatkowe wsparcie finansowe, a o dorobku naukowym świadczyć ma jakość opublikowanych tekstów, a nie ich liczba. Zrobienie habilitacji nie będzie już warunkiem pracy na stanowisku profesora uczelni. Studenci zyskali dodatkową gwarancję bezpłatności studiów, zwiększono ochronę ich praw, stworzono warunki do rozwoju studiów dualnych i zwiększono nacisk na kształcenie praktyczne.

30 lipca 2018 roku zmarła

Profesor Maria Dzielska

historyk, filolog klasyczny, tłumacz, wybitna badaczka dziejów antyku i wczesnego chrześcijaństwa,
wykładowczyni Uniwersytetu Jagiellońskiego, ceniona popularyzatorka nauki,
członek Polskiej Akademii Nauk, Polskiej Akademii Umiejętności
i Rady Muzeum Narodowego w Krakowie,
wiceprzewodnicząca Społecznego Komitetu Odnowy Zabytków Krakowa.

W latach 80. ubiegłego wieku działała w opozycji demokratycznej.
Uczestniczyła w lucieńskich seminariach naukowych pod patronatem śp. Prezydenta RP Lecha Kaczyńskiego,
należała do Akademickiego Klubu Obywatelskiego jego imienia w Krakowie.
Współtworzyła komitet budowy pomnika Prezydenta Kaczyńskiego oraz monumentu upamiętniającego ofiary katastrofy smoleńskiej.
Była działaczką Związku Podhalan.

Żegnamy niezwykle zasłużoną Uczoną oraz wspaniałego Człowieka,
osobę życzliwą i otwartą, pełną energii i charyzmy, inspirującą swoim przywiązaniem
do wartości chrześcijańskich i patriotycznych, zaangażowaną w ochronę najgłębszych korzeni naszej kultury.

Jej odejście jest ogromną stratą dla polskiej nauki oraz naszej narodowej wspólnoty.

Wieczny odpoczynek racz Jej dać, Panie!

Prezydent Rzeczypospolitej Polskiej
Andrzej Duda

Małżonka Prezydenta Rzeczypospolitej Polskiej
Agata Kornhauser-Duda

2/0818/F

eprasa.pl a957fc2aa1

Zebrała ***Dorota Łosiewicz***

Pieskie życie

70 tys. dol. za głowę policyjnego psa? Takie rzeczy tylko w Kolumbii, gdzie jedna z największych mafijnych grup narkotykowych za głowę policyjnego owczarka niemieckiego oferuje taką właśnie nagrodę. „Jak podaje BBC, policyjny owczarek niemiecki Sombra na swoim koncie ma rekordową liczbę wykrytych narkotyków. Od sześciu lat pomogła aresztować niemal 245 przestępców. Jej skuteczność wiąże się jednak z tym, że za jej głowę wyznaczono nagrodę. Jedna z największych mafijnych grup narkotykowych w Kolumbii, Urabenos, za głowę policyjnego owczarka oferuje 70 tys. dol. Ma być to odpowiedź na wykrycie przez psa pięciu ton kokainy należącej do gangu" – czytamy na rp.pl. Sombra jest teraz najbardziej chronionym psem w Kolumbii. Ze względów bezpieczeństwa została przetransportowana samolotem do Bogoty, a podczas podróży towarzyszyli jej specjalni oficerowie. To chyba nie jest „pieskie życie".

60

– tyle luksusowych aut i motocykli zostało zmiażdżonych przez buldożer w prowincji Cagayan na Filipinach. Skonfiskowane pojazdy nakazał zniszczyć filipiński prezydent Rodrigo Duterte, który od chwili wyboru na urząd głowy państwa Filipin prowadzi brutalną walkę z przestępczością.

5,5 mln dol.

– tyle były warte zniszczone pojazdy. Zmiażdżono auta takich marek jak Lamborghini, Porsche i Mustang.

3,7 mld zł

– tyle wyniosły transfery do Polski od emigrantów w I kwartale 2018 r.

O policji, co psom szyła buty

Za to psom policyjnym w Zurychu założono specjalne buty, które mają zapobiegać oparzeniom ich łap na gorącym od upałów asfalcie – poinformowała we wtorek rzeczniczka szwajcarskiej policji. O sprawie doniósł m.in. portal tvp.info. „Jeśli podłoże jest gorące dla ludzkiej ręki po pięciu sekundach, to jest również gorące dla łap psów" – ostrzega policja w mediach społecznościowych. Doradza, by większym czworonogom założyć buty, a mniejsze przenosić na rękach, ograniczając ich kontakt z parzącą powierzchnią. Gdyby więc ktoś miał okazję w Zurychu zobaczyć policjanta, który goni złodzieja z psem pod pachą, znaczyć to musi, że panuje straszny upał.

Zmalowali!

Kairskie zoo potrzebowało zebry. Ponieważ niestety żadnej nie było na stanie, Egipcjanie wpadli na oryginalny pomysł. Na zebrę przemalowano osła. O sprawie informuje wprost.pl. Zebra w oślej skórze albo raczej osioł udający zebrę prezentował się całkiem nieźle. Pech chciał jednak, że z powodu upału zebrze paski zaczęły z osła spływać, co uwiecznił na zdjęciach Mahmud Sarhan, opublikował na Facebooku i tak zdjęcia obiegły cały świat. Dyrektor zoo do oszustwa się nie przyznaje, choć ośle uszy nieco zebrę demaskują. „Zebra jest prawdziwa, a nie malowana" – tłumaczył Mohammed Sultan w rozmowie z egipskim kanałem Youm 7, jednak organizacja PETA zarzuciła władzom zoo potraktowanie zwierzęcia chemicznymi farbami i zapowiedziała doprowadzenie do śledztwa w tej sprawie. Trzeba przyznać, że Egipcjanie nieźle zmalowali!

eprasa.pl a957fc2aa1

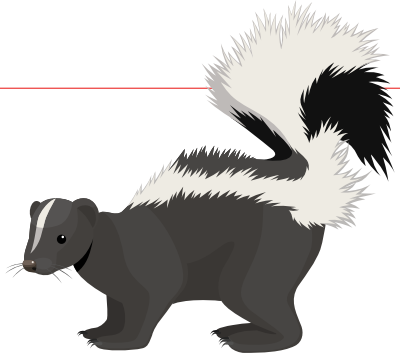

Koń by się uśmiał!

Skoro przy zwierzętach jesteśmy, to jeszcze może dwa słowa o pewnym skunksie. Skunks ma na imię Zuza i zaginął w Łodzi. O sprawie informował m.in. portal tvn24.pl. Zuza prawdopodobnie wymknęła się z domu przez niedomknięte drzwi, a właściciele nie ustają w poszukiwaniach. Mogłoby się wydawać, że skunks na gigancie to śmierdząca sprawa, ale Zuza ma wycięte gruczoły okołoodbytowe. Oby nie przepełzał tamtędy pyton tygrysi, bo wówczas skunksowi może nie być do śmiechu.

Nie wiem, czy te moje nieruchomości, przepraszam: klientowskie nieruchomości... **– takie drobne przejęzyczenie wymsknęło się Janowi Stachurze, prawnikowi, który przejął lub pomógł przejąć ponad 100 nieruchomości w centrum Warszawy. Twoje, moje, nasze.**

Znalezisko

Tymczasem w Wiśle w Bydgoszczy odnaleziono tajemniczy szkielet. Zdjęcie opublikował na FB Robert Szatkowski, prezes Stowarzyszenia Bydgoski Wyszogród. „Wprawdzie to nie jest słynny wąż z Wisły, którego szuka cała Polska, ale całkiem spore okazy w okolicy też mamy. Szkielet ok. 2-metrowej ryby. Może jakiś wędkarz rozpozna, co to za okaz? Trudno złowić tej wielkości rybę?" – zapytał Szatkowski. W komentarzach do posta pojawiło się mnóstwo teorii, łącznie z tą, że szkielet to resztki ofiary pytona tygrysiego. A ja się zastanawiam, czy z tym pytonem to nie jest tak jak z wielorybem w Wiśle. Ludzie też przysięgali, że go widzieli, choć wieloryb był tylko wytworem pseudodziennikarskiej wyobraźni. A przynajmniej ta wersja byłaby dla wszystkich bezpieczniejsza.

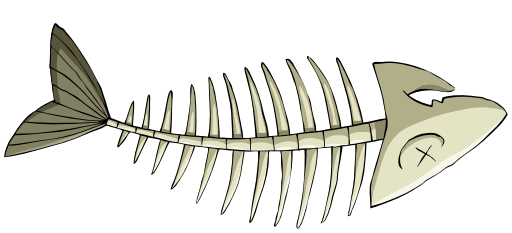

Fot. Andrzej Wiktor, Shutterstock (x4), Facebook.com

PRAWDA NIGDY NIE LEŻY POŚRODKU

Znaj proporcją, mocium panie

Dominik Zdort

Występem na festiwalu opolskim w czerwcu 1980 r., który transmitowała dla milionów telewizja, [Kora] zrobiła tyle samo w kulturze polskiej, ile kilka miesięcy później Solidarność w życiu politycznym i społecznym Polski: rozsadziła komunizm od środka".

Zaczynam od tego smakowitego cytatu z pierwszej strony pewnej gazety, bo doskonale ilustruje pułapkę, w jaką może wpaść egzaltowany krytyk muzyczny w momencie śmierci wielkiej gwiazdy. A mowa o dziennikarzu doświadczonym, który śmierć niejednego piosenkarza już opisywał.

Odczucie osobistej straty spowodowało, że cała zdobyta przez wiele lat jego wiedza przestała mieć znaczenie – zamiast pisać prawdę (co by znakomicie wystarczyło), szukał dodatkowych argumentów, które uczynią z Kory postać historyczną. Problem w tym, że popadając w przesadę, łatwiej wzbudzić rozbawienie czytelnika (niestosowne w takiej chwili) niż szacunek dla zmarłego.

Nie odbierając Korze ani odrobiny wielkości, stwierdzenie, iż rozsadziła komunizm od środka, jest absurdalne. Dorastałem z Maanamem, uwielbiam kolejne epoki jego twórczości, zarówno tę rockową, jak i następne, które nazwałem „kotletową" i „pościelową". W każdym z tych stylów Kora była prześwietna jako autorka tekstów i ich interpretatorka. Ale „znaj proporcją, mocium panie".

Ani jako piosenkarka, ani jako poetka z obaleniem komunizmu nic wspólnego nie miała. Wręcz przeciwnie – w czasach PRL jej teksty charakteryzował eskapizm, uciekały od polityki, były poezją opowiadającą o życiu prywatnym, osobistym, intymnym.

Niektórzy stosują dziś wobec tej twórczości wytrychy interpretacyjne, podsuwają polityczne wyjaśnienia tekstów. Zgodziłbym się na takie potraktowanie „Kreona" (1984). Ale uznanie „Boskiego Buenos" (z lutego 1980 r.) za zapowiedź dyktatury stanu wojennego i „Krakowskiego spleenu" (z 1983 r.) za wezwanie do antykomunistycznej rewolty to brutalny gwałt zarówno na tekstach Kory, jak i na inteligencji odbiorcy jej twórczości.

Olga Sipowicz publicznie swoje poglądy odsłoniła dopiero po upadku totalitarnej władzy. Stała się wtedy zdecydowanym krytykiem wszystkiego, co kojarzy się tradycją i Kościołem. Ale piosenki Maanamu do końca potrafiła uchronić – nawet przed własnym radykalizmem.

Autor jest szefem portalu tygodnik.tvp.pl

eprasa.pl a957fc2aa1

RZECZY POSPOLITE

Darcie mordy

Skąd się bierze darcie mordy? Czy z jakiegoś atawizmu? Z neandertala, który drzemie we współczesnym sapiensie? Z przedwiecznej dzikości zrodzonej w jaskiniach przed tysiącami lat czy raczej ze zdziczenia wtórnego i zdegenerowania się pięknych cywilizacji?

Drą mordę turyści amerykańscy, drą tak bardzo, że spaghetti spada człowiekowi z widelca we włoskiej nadmorskiej restauracji. Co jest takiego w Amerykanach, że są tacy głośni? Zakodowany genetycznie ryk poganiacza bydła przemieszany z wydającym komendę kapitanem unionistów? Czy amerykańska pycha zmieszana z pewnością siebie – taka tubalna głośność silnika forda mustanga? Sam nie wiem, ale słychać ich zawsze z daleka.

Tomasz Łysiak

Kolejni są Brytole. Ci drą mordę szczególnie, gdy wchłoną już odpowiednie ilości piwa na krakowskiej Starówce, a potem idą do hotelu, zataczając się z jednej na drugą i śpiewając „You will never walk alone"! Też są nie do zniesienia.

Japończycy... Cały ich stół w knajpie wydziera się tak, jak eskadra kamikadze tłukąca się na tokijskim weselu o gejszę z bandą samurajów. Wreszcie Ruscy i Niemcy. Damy z Moskwy, Petersburga czy Niżnego Nowogrodu, wypacykowane perfumą i szminką w ostrej barwie, piszczą głośno, niczym Anna Netrebko biorąca wysokie C po trzech paczkach apapu i grypie żołądkowej. Zadowoleni z siebie Niemcy jodłują i szwargoczą tak, jakby nadal rządzili światem.

Za granicą, w różnokolorowym tłumie, pojawiają się też Polacy. Może mam jakieś wyjątkowe szczęście, ale spotykam akurat takich rodaków, którzy są kulturalni, spokojni, nie narzucają się innym, mówią pewnym siebie, ale nie krzykliwym głosem. Ja wiem, że bywa inaczej. A nawet, że bywa strasznie. Bo obrazy darcia mordy pod Sejmem czy opluwania jadem policjantów zostaną w pamięci na długo. Ja wiem nawet, że ten obraz Polaków, jaki zapamiętam w tym roku, może być fałszywy, wynikający z łutu szczęścia, ale... tak go sobie zapamiętam. W kontraście do powszechnego darcia mordy, jakie zalewa nas ze wszech stron.

100 mln wonów

Ach, co to był za ślub...! Kilkuset gości było. Samo składanie życzeń trwało dwie godziny – pochwaliła się panna młoda. I z dumą ogłosiła w internecie: „Od dziś jestem Kinga Magdalena Gajewska-Płochocka". Och, nie, pardon...!, to było ze dwa lata temu, już nieaktualne. Tzn. ślub pani Kingi vel „Dzidzi" – jak pieszczotliwie nazywa posłankę PO Grzegorz Schetyna – był, ale już bez pompy, skromny, kameralny, cichy, cichuteńki, i nie z Piotrem Płochockim, to już przeszłość, lecz z posłem PO Arkadiuszem Myrchą. No i nie było w internecie ogłoszenia „Dzidzi", że „od dziś jestem Kinga Magdalena Gajewska-Myrcha". Związek z Płochockim po roku „nie przetrwał próby czasu" – wyjaśniała osobiście nowożonka.

Piotr Cywiński

Był też ślub innej pary, też nie za głośny, aliści polskojęzyczny tabloid made in Germany pn. „Fakt" roztrąbił, kto z kim i kto był, a kto nie uczestniczył w tym zdarzeniu. Panną młodą była mianowicie była dyrektorka TVP Joanna Klimek, która rozwiodła się z mężem dwa tygodnie temu, zaś panem młodym był sam prezes TVP Jacek Kurski. Podobno ona jest miłością jego życia, co prezes – jak wyczytałem w „Fakcie", który nie chce brać odpowiedzialności za te zapewnienia – miał wyznać publicznie. Od siebie tabloid dorzucił, tu cytat, że „oboje są po przejściach, Joanna ma z pierwszego małżeństwa syna, Jacek troje dzieci". Cóż, bywa... „Fakt" wysłał nawet na tę okoliczność człowieka z kwiatami, kwiaty zostały nowożeńcom wręczone, goście obfotografowani, prócz prezesa PiS Jarosława Kaczyńskiego, który miał być, ale go nie było.

Też mi sensacje. Taki Gerhard Schröder, lat 74, przymierza się właśnie do piątej żony. Jego ostatnią (? – tu stawiam znak zapytania, bo pewności nie ma), wybranką jest młodsza o lat 26 Koreanka Soyeon Kim. Przyszli państwo młodzi są już po słowie i po rozwodach, ich ślub wkrótce. Ponoć zamierzają mieszkać w Korei Płd. Najpierw jednak oblubieniec Kim będzie musiał zapłacić jej byłemu mężowi 100 mln wonów za przyprawienie mu rogów. Tak orzekł sąd, a doniosła o tym agencja Yonhap. Dowodem w sprawie było chwalenie się ekskanclerza „nową miłością życia" i „nowym związkiem" z wówczas jeszcze mężatką Kim. W porównaniu z niemieckimi „promis" nasi to cieniasy. Były szef dyplomacji RFN Joschka Fischer miał żon słownie sześć, podobno kroi się siódma, jego następca Guido Westerwelle miał męża, którego brał w oficjalne podróże zagraniczne, wprawiając gospodarzy w osłupienie, czyli wszystko jeszcze przed nami...

eprasa.pl a957fc2aa1

RYSUJE ANDRZEJ KRAUZE

SIECI

ISSN 2544-2694

www.wSIECIprawdy.pl

REDAKTOR NACZELNY: JACEK KARNOWSKI

ZASTĘPCA REDAKTORA NACZELNEGO:
PIOTR SKWIECIŃSKI

E-MAIL: REDAKCJA@FRATRIA.PL
TEL. (22) 616 36 00
UL. FINLANDZKA 10, 03-903 WARSZAWA

AUTORZY:
ŁUKASZ ADAMSKI, ADAM CIESIELSKI, PIOTR CYWIŃSKI (BERLIN), LESZEK DŁUGOSZ, KRZYSZTOF FEUSETTE, MARCIN FIJOŁEK, WITOLD GADOWSKI, JOLANTA GAJDA-ZADWORNA, GRZEGORZ GÓRNY, KRYSTYNA GRZYBOWSKA, JERZY JACHOWICZ, STANISŁAW JANECKI, JACEK KARNOWSKI, MICHAŁ KARNOWSKI, KONRAD KOŁODZIEJSKI, GRZEGORZ KOSTRZEWA-ZORBAS, CEZARY KOWALSKI, ANDRZEJ KRAUZE, DOROTA ŁOSIEWICZ, TOMASZ ŁYSIAK, RYSZARD MAKOWSKI, MAJA NARBUTT, MARZENA NYKIEL, MACIEJ PAWLICKI, JAN PIETRZAK, ANDRZEJ RAFAŁ POTOCKI, MAREK PYZA, WOJCIECH RESZCZYŃSKI, JAN ROKITA, PRZEMYSŁAW SKRZYDELSKI, PIOTR SKWIECIŃSKI, WOJCIECH STANISŁAWSKI, WIKTOR ŚWIETLIK, EWA WESOŁOWSKA, MARCIN WIKŁO, BRONISŁAW WILDSTEIN, PIOTR ZAREMBA, RAFAŁ ZAWISTOWSKI, ANDRZEJ ZYBERTOWICZ

DYREKTOR WYDAWNICZY: MACIEJ WOŚKO

PRODUKCJA I DYSTRYBUCJA: JOANNA MAZUR, JOANNA.MAZUR@FRATRIA.PL

DYREKTOR ARTYSTYCZNY:
MICHAŁ KORSUN, MICHAL.KORSUN@FRATRIA.PL

STUDIO GRAFICZNE:
ANDRZEJ SKWARCZYŃSKI – KIEROWNIK
ANDRZEJ.SKWARCZYNSKI@FRATRIA.PL,
MACIEJ MAJTCZAK, LIDIA SŁOWIKOWSKA
PROJEKT GRAFICZNY: MICHAŁ KORSUN
FOTOEDYCJA:
EWA FALKIEWICZ, EWA.FALKIEWICZ@FRATRIA.PL,
ANNA ŁABĘCKA, ANIA.LABECKA@FRATRIA.PL,
OBRÓBKA ZDJĘĆ: TOMASZ KIERAS

FRATRIA grupa medialna

WYDAWCA: FRATRIA SP. Z O.O.
PREZES: ROMUALD ORZEŁ
UL. LEGIONÓW 126-128,
81-472 GDYNIA
REDAKCJA@FRATRIA.PL, WWW.FRATRIA.PL

PRENUMERATA WYDANIA PAPIEROWEGO:
TEL. (22) 616 15 70, PRENUMERATA@FRATRIA.PL
REGULAMIN ORAZ WARUNKI PRENUMERATY NA STRONIE WWW.WSIECIPRAWDY.PL
WPŁAT ZA PRENUMERATĘ PROSIMY DOKONYWAĆ NA KONTO:
91 1240 5354 1111 0010 7713 6290
FRATRIA SP. Z O.O., UL. LEGIONÓW 126-128, 81-472 GDYNIA,
W TYTULE WPŁATY WPISUJĄC PEŁNE DANE ADRESOWE DO WYSYŁKI ORAZ RODZAJ PRENUMERATY
PRENUMERATA REALIZOWANA PRZEZ RUCH S.A.:
ZAMÓWIENIA NA PRENUMERATĘ W WERSJI PAPIEROWEJ I NA E-WYDANIA MOŻNA SKŁADAĆ BEZPOŚREDNIO NA STRONIE WWW.PRENUMERATA.RUCH.COM.PL.
EWENTUALNE PYTANIA PROSIMY KIEROWAĆ NA ADRES E-MAIL: PRENUMERATA@RUCH.COM.PL LUB KONTAKTUJĄC SIĘ Z CENTRUM OBSŁUGI KLIENTA „RUCH" POD NUMERAMI: 22 693 70 00 LUB 801 800 803 – CZYNNE W DNI ROBOCZE W GODZINACH 7^{00} – 17^{00}.
KOSZT POŁĄCZENIA WG TARYFY OPERATORA.

DRUK: LSC COMMUNICATIONS EUROPE
NAKŁAD: 102 275 EGZ.

DYREKTOR DS. ROZWOJU BIZNESU:
KATARZYNA MARCHEWKA – KATARZYNA.MARCHEWKA@FRATRIA.PL

BIURO REKLAMY:
REKLAMA@FRATRIA.PL, TEL. (22) 616 36 00
PAULINA KĄKOL – PAULINA.KAKOL@FRATRIA.PL
WOJCIECH KOPACZ – WOJCIECH.KOPACZ@FRATRIA.PL

KOLPORTAŻ: KOLPORTAZ@FRATRIA.PL

REDAKCJA ZASTRZEGA SOBIE PRAWO DO REDAGOWANIA I SKRACANIA TEKSTÓW. COPYRIGHT © FRATRIA SP. Z O.O. WSZYSTKIE PRAWA ZASTRZEŻONE (WŁĄCZNIE Z TŁUMACZENIEM NA JĘZYKI OBCE). REDAKCJA NIE ZWRACA MATERIAŁÓW NIEZAMÓWIONYCH. OGŁOSZENIA I REKLAMY NIE STANOWIĄ MATERIAŁU POCHODZĄCEGO OD WYDAWCY. BEZUMOWNA SPRZEDAŻ NUMERÓW BIEŻĄCYCH I ARCHIWALNYCH PO CENIE NIŻSZEJ OD USTALONEJ PRZEZ WYDAWCĘ JEST ZABRONIONA, NIELEGALNA I GROZI ODPOWIEDZIALNOŚCIĄ KARNĄ.

FOT. NA OKŁADCE: MARIUSZ GACZYNSKI/EAST NEWS, TOMASZ GZELL/PAP, KRYSTIAN DOBUSZYNSKI/REPORTER, FOT. TOMASZ PACZOS/FOTONOVA, FOT. ŁUKASZ DEJNAROWICZ/FORUM, FOT. WOJCIECH MOSKAL/EAST NEWS, MICHAL KOSC/AGENCJA WSCHOD/REPORTER, KAMIL PIKLIKIEWICZ/DDTVN/EAST NEWS

eprasa.pl a957fc2aa1

Towarzysze PO liftingu

Grafika na podstawie Shutterstock

eprasa.pl a957fc2aa1

W Sejmie, Senacie, europarlamencie i samorządach jest mnóstwo polityków, którzy dziś w klapie mają znaczek Platformy Obywatelskiej, a w PRL długie lata nosili legitymację Polskiej Zjednoczonej Partii Robotniczej. Dlatego tak bardzo zniesmacza, że właśnie to grono próbuje obecnie rządzących wstawić pod czerwony sztandar. Gdzie są granice politycznej hipokryzji? Sprawdźmy, ile tak naprawdę jest PZPR w PO

MAREK PYZA MARCIN WIKŁO

Operacja wtłaczania Polakom rzekomego znaku równości pomiędzy Prawem i Sprawiedliwością a PZPR trwa w najlepsze. To nie tylko coraz liczniejsze wypowiedzi totalnej opozycji czy internetowe memy, lecz przede wszystkim akty wandalizmu na elewacjach biur poselskich.

Próbuje się wmówić, że to taka fajna, modna akcja – a przecież dzieciaki sprejujące pseudoluzackie hasła (PiS=PZPR+) na asfalcie Owsiakowego festiwalu Pol'and'Rock (dawny Przystanek Woodstock) pewnie nawet za dobrze nie wiedzą, co oznacza czteroliterowy skrót, który przylepiają do rzekomo odbierającego im wolność PiS.

Wszystko przy pełnej akceptacji, wsparciu, a nawet zachętach ze strony polityków opozycji, sprzyjających jej mediów i bojówkarskich organizacji mieniących się obrońcami demokracji oraz państwa prawa.

Ta kampania jest oczywiście pomysłem absurdalnym, bo przecież wiadomo, że ugrupowanie Jarosława Kaczyńskiego wywodzi się z „Solidarności". Spośród znaczących dziś sił politycznych jest najbardziej antykomunistyczne. To ono pierwsze w III RP próbuje się rozliczyć z peerelowskim i postpeerelowskim rudymentem – czy to w sądach, służbach specjalnych, energetyce, czy emeryturach. PiS oczywiście ma w swoich szeregach byłych członków PZPR (żongluje się zazwyczaj nazwiskami Stanisława Piotrowicza, Andrzeja Kryżego, Wojciecha Jasińskiego, Krzysztofa Czabańskiego czy Macieja Łopińskiego), ale największą perfidią tej operacji jest to, że nakręca ją Platforma Obywatelska, która (poza SLD) jest bodaj najbardziej obciążona komunistyczną przeszłością swoich działaczy.

DOWCIPNI WANDALE

Na początek spójrzmy na obecnych parlamentarzystów partii Schetyny. W Sejmie zasiada Marcin Święcicki, już od 1967 r. członek Związku Młodzieży Socjalistycznej (m.in. jako wiceszef koła ZMS na Uniwersytecie Warszawskim), w latach 1971–1979 w Związku Socjalistycznej Młodzieży Polskiej, a od roku 1974 do wyprowadzenia sztandaru w PZPR. Przez dekadę (również w czasie stanu wojennego) był głównym specjalistą w Komisji Planowania przy Radzie Ministrów, w 1982 r. został dyrektorem ds. studiów i analiz w Konsultacyjnej Radzie Gospodarczej, w latach 1987–1989 był jej sekretarzem generalnym. Już po wyborach z 4 czerwca 1989 r. wszedł w skład Komitetu Centralnego PZPR, w którym przez trzy miesiące pełnił nawet funkcję sekretarza. Przy okrągłym stole reprezentował stronę komunistycznego rządu.

Dwa rzędy przed Święcickim swoje miejsce w sali plenarnej Sejmu ma Leszek Korzeniowski, były szef PO w województwie opolskim. W Platformie od początku. A w PZPR do samego końca – od lat 70. Jak przyznawał po latach, wstąpił do niej z pobudek ideologicznych.

Bliżej przewodniczącego partii (drugi rząd) zasiada Iwona Śledzińska-Katarasińska, członkini PZPR w latach 1972–1981. Jeszcze wcześniej rozpoczęła pracę w „Dzienniku Łódzkim" i prasowym organie łódzkiego KW PZPR – „Głosie Robotnika". W marcu i kwietniu 1968 r. w „DŁ" włączyła się w antysemicką nagonkę ówczesnej władzy. Pisała m.in.: „Wydarzenia, które zdobyły sobie miano wypadków marcowych, opatrywane różnymi przymiotnikami, dowiodły, że studenci mają ogromną ilość zapału, wielu z nich nie posiada jednak odpowiedniej wiedzy, rozeznania, bieżącej informacji, które pomogłyby ten zapał właściwie spożytkować". A w majowym jej artykule zatytułowanym „Tym, którzy zapomnieli. Syjonizm – aktywność i bierność" czytamy: „Nie ma takiego błota, którym nie obrzucono by nas, Polaków, w ostatnim czasie. Naprawiacze i weryfikatorzy historii spod znaku syjonizmu zapomnieli jednak o jednym. To błoto nie nas brudzi, lecz ich samych"; czy o syjonistach „w swoim brudnym zacietrzewieniu jednoczących się pod znakiem gwiazdy Dawida".

Pytamy posłów PO o pomazane sprejem elewacje biur parlamentarzystów PiS. – Nie widzę w tym żadnego przestępstwa – mówi bez żenady Iwona Śledzińska-Katarasińska. – Pisanie po murach może nie jest zajęciem szlachetnym, ale w przypadku, który ja znam [chodzi o biuro posła Krzysztofa Czabańskiego – przyp. red.], to miał być dowcip. I, szczerze mówiąc, wyszedł nie najgorzej – wyznaje z uśmiechem. Z wyraźną satysfakcją dodaje: – Kto mieczem wojuje, od miecza ginie. To PiS sięga ludziom do piątego pokolenia wstecz, żeby im wypominać niecne pochodzenie, kontakty i relacje. Ja, podobnie jak pan Czabański, byłam w PZPR, ale w przeciwieństwie do niego nie walczę w tej chwili z PZPR ani z ludźmi PZPR i nie czynię z tego swojego sztandaru.

Marcin Święcicki uważa, że porównanie PiS do PZPR jest jak najbardziej uprawnione. – Opluwanie ludzi przez media, szczucie, najgorsza propaganda pezetpeerowska tak robiła – mówi poseł. Staje też w obronie sędziowskiej kasty, na którą

eprasa.pl a957fc2aa1

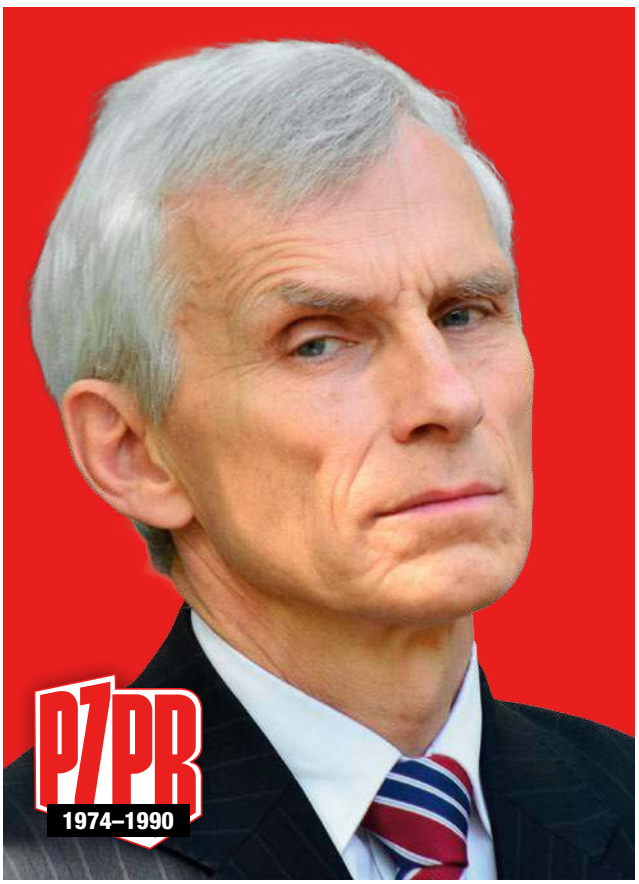

Fot. Mariusz Gaczyński/East News

Poseł PO Marcin Święcicki w PZPR od roku 1974 do końca jej istnienia

rzekomo organizuje się nagonkę. – Sędziów jest 10 tys. Zawsze się znajdzie paru takich, którzy ukradną pendrive'a albo pęto kiełbasy – tłumaczy zniesmaczony. Wygląda na to, że większym problemem jest dla niego upublicznianie takich informacji niż fakt, że złodzieje w togach rzeczywiście się zdarzają.

Posłanka Magdalena Kochan (od 1970 do 1981 r. w Polskiej Zjednoczonej Partii Robotniczej, w latach 1987–1989 należała do satelickiego Stronnictwa Demokratycznego) to kolejna osoba, która łączy PiS z PZPR, ale zdecydowanie odcina się od aktów wandalizmu. – Niszczenie czyjegoś mienia i mazanie po elewacjach, bez względu na to, co się myśli o politykach, którzy w tych biurach zasiadają, jest nie do zaakceptowania – mówi stanowczo. – Jeśli natomiast chodzi o moją pamięć dotyczącą jedynej przewodniej partii narodu i centralizację władzy w wykonaniu PiS, to niestety te paralele są – dodaje.

Marek Jakubiak, poseł Kukiz'15 (też z opozycji i też trudno podejrzewać go o nadmierną sympatię do Prawa i Sprawiedliwości), uważa, że przejmowanie kolejnych instytucji to w naszych realiach politycznych żadna nowość. – Platforma również niedawno miała pełnię władzy, łącznie z prezydentem, sądami i trybunałem. I co, wtedy było dobrze? – pyta retorycznie.

PRZYGARNIANIE „CZERWONYCH"

Nie zapominajmy o „izbie refleksji" – jak niekiedy mówi się o Senacie. Mieczysław Augustyn był co prawda „tylko" członkiem władz PRON (Patriotycznego Ruchu Odrodzenia Narodowego – organizacji przy Jaruzelskim), ale za to bardzo aktywnym w propagowaniu ustroju i w walce z demokratyczną opozycją. Jako zastępca redaktora naczelnego „Dialogu Pilskiego" (biuletyn lokalnego PRON) pisał w grudniu 1983 r.: „[...] Zupełnie inaczej było w okresie działania »Solidarności«, kiedy to starano się paraliżować wszelkie poczynania władzy, w tym głównie administracji. Okres ten wykazał, że bez sprawnej i konsekwentnej oraz władnej administracji – państwo ulega rozkładowi. Na szczęście tamę tym procesom położyło ogłoszenie stanu wojennego. Nastał wówczas okres działania i budowania programu odnowy przez tych wszystkich, którzy nie zwątpili w socjalistyczne ideały, uwierzyli w szczerość intencji PZPR i chcieli jej dopomóc w realizacji hasła: socjalizm – tak, wypaczenia – nie".

W Izbie Wyższej zasiada też Marek Borowski. Ten zasłużony działacz PZPR (w latach 1967–1968 i 1975–1990, w stanie wojennym rozpoczynający dyrektorską karierę w Ministerstwie Rynku Wewnętrznego) formalnie jest senatorem niezależnym, ale w kampanii startował z poparciem PO, która w jego okręgu nie wystawiła własnego kandydata.

Podobnie było cztery lata wcześniej z Włodzimierzem Cimoszewiczem (prawie dwie dekady w PZPR oraz młodzieżowych organizacjach socjalistycznych). W ramach zacieśniania współpracy z Cimoszewiczem – a może w zamian za poparcie w 2010 r. ekspremiera dla Bronisława Komorowskiego – Platforma przyjęła na listy jego syna, Tomasza.

Jeszcze bliższe związki z PO nawiązał Grzegorz Napieralski. Były szef SLD (a więc spadkobiercy PZPR) i lider postkomunistów w latach 2009–2011 startował do Senatu z list Platformy. Po wyborach został senatorem niezależnym.

Jeśli program PZPR+ przypiąć mielibyśmy do PO, jego największych beneficjentów należy szukać w Brukseli. Europosłem jest przecież Tadeusz Zwiefka, w rządzącej Polską Ludową partii od 1975 r. (wcześniej sześć lat w Związku Młodzieży Socjalistycznej i Socjalistycznym Związku Studentów Polskich). Dzięki odpowiedniej linii ideowej zrobił w PRL karierę dziennikarską. Zaczął ją w 1982 r. w poznańskim ośrodku Telewizji Polskiej, by po '89 r. stać się jedną z twarzy informacji oraz publicystyki TVP.

Danuta Hübner legitymację PZPR miała przez 17 lat (1970–1987). Dariusz Rosati – aż 24 (1966–1990). Był sekretarzem Komitetu Uczelnianego PZPR na SGPiS, w latach 1987–1990 uczestniczył w pracach Komisji ds. Reformy Gospodarczej, od 1988 r. był członkiem zespołu doradców ekonomicznych premiera Rakowskiego.

Z grona europosłów najkrócej w PZPR była Barbara Kudrycka (minister nauki i szkolnictwa wyższego w rządzie Donalda Tuska) – od 1978 do 1981 r.

Nie możemy jednak zapominać o postaciach, które w centralnej polityce dziś już nie grają pierwszoplanowych ról, ale szczyty politycznej sławy osiągnęły w szeregach Platformy. To m.in. Andrzej Olechowski, założyciel PO, który co prawda

eprasa.pl a957fc2aa1

w PZPR nie był, ale dzielnie dla władzy ludowej pracował, m.in. współpracując z peerelowskim wywiadem. Chichotem historii jest to, że właśnie on w 2013 r. porównał Platformę do PZPR.

Kolejną ważną postacią w Platformie jest Zbigniew Ćwiąkalski (najpierw jako minister sprawiedliwości, później w radach nadzorczych państwowych spółek, a także jako prawnik i ekspert partii). Do PZPR należał w latach 1972–1981.

Lista ludzi Platformy, którzy przewinęli się przez polski parlament, a przed '89 r. należeli do PZPR, jest długa. Wymieńmy tylko garść nazwisk. Miron Sycz (poseł w latach 2007–2015), Bożena Sławiak (posłanka 2007–2015), Witold Gintowt-Dziewałtowski (w PZPR od 1968 r. do końca, później w SLD, w poprzedniej kadencji senator PO), Grażyna Ciemniak (członkini PZPR w latach 1976–1990, później w SLD i PO, m.in. jako posłanka w latach 2014–2015). Legitymację partyjną często zmieniał Michał Kaczmarek – w latach 1980–1990 należał do PZPR, później w SdRP (wymyślił nazwę Socjaldemokracji Polskiej) i SLD, będąc radnym lewicy w łódzkim sejmiku, w 2008 r. przeszedł do PO, a w najbliższych wyborach samorządowych znów znajdzie się na listach postkomunistów. Karol Węglarzy to platformerski radny sejmiku śląskiego (2006–2014), który nie dostał się w ostatnich wyborach do Senatu, ale w latach 1980–1985 reprezentował w Sejmie PZPR. Marian Czerwiński był posłem PZPR od 1989 r., później m.in. szefem struktur PO w powiecie dębickim.

Tych nazwisk jest tak dużo, że nie analizujemy już długiej listy samorządowców z Platformy (a kiedyś z PZPR), którzy nie angażowali się w centralną politykę, postaci współpracujących z totalitarną władzą jako tajni współpracownicy służb (najgłośniejszym przykładem jest tu Michał Boni), czy eksczłonków Zjednoczonego Stronnictwa Ludowego (choćby Ewy Kopacz).

NAPISY I CO DALEJ?

Mazania po siedzibach biur PiS są przez polityków opozycji lekceważone. Dziennikarskie autorytety III RP próbują incydenty niuansować, wręcz usprawiedliwiać. „Ludziom, którzy to wypisują, PiS, jego metody, język propagandy, typ jego aktywistów, potęga intelektualna, uroda moralna, ich kwitnące wartości, wszystko to im się kojarzy z PZPR" – mówił w TOK FM Adam Michnik, redaktor naczelny „Gazety Wyborczej", krasząc tym wywodem krytykę rządu Zjednoczonej Prawicy. „Mamy do czynienia z czymś bardzo osobliwym. Kiedyś socjologowie będą to opisywali jako moment szaleństwa, któremu sprzyja dodatkowo koniunktura międzynarodowa" – mówił Michnik. To brzmi prawie jak zachęta do dalszych działań, które na razie ograniczają się do sprejowania, ale mając w pamięci polityczne morderstwo działacza PiS Marka Rosiaka, nie można przechodzić obok nich obojętnie. Szczególnie wobec narastającej agresji na manifestacjach opozycji.

Zaczęło się od zdewastowania zabytkowego gmachu Sejmu przez aktywistkę tzw. ruchów kobiecych. Zdążyła napisać

Fot. Wojciech Stróżyk/REPORTER

Posłanka PO Iwona Śledzińska-Katarasińska, członkini PZPR w latach 1972–1981

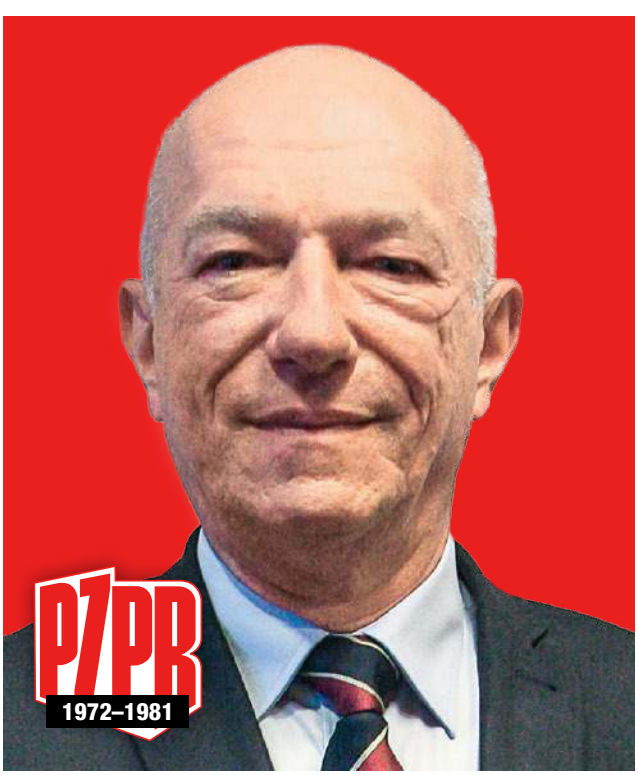

Fot. Piotr Grzybowski/SE/East News

Zbigniew Ćwiąkalski, kolejny ważny polityk PO. Do PZPR należał w latach 1972–1981

eprasa.pl a957fc2aa1

„Czas na są...". Ktoś tę robotę dokończył: „Czas na sąd ostateczny. Wypier...lać".

Później dwukrotnie zniszczono witrynę Biura Zarządu Okręgowego PiS w Warszawie, które jednocześnie pełni funkcję biura poselskiego Jarosława Krajewskiego i Mariusza Kamińskiego. Na szybie pojawił się napis „PZPR+", tydzień wcześniej ktoś napisał „Se możecie wyp...lać". Sprawców nie ujęto, choć podobno monitoring zarejestrował zajście. Z kolei w Elblągu biuro posła PiS Jerzego Wilka zdewastowano napisem: „Czas na sąd ostateczny. Wyp...lać". Sprawa trafiła na policję. Podobne hasła znalazły się także na filiach biura poselsko-senatorskiego, które poseł Czabański ma wspólnie z senatorem Andrzejem Mioduszewskim w Wąbrzeźnie i Golubiu-Dobrzyniu. Policja zatrzymała 48-letnią kobietę, znów aktywistkę tzw. ruchów kobiecych, która wykonała napisy. Po przewiezieniu na komisariat podejrzana usłyszała zarzut... propagowania ustroju totalitarnego. W tym przypadku prokurator, delikatnie mówiąc, nie popisał się, prowokując serię kpin i odwracając uwagę od sedna problemu. Gdyby postawił oczywisty zarzut wandalizmu, byłoby to zrozumiałe i ucięło wszelką polemikę.

Po tym na kilku kolejnych biurach PiS pojawiły się kartki formatu A4 z napisem „PZPR". To wyjątkowo żenująca sytuacja, bo sprawcy sami poinformowali policję o swoim „czynie". Piszemy o tym, bo domyka się w tym miejscu wątek zachęcania do chuligaństwa ze strony dziennikarzy. Wśród naklejaczy byli m.in. redaktorzy tygodnika „Polityka" i „Gazety Wyborczej". To niewątpliwie liderzy opinii – podatny grunt znajdują wśród publiczności najbardziej rozpolitykowanego festiwalu w Polsce organizowanego przez Jerzego Owsiaka. Efekt pojawił się natychmiast, już na pierwszych fotografiach z Kostrzyna nad Odrą widać napisy farbą w spreju „PiS=PZPR+".

AUTORYTETY U SIEBIE

Żeby młodzi dobrze rozumieli, potrzeba jest starszych, którzy im to wszytko pięknie wytłumaczą w zaprzyjaźnionej telewizji TVN24. W tej materii Platforma Obywatelska może liczyć na naprawdę szeroki wachlarz autorytetów, często wywodzących się z peerelowskiej partii matki.

Reformy sądowe zawsze chętnie skrytykuje były prezes Trybunału Konstytucyjnego Andrzej Rzepliński (zapisał się do partii, mając 22 lata, w 1971 r., należał do 1981 r.). Z właściwą sobie swadą o PiS, z którym „trzeba się bić o Polskę" (to tytuł jego książki z 2016 r.), opowie były wicepremier i szef NBP Leszek Balcerowicz (w PZPR od 1969 r., wystąpił z partii po wprowadzeniu stanu wojennego). Niejednego młodszego od siebie trolla internetowego czasem zawstydza, pasjami atakując PiS, ekonomista Waldemar Kuczyński (zapisał się do PZPR w 1959 r., później działał także w „Solidarności"). Zawsze cennym ekspertem uderzającym w obecny rząd będzie także prezes Fundacji im. Batorego Aleksander Smolar (partyjną drogę zaczął w ZMP i ZMS, w latach 1963–1968 był II sekretarzem komitetu PZPR na Wydziale Ekonomii Politycznej UW, później z partii usunięty).

Wreszcie Tomasz Nałęcz, także częsty gość TVN24, historyk i polityk z 20-letnim stażem w PZPR (1970–1990). Popierał prezydenckie kandydatury Marka Borowskiego i Włodzimierza Cimoszewicza, by w końcu wylądować w kancelarii Bronisława Komorowskiego. Ten ostatni oczywiście nie ma w CV Polskiej Zjednoczonej Partii Robotniczej, ale byli jej członkowie już w „wolnej Polsce" zawsze patrzyli na niego z uznaniem, szczególnie gdy zapraszał na obrady RBN Wojciecha Jaruzelskiego, któremu zresztą podczas mowy pożegnalnej na pogrzebie recytował słowa żołnierskiej piosenki: „Śpij, kolego, w ciemnym grobie, niech się Polska przyśni tobie".

> To Platforma Obywatelska zdecydowała w 2005 r., łamiąc swoje deklaracje z kampanii wyborczej, że zamiast wspólnie z Prawem i Sprawiedliwością zmieniać Polskę, wejdzie w buty postkomunistów i zakonserwuje stare układy

Część bohaterów tego tekstu przeszła na stronę „Solidarności" (najczęściej po wprowadzeniu stanu wojennego) i aktywnie działała w antykomunistycznej opozycji, ale partyjnego epizodu z życiorysu całkowicie wymazać się nie da. Tym bardziej zdumiewa to, że obóz obecnie opozycyjny bez poczucia wstydu próbuje skojarzyć partię rządzącą z PZPR. To o tyle kuriozalne, że to Platforma zdecydowała w 2005 r., łamiąc swoje deklaracje z kampanii wyborczej, że zamiast wspólnie z PiS zmieniać Polskę, wejdzie w buty postkomunistów i zakonserwuje stare układy.

Nie bez znaczenia jest też to, że w czasie swoich ośmioletnich rządów Platforma zbudowała system, który mógł się kojarzyć z czasami PZPR znacznie silniej niż to, co się dzieje obecnie. Rynek medialny, zwłaszcza mediów elektronicznych, był niemal całkowicie zmonopolizowany przez „przyjaciół" ekipy Tuska. Protesty społeczne traktowano nieporównanie brutalniej niż obecnie. Nie podjęto też poważniejszych kroków uderzających w przywileje grup faworyzowanych przez komunistów. Wreszcie w oficjalnym przekazie nie brakowało pogardy wobec Polaków o innych poglądach; pojawiały się także groźby, choćby zapowiedzi „dorzynania watahy".

Platforma była również partią, która przeprowadziła najpoważniejszą po 1989 r. próbę zbliżenia się do Rosji. Robiła to, kierując się wyłącznie partyjnym interesem, lekceważąc związane z tym zagrożenia dla bezpieczeństwa państwa.

Opozycja wciąż nie pogodziła się z wynikiem wyborów z 2015 r. W coraz większym stopniu uważa, że wszystkie chwyty są dozwolone. W przypadku zarzutów związanych ze skrótem „PZPR" ma jednak wyjątkowo słabe karty.

eprasa.pl a957fc2aa1

Fot. Andrzej Wiktor

Opozycja zrobi wszystko, by wykazać, że Prawo i Sprawiedliwość sfałszowało wybory. Po to, by po wyborach zacząć głosić wprost, że władza jest nielegalna – mówi **Józef Orzeł**, komentator polityczny, szef Klubu Ronina, w rozmowie z Jackiem Karnowskim

Kurs na Majdan

Jak wygląda krajobraz po protestach związanych z reformą sądownictwa? Jak ocenić akty przemocy, których byliśmy świadkami? Co nam mówi frekwencja w czasie protestów?

Józef Orzeł: Sytuacja cały czas jest stała i będzie stała aż do wyborów parlamentarnych. Opozycja nie ma żadnej innej taktyki niż czekanie na rozstrzygnięcie procesów, które uruchomiła, sięgając po ulicę i zagranicę. Ulica jest słaba, sama z siebie nie przyniesie przesilenia, ale jest konieczna, żeby była temperatura, emocje i był potencjał, który daje szansę na coś poważniejszego w jakimś kluczowym momencie.

Zapewne w okolicach wyborów 2019 r.

Bez wątpienia. Celem będzie wykazanie, nawet bez poważnych podstaw, że PiS sfałszowało wybory albo przynajmniej nie było w stanie ich odpowiednio przygotować. Mogą tu odegrać rolę sprawy naprawdę drobne, np. rozwiązania związane z wprowadzeniem RODO czy też jakieś problemy techniczne. Cokolwiek. Bo tu chodzi o stworzenie wrażenia, że z wyborami coś było nie tak. Widać, że po stronie opozycji organizują się grupy, które mają zamiar zaangażować się w sam proces wyborczy.

eprasa.pl a957fc2aa1

Chcą pilnować wyborów, bo wierzą w propagandę, która głosi, że PiS chce wybory sfałszować.

Moim zdaniem w założeniach realnego sztabu opozycji, czyli tej grupy ludzi, która myśli i układa taktykę, nie chodzi o przypilnowanie wyborów, przynajmniej nie na pierwszym planie. Ci sztabowcy nie są głupcami i w żadne fałszowanie nie wierzą. To nie są przecież metody, które byłyby obecne kiedykolwiek w myśleniu czy działaniach obecnie rządzącego obozu. Cechą formacji Jarosława Kaczyńskiego jest szacunek dla prawa.

O co więc chodzi?

Zadaniem tej grupy, która w imieniu opozycji trafi do komisji wyborczych, będzie raczej znalezienie setek, może tysiąca przypadków jakichś nieprawidłowości, nierzetelności, lekceważenia procedur, łamania procedur. I nie będzie to problemem, bo mniej więcej tyle przypadków naruszenia reguł znalazł nasz Ruch Kontroli Wyborów w roku 2015. Może pojawią się także jakieś prowokacje, jakieś ustawki.

A później spróbują podważyć wynik?

Później pójdą do sądów. Do wybranych sądów i wybranych sędziów. I ci sędziowie zgodzą się z zarzutami, że wybory przebiegły nieprawidłowo, że nie były fair, że wątpliwości są zbyt duże, by zaakceptować rezultat głosowania.

Ale to Sąd Najwyższy, właśnie reformowany, orzeka o ważności wyborów.

Tak. Później decyzje sądów niższych instancji trafią do Sądu Najwyższego. Ten sąd uzna wybory za ważne. Ale to nie przeszkodzi opozycji w zrealizowaniu jej planu. Bo wówczas zwróci się ona do Komisji Europejskiej o ocenę polityczną, a do Trybunału Sprawiedliwości UE o werdykt prawny. TSUE oczywiście stwierdzi, że wybory nie były rzetelne. I wszystko będzie jasne: opozycja zacznie głosić wprost, że władza PiS jest nielegalna. Scenariusz uznania władzy PiS za nielegalną jest możliwy tylko w odniesieniu do wyborów parlamentarnych, ponieważ wybory samorządowe nie mają tej wagi, nie są także czysto partyjne.

Czyli to, co widzimy teraz na ulicach i w mediach, to są ćwiczenia przed bitwą roku 2019? To budowanie przedpola, przygotowywanie ludzi i kreowanie odpowiedniej atmosfery?

Tak. Zwróćmy uwagę, że organizacje mające się zajmować kontrolą wyborów, czyli np. Obywatelska Kontrola Wyborów, Wolontariusze Wolnych Wyborów, afiliowały się przy reaktywowanym przez Lecha Wałęsę Komitecie Obywatelskim. Moim zdaniem to dość lekceważone ciało może odgrywać rolę ważniejszą, niż sądzimy. To może być nieformalny sztab. Obejrzałem ponaddwugodzinną relację z obrad tego ciała i muszę przyznać, że to materiał bardzo interesujący.

> Centrum decyzyjne opozycji nie znajduje się w partiach. Centrum decyzyjne stanowi od lat ta sama grupa. To są ludzie związani mniej lub bardziej pośrednio ze środowiskiem „GW"

Dlaczego?

Było tam niewiele osób, ale byli reprezentanci wszystkich grup opozycyjnych. Dało się zauważyć nadreprezentację rozrabiaczy ulicznych. To wskazuje na spodziewany kierunek działania. Co więcej, właśnie owi rozrabiacze byli przyjmowani szczególnie entuzjastycznie. Traktowano ich jako rodzaj siły uderzeniowej, swego rodzaju Gwardię Ludową. Może tu chodzić o podział ról pomiędzy partiami politycznymi a grupami działającymi na ulicach; partie polityczne schowają się gdzieś na zapleczu i będą czekały na wynik większych i mniejszych utarczek.

Partie wiedzą, że skojarzenie z przemocą może im zaszkodzić.

Moim zdaniem centrum decyzyjne opozycji nie znajduje się w partiach. Centrum decyzyjne stanowi od lat ta sama grupa. To są ludzie związani mniej lub bardziej pośrednio ze środowiskiem „Gazety Wyborczej". To oni układają plan walki. Spotkałem się dość przypadkowo z jednym z nich – z Jakubem Bierzyńskim, człowiekiem, o którym mówiono, że był spin doktorem Nowoczesnej. Świetny znawca mediów, dobrze rozumiejący politykę.

Jakie są dziś jego diagnozy?

Ma dwa założenia. Po pierwsze, rozbita opozycja przegra z PiS. I drugie, wydawałoby się całkowicie sprzeczne z pierwszym: Platforma nie ma szans, Platforma jest skompromitowana brakiem polityki wrażliwej społecznie, Platforma to ludzie walczący tylko o swój interes. Nie ma szans również Nowoczesna, nieudany eksperyment złożony z ludzi niezbyt mądrych, nienadających się do przewodzenia. Żadna z tych partii nie wygra, ponieważ PiS wygrał polityką społeczną. Wygrał, bo oddaje ludziom to, co poprzednie ekipy zabrały. W tej sytuacji jedyną drogą do zwycięstwa jest postawienie na lewicę. A na lewicy najsilniejszy jest SLD.

Sojusz urósł, ale wciąż nie przekracza 10 proc. i raczej Platformy nie przegoni.

Nie można wykluczyć, że decydenci postawią na obie nogi: Platformę i Nowoczesną z jednej strony, a lewicę z drugiej. Ci, którzy zyskają przewagę, którzy będą się bardziej podobali, zostaną wskazani jako jednoczyciele. Oni postawią warunki, oni będą dominowali. Tak to widzą również niektórzy analitycy po stronie PiS. Na pewno żadna z sił nie zostanie zniszczona całkowicie. Bo jeżeli mam rację, twierdząc, że gra toczy się o uznanie wyborów za nielegalne, to wówczas czeka nas jakaś wersja Majdanu. A jeśli mamy Majdan, to moc finansowa i organizacyjna PO oraz Nowoczesnej bardzo się przyda. W takim scenariuszu SLD będzie zapewne kreowane na siłę poważną, spokojną, bezpieczną dla Unii, Rosji oraz Niemiec i w jakiejś mierze także dla USA, a w polityce społecznej bliską PiS.

eprasa.pl a957fc2aa1

SLD dawno nie rządził, jednak jest partią, która obietnice wyborcze traktowała bardzo luźno.

Zgadzam się. Moim zdaniem w normalnych warunkach ludzie tego nie kupią i wybory wygra PiS. Ale jeśli mówimy o scenariuszu majdanowym, o uznaniu władzy za nielegalną, otwierają się nowe ścieżki i dużo więcej jest możliwe. Z perspektywy opozycyjnej pojawiają się też nowe ryzyka, bo czy Platforma pogodzi się ze swoją degradacją do roli przystawki? Może walczyć. Pamiętajmy, że PO reprezentuje układ głęboko rządzący w Polsce, a więc owe „deep state": media, biznes, służby, związki z zagranicą. To jest układ dużo silniejszy niż PiS. Układ, który przegrał w demokratycznych wyborach, ale który swoją siłę zachował.

Z tego, co pan mówi, wynika, że kluczowym elementem całej układanki znów stają się postkomuniści.

Tak. I nie jest to wynik przypadku. To świadomy element planu. Gdy burżuazyjna i oligarchiczna część opozycji, a więc Platforma i Nowoczesna, zaczęły tracić poparcie, kurs na lewo stał się oczywisty. Powtarzam: w tym jest dużo myślenia nie tylko o wyborach, lecz również o tym, co będzie się działo bezpośrednio po wyborach.

Jak obóz rządzący powinien zareagować na niebezpieczeństwo związane z możliwością zdemolowania wyborów? Niebezpieczeństwo, które już dziś jest kreowane coraz częstszymi incydentami z użyciem przemocy.

PiS nie chce albo nie umie zdobyć się na bardziej stanowczą i logiczną odpowiedź wobec tych sił opozycyjnych, które jednoznacznie łamią prawo. Zdaje się wierzyć, że ludzie uznają, iż władza toleruje wybryki, ponieważ jest z gruntu demokratyczna i tolerancyjna. Czy ludzie nadal będą tak myśleli w chwili, gdy pojawi się sztucznie wywołany Majdan? Nie mam pewności. Wówczas może się okazać, że demokratycznie wybrana władza jest bezsilna i nieskuteczna. Do tego może dojść kolejna groźna cegiełka, a więc wizyty radykalnych „obrońców demokracji" ze wszystkich krajów Unii Europejskiej, zwłaszcza z Niemiec. Mogą też przyjechać różni goście z Rosji, z jasnymi instrukcjami.

Nasza opozycja z pewnością wyśle serdeczne zaproszenia, gdzie tylko zdoła.

To może być próba wywołania wojny domowej. Polacy nie mają na to żadnej ochoty, ale do tego może dojść, jeśli władza nie będzie reagowała na łamanie prawa. Jeżeli się nie reaguje, to zawsze jest pytanie, gdzie jest granica, za którą zacznie się reagować. Czy będzie to siłowe wejście na teren Sejmu? A może pobicie jakiegoś posła? W którym momencie państwo zacznie działać?

> To może być próba wywołania wojny domowej. Polacy nie mają na to żadnej ochoty, ale do tego może dojść, jeśli władza nie będzie reagowała na łamanie prawa

Z drugiej strony wejście na ścieżkę bardziej zdecydowanej reakcji też jest niebezpieczne. Finałem może być eskalacja, nad którą nie da się zapanować.

Ale widać też, że ten centralny ośrodek dyspozycji, kierujący działaniami opozycji, steruje tymi bojówkami bardzo świadomie. To jest próba sprawdzenia, jak daleko mogą się posunąć, co im wolno, na co państwo nie reaguje. Chcą w ten sposób to państwo osłabić i ten cel osiągają.

Coraz śmielsze wplatanie przemocy w aktywność opozycji jest więc w pełni świadome?

Absolutnie tak. To jest szukanie granicy, do której można dojść bez reakcji państwa. To jest badanie, co wolno opozycji, a czego nie wolno pozostałym Polakom, przede wszystkim władzy. To jest poszerzanie pola działania opozycji i ograniczanie pola możliwości władzy. To jest, mówiąc wprost, przejmowanie władzy w kraju przez opozycję.

Opozycja i jej media ze szczególną konsekwencją budują także skojarzenie „PiS = PZPR". Czy to również inwestycja w przyszłość?

To inwestycja w sferze symbolicznej. Opozycja próbuje grać na wszystkich fortepianach: filozoficznym, propagandowym, znaczeniowym, symbolicznym, realnym. To naprawdę jest totalna opozycja, oni naprawdę szykują się do przejęcia państwa we wszystkich sferach. Próbują robić to już teraz, krok po kroku. Jeśli obrażają policjantów, atakują ich, opluwają, drapią, kopią i nie ponoszą konsekwencji, to znaczy, że policja nie jest policją, a pytanie o porządek zostało przeniesione w sferę odpowiedzialności opozycji. To opozycja odpowiada za porządek, a nie policja. To opozycja i jej bojówki, a nie policja, stają się podmiotem, który decyduje, czy w kraju przestrzegane jest prawo. To samo dzieje się w sądach. To groźne, bo w takiej sytuacji państwo może, nawet podświadomie, zacząć się samoograniczać. I po jakimś czasie będzie słabsze niż jego przeciwnicy dysponujący potężnymi zasobami z obszaru mediów, biznesu, służb, sojuszników zagranicznych.

Po kilku miesiącach widać też, że strategia obozu rządzącego, by łagodzić napięcia, by sięgnąć po bardziej pragmatyczny język, nie spotkała się z choćby minimalnym pozytywnym odzewem opozycji.

Ta strategia nie ma żadnych szans w odniesieniu do opozycji. Ona może się powieść w relacjach z Unią, Ameryką i w rozmowie z Polakami. Ale nie wobec opozycji. Opozycja jest zero-jedynkowa: albo rządzi PiS, albo rządzimy my. Nie ma i nie będzie niczego pośrodku.

eprasa.pl a957fc2aa1

Partia Nowa

Każde nowe ugrupowanie, jeśli powstanie, będzie punktować dzięki walce z duopolem PiS–PO. Ale realnych szans na wielki sukces raczej nie ma

STANISŁAW JANECKI

Zjednoczenia całej opozycji nie będzie. A najważniejszym na to dowodem jest otwarcie sezonu na tworzenie nowych partii. Gdyby była szansa na wystąpienie pod wspólnym szyldem przynajmniej w wyborach parlamentarnych jesienią 2019 r., nie szukano by „trzeciej siły". Wprawdzie okrzepłe już partie uważają, że nie ma miejsca na tworzenie nowej, ale to zrozumiałe: bronią stanu posiadania i status quo.

Po 2010 r. nowe partie powstawały kilka miesięcy przed terminem wyborów parlamentarnych. Ruch Palikota zainicjowano w maju 2011 r., Nowoczesną, Kukiz '15 (formalnie ten ruch wciąż nie jest partią, ale przez wyborców jest traktowany jak partia) oraz Partię Razem w maju lub czerwcu 2015 r. Wyłamują się z tego schematu różne wersje organizacyjne narodowej demokracji, ale trudno tu mówić o nowych partiach (działają pod różnymi szyldami od początku lat 90.) czy o sukcesie w jakichkolwiek wyborach.

Kiedy powstawały Ruch Palikota, Nowoczesna, Kukiz '15 czy Partia Razem, też powszechne było przekonanie, że nowa partia nie ma szans. A jednak formacje Janusza Palikota, Pawła Kukiza i Ryszarda Petru dostały się do Sejmu, ugrupowanie zaś Adriana Zandberga zdobyło 3,62 proc. głosów, zapewniając sobie subwencję z budżetu państwa, czyli stabilność finansową. To, że już w lipcu i sierpniu 2018 r., a więc ponad rok przed wyborami parlamentarnymi, mówi się o nowych partiach, wynika z kalendarza wyborczego, czyli aż czterech głosowań od października 2018 r. do maja 2020 r. Z tego wynikają przymiarki do powoływania nowych bytów, choć najważniejsze, tak jak w 2011 i 2015 r., są wybory parlamentarne w 2019 r. (najprawdopodobniej w listopadzie).

TRZECIA SIŁA

Ci, którzy przymierzają się do tworzenia nowych partii, motywują to przede wszystkim tym, że walczą z duopolem Prawo i Sprawiedliwość–Platforma Obywatelska. Z PO–PiS-em rywalizowali też w latach 2011 i 2015 założyciele powstających wtedy ugrupowań. Walczyli z nim też mniej sprawni organizacyjnie narodowcy (założone w maju 2016 r. Stowarzyszenie Endecja okazało się klapą). Ale realnie powodem tworzenia nowych partii są oczekiwana premia za nowość oraz niestabilność lewicowo-liberalnej części sceny politycznej. Część prawicowa jest stabilna, gdyż nowe inicjatywy po tej stronie słabo sobie radzą w ostatnich latach, a PiS zostawia im bardzo mało miejsca.

Wyjątkiem jest prawicowy w sensie wyznawanych wartości ruch Kukiz '15, ale w wielu innych aspektach jest to klasyczne ugrupowanie liberalne. Nie widać na prawej stronie szansy stworzenia polskiego odpowiednika węgierskiego Jobbiku, niemieckiej Alternative für Deutschland czy francuskiego Frontu Narodowego/Zjednoczenia Narodowego. Wynika to zarówno z obawy

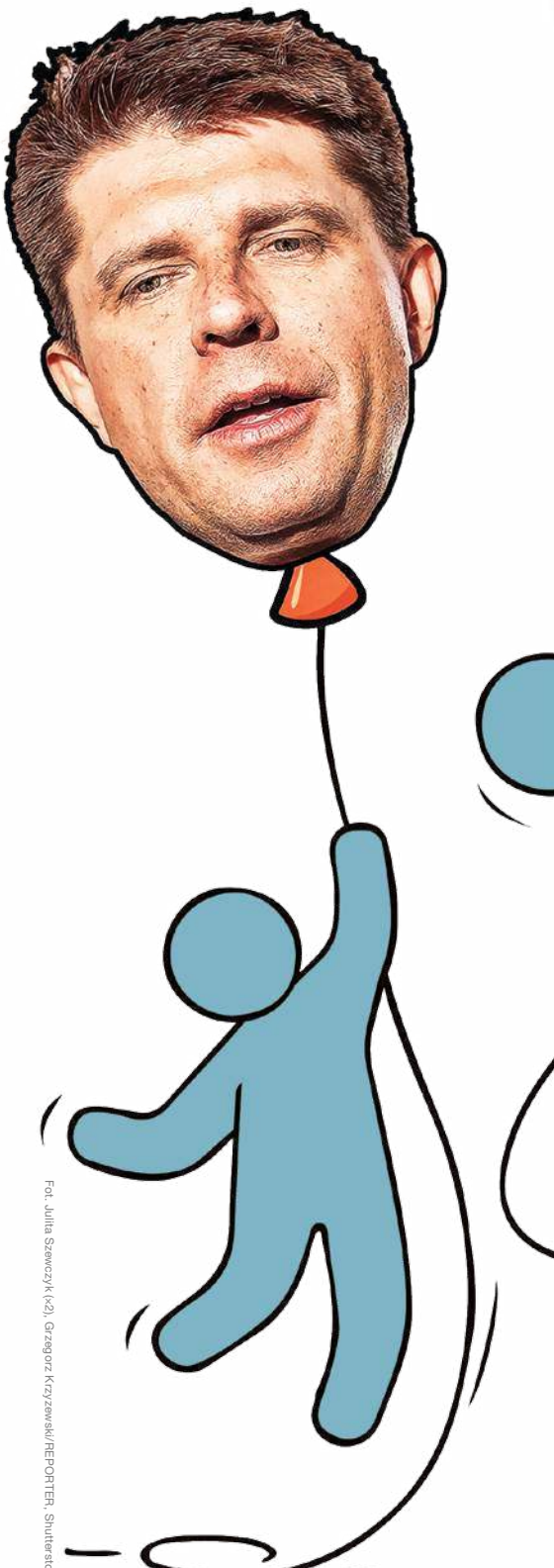

Fot. Julita Szewczyk (x2), Grzegorz Krzyżewski/REPORTER, Shutterstock

eprasa.pl a957fc2aa1

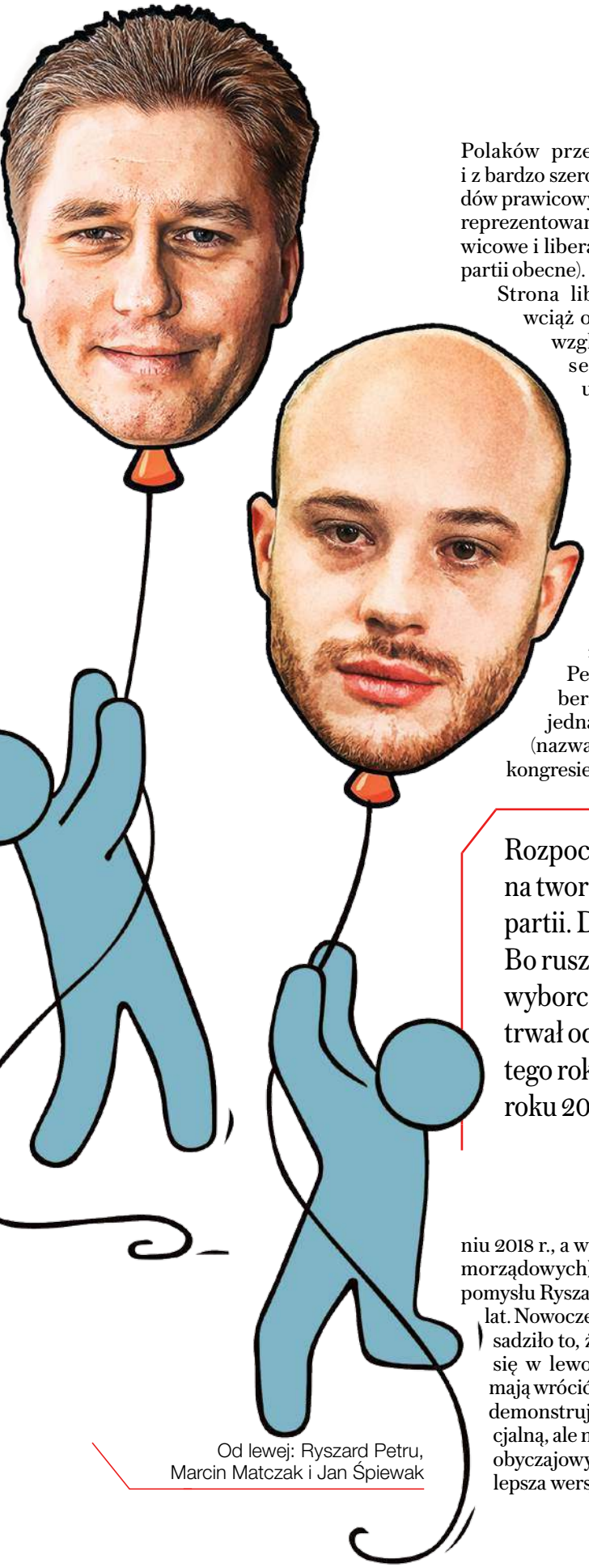

Od lewej: Ryszard Petru, Marcin Matczak i Jan Śpiewak

Polaków przed radykalizmem, jak i z bardzo szerokiego spektrum poglądów prawicowych i konserwatywnych reprezentowanych w PiS (poglądy lewicowe i liberalne też są zresztą w tej partii obecne).

Strona liberalno-lewicowa jest wciąż otwarta, czemu sprzyja względna słabość PO oraz sezonowość nowych ugrupowań, np. Ruchu Palikota, zamienionego potem w Twój Ruch, czy więdnącej w oczach Nowoczesnej pod kierownictwem Katarzyny Lubnauer.

Stan rzeczy na początku sierpnia 2018 r. jest taki, że oficjalnie nową partię zakłada tylko Ryszard Petru. Ugrupowanie Liberalno-Społeczni trudno jednak nazwać partią nową (nazwa ma być zmieniona na kongresie założycielskim w grudniu 2018 r., a więc już po wyborach samorządowych). To raczej rebranding pomysłu Ryszarda Petru sprzed trzech lat. Nowoczesną Ryszarda Petru rozsadziło to, że za bardzo przechyliła się w lewo. Liberalno-Społeczni mają wrócić do liberalnych korzeni, demonstrując tylko wrażliwość socjalną, ale nie lewicowy radykalizm obyczajowy. Znowu ma to więc być lepsza wersja Platformy Obywatelskiej, czyli taka jak w czasach „trzech tenorów" (Donalda Tuska, Andrzeja Olechowskiego i Macieja Płażyńskiego), gdy PO powstawała (w 2001 r.). Przechylona w lewo Nowoczesna Katarzyny Lubnauer została praktycznie wchłonięta przez partię Grzegorza Schetyny, więc jakieś miejsce dla Ryszarda Petru istnieje. Tym bardziej że przywództwo Grzegorza Schetyny jako lidera całej opozycji jest kwestionowane i kontestowane, więc nie ustaną próby szukania nowego lidera. Petru ma bardzo małe szanse, żeby nim zostać, choć może pomagać w wyłonieniu takiego lidera. A jego poszukiwania mogą się zacząć tuż po wyborach samorządowych.

> Rozpoczął się sezon na tworzenie nowych partii. Dlaczego? Bo rusza maraton wyborczy. Będzie trwał od jesieni tego roku do maja roku 2020

POLSKA EN MARCHE!

Jan Śpiewak w wyborach na prezydenta Warszawy reprezentuje swoje Wolne Miasto Warszawa, a ponadto Partię Razem Adriana Zandberga, Inicjatywę Polską Barbary Nowackiej oraz Zielonych Marka Kossakowskiego (znanego z ulicznych protestów). To jednak koalicja doraźna, wynikająca z tego, że tylko Jan Śpiewak ma szansę na wynik nieprzynoszący wstydu. Nic na niej nie zyskają Nowacka, Zandberg ani Kossakowski, ale wiele może zyskać właśnie Śpiewak. Przede wszystkim kapitał polityczny i rozpoznawalne nazwisko, a to dobry punkt startu dla nowej ogólnopolskiej inicjatywy politycznej. Nie wydaje się przypadkowe to, że dyrektor Żydowskiego Instytutu Historycznego prof. Paweł Śpiewak, prywatnie ojciec Jana Śpiewaka, zaczął go publicznie namawiać do powołania nowej partii. Jest bardzo prawdopodobne, że po wyborach samorządowych, a może jeszcze przed europejskimi, Jan Śpiewak stworzy nową partię. Im szybciej, tym lepiej, bowiem nazwisko Śpiewaka będzie „gorące" krótko. Jest jednak mało prawdopodobne, że Śpiewak porozumie się z Nowacką, Zandbergiem i Kossakowskim. Być może będzie to realne dopiero tuż przed wyborami parlamentarnymi w 2019 r., choć i to nie jest pewne. Za dużą rolę odgrywają tu przywódcze ambicje.

Gdyby Jan Śpiewak otrzymał w pierwszej turze wyborów w Warszawie wynik zbliżamy się do 10 proc., jego

eprasa.pl a957fc2aa1

ewentualna partia miałaby dobry punkt startu. Na tyle dobry, żeby odegrać jakąś rolę w wyborach parlamentarnych, czyli przynajmniej przekroczyć 3-procentowy próg i otrzymywać subwencję z budżetu. A gdyby była atrakcyjną nowością, mogłaby liczyć na taką premię, jaką w 2015 r. otrzymały ugrupowania Pawła Kukiza i Ryszarda Petru.

O nowej partii myślą środowiska skupione wokół „Gazety Wyborczej" i innych lewicowo-liberalnych mediów, części akademików, ludzi kultury oraz samorządowców. Byłaby to partia wzorowana na En Marche! Emmanuela Macrona, tylko zakładana w innej kolejności niż ta francuska. Tam najpierw Macron wygrał wybory prezydenckie, a potem siły go popierające się zinstytucjonalizowały jako En Marche! właśnie. Środowiska zainteresowane partią typu En Marche! doraźnie popierają PO (czy też Koalicję Obywatelską), jednak jest to poparcie na zasadzie mniejszego zła. Nie mają za grosz zaufania do Grzegorza Schetyny ani nie wierzą, że poprowadzi on PO, a tym bardziej całą opozycję do sukcesu.

Problemem partii typu En Marche! jest przywództwo. Jej lider powinien mieć bowiem już doświadczenie w rządzeniu, mieć około 40 lat i posiadać umiejętność uwodzenia mas. Wymieniany w tym kontekście Borys Budka ma tylko odpowiedni wiek, podobnie jak Kamila Gasiuk-Pihowicz czy Rafał Trzaskowski. Ten ostatni zresztą z każdym dniem kampanii na prezydenta Warszawy się dyskwalifikuje. Jest zatem pomysł, ale nie ma odpowiedniego człowieka. Dlatego wariant francuski miałby zostać zmodyfikowany i liderem polskiej partii typu En Marche! miałby być ktoś spoza polityki. Najpierw jako lider partii, a potem kandydat na prezydenta.

Z własnym kandydatem tego rodzaju wyrwał się przed szereg publicysta „Polityki" Daniel Passent, wskazując prof. Marcina Matczaka, który został wylansowany przy okazji protestów przeciwko reformom sądownictwa. Ale ten prawnik celebryta ma tę wadę, że nie posiada żadnego politycznego doświadczenia oraz nie pozyska mas, gdyż jest mocno establishmentowy i jeszcze bardziej klanowo elitarny niż Rafał Trzaskowski. Myśli się też o prof. Małgorzacie Gersdorf, ale ona jest również establishmentowa i elitarna, a ponadto mogłaby „pęknąć" podczas kampanii prezydenckiej – tak jak to się stało z Włodzimierzem Cimoszewiczem w 2005 r. W grze są też nazwiska profesorów prawa Fryderyka Zolla (syna prof. Andrzeja Zolla) i Marka Chmaja. W takiej roli chętnie by się widział Roman Giertych, ale to wyraźny przerost ego nad realnymi możliwościami. Casting na polskiego Macrona trwa, więc mogą się pojawić kolejne nazwiska.

> Borys Budka, Marek Chmaj, Małgorzata Gersdorf, Marcin Matczak, Fryderyk Zoll. Casting na polskiego Macrona trwa, więc mogą się pojawić kolejne nazwiska

CZAS CZTERDZIESTOLATKA

Przed wyborami parlamentarnymi w 2019 r. może się zmienić ruch Kukiz '15, szczególnie gdyby powstała partia typu En Marche! Wtedy Kukiz '15 ewoluowałby podobnie jak włoski Ruch Pięciu Gwiazd. Jego obecna siła (współrządzi we Włoszech, mając swego współpracownika Giuseppe Contego w fotelu premiera, a szefa partii – zaledwie 32-letniego Luigiego di Maio – jako wicepremiera) wynika z pozyskania poparcia nie tylko kontestatorów status quo (jak u Kukiza), lecz także wielu przedstawicieli nauki, kultury, wolnych zawodów. I Ruch Pięciu Gwiazd ma spektakularne sukcesy w przejęciu władzy w kilku wielkich miastach: w Rzymie burmistrzem jest Virginia Raggi (40 lat), w Turynie – Chiara Appendino (34 lata).

Gdy powstawał ruch Kukiza, popierali go niektórzy akademicy (np. prof. Paweł Śpiewak) czy ludzie kultury i przedstawiciele wolnych zawodów, lecz z czasem było ich coraz mniej. Ruch Kukiza może więc organizacyjnie ewoluować tak jak Ruch Pięciu Gwiazd, jednak jego elektorat będzie się mocno różnił od tego we Włoszech, co może zdecydować o tym, że ugrupowanie muzyka nie poprawi swoich notowań. Pozostanie jednak tą siłą, która najbardziej unaocznia powody tworzenia nowych partii: chodzi o trzecie ugrupowanie, która wciśnie się w duopol PiS–PO, a potem osłabi i może nawet zastąpi PO w roli najważniejszej partii opozycyjnej, poparcie dla PiS ograniczy zaś do twardego elektoratu. To wszystko jednak raczej pobożne życzenia niż odzwierciedlenie obecnego stanu rzeczy.

Realnie bowiem każda nowa partia (Ryszarda Petru, Jana Śpiewaka czy polska En Marche!), gdyby powstała, na co wiele wskazuje, zagrozi przede wszystkim ugrupowaniom lewicowym (także SLD) oraz Platformie Obywatelskiej (gasnąca Nowoczesna i tak się nie będzie liczyła). Głównie dlatego, że nie tylko zagospodaruje (szczególnie partia Śpiewaka i polska En Marche!) młodszych wyborców, kontestatorów czy prekariuszy, lecz również środowiska inteligenckie (w tym wielu prawników), które swoje polityczne zaangażowanie ujawniły podczas protestów przeciw reformom sądownictwa. To osoby pozytywnie różniące się od tych spod znaku KOD i Obywateli RP.

Jednak powstanie nowej (nowych) partii oznacza, przynajmniej w pierwszym okresie, osłabienie opozycji poprzez jeszcze większe jej podzielenie. Gdyby jednak któraś z nowych inicjatyw osiągnęła wyborczy sukces (w wyborach do europarlamentu czy Sejmu i Senatu), może się stać nowym centrum opozycji i nowym punktem odniesienia. I to nowe centrum najprawdopodobniej wskaże kandydata opozycji na prezydenta, który wcześniej będzie lansowany jako nowy lider opozycji. I najpewniej będzie to jakiś czterdziestolatek (czterdziestolatka). Problemem będzie tylko mobilizacja młodszej części elektoratu. Jeśli ten nowy lider jej nie porwie, nie przełamie niechęci do chodzenia na wybory, z projektu nic nie zostanie.

eprasa.pl a957fc2aa1

Oferujemy start-upom jasne reguły i elastyczne podejście

*Rozmowa z **Łukaszem Kroplewskim**, wiceprezesem zarządu PGNiG SA ds. rozwoju*

Centrum start-upowe InnVento, inkubator technologiczny PGNiG SA, działa już ponad rok. Jest pan zadowolony z efektów?

Mamy się czym pochwalić – zgłosiło się do nas ponad 100 firm i zespołów. Dzięki InnVento i MIT Enterprise Forum Poland nawiązaliśmy współpracę z 18 start-upami. Część z tych projektów jest już na etapie wdrożenia. Na przykład nowoczesne rozwiązanie oparte na platformie Digital Workplace, które pozwala usprawnić komunikację wewnętrzną, zarządzanie wiedzą i produktywnością. Inne to aplikacja wykorzystująca technologię VR, która służy do szkolenia serwisantów stacji gazowych. Realizujemy projekty z bardzo różnych dziedzin – od dronów, przez wirtualną rzeczywistość, po BIG DATA – i będziemy mogli je wykorzystać w wielu obszarach działalności Grupy Kapitałowej PGNiG: poszukiwaniach i wydobyciu węglowodorów, przesyle gazu czy obsłudze klienta. InnVento nie wyczerpuje jednak całej działalności grupy w obszarze badań, rozwoju i innowacji. Prowadzimy ją również sami, bez współpracy z zewnętrznymi partnerami. Przykładem jest opracowane przez Centralne Laboratorium Pomiarowo-Badawcze PGNiG urządzenie o nazwie SMOK, które służy do precyzyjnego pomiaru przepływu gazu skroplonego z autocysterny. Dzięki niemu będziemy mogli rozszerzyć działalność handlową i zaoferować nasz produkt nowym odbiorcom. Do niedawna klient mógł kupić co najmniej jedną cysternę takiego gazu, bo nie było możliwości odmierzenia mniejszej ilości paliwa.

Jak układa się współpraca PGNiG ze start-upami? Z jednej strony ogromna spółka, z drugiej – mały zespół zapaleńców. Trudno chyba znaleźć wspólny język.

Udana współpraca jest jak najbardziej możliwa. Podstawą jest jednak jasne określenie wzajemnych oczekiwań. Druga istotna kwestia to przejrzyste zasady. Właśnie dlatego opracowaliśmy i wdrażamy „Model ochrony własności intelektualnej w obszarze B+R". To nasz kodeks zarządzania własnością intelektualną w obszarze badań i rozwoju oraz w innowacjach – od etapu interesującej koncepcji po komercyjne wdrożenie. Model określa reguły gry, które obowiązują zarówno naszych partnerów, jak i PGNiG. W ten sposób ułatwiamy sobie współpracę i budujemy partnerskie relacje.

Według Łukasza Kroplewskiego, wiceprezesa PGNiG SA, znalezienie wspólnego języka ze start-upami i określenie wzajemnych oczekiwań jest kluczem do udanej współpracy

50/0718/F

Czy jednak taki kodeks nie wyklucza elastyczności, na której start-upom bardzo zależy?

Znamy oczekiwania i potrzeby start-upów, dlatego przygotowując „Model ochrony własności intelektualnej w obszarze B+R" wzięliśmy pod uwagę różne mechanizmy wdrażania i komercjalizacji efektów współpracy. Mogą się one opierać zarówno na odpowiednio określonych licencjach, jak i współudziale w prawach do rezultatów. Model nie jest zresztą systemem zamkniętym. Chcemy go poszerzać o nowe rozwiązania, na przykład oparte na praktykach venture capital. Nie zamykamy się na żadne formy współpracy, o ile prowadzą one do zakładanych efektów biznesowych. Celem modelu jest uproszczenie współpracy i budowanie relacji opartych na zaufaniu i rozumieniu wzajemnych potrzeb. Ale to także narzędzie rozwoju kwalifikacji w zakresie zarządzania własnością intelektualną wśród pracowników PGNiG. Chcemy zbudować w tym obszarze silne centrum kompetencji wewnątrz spółki.

eprasa.pl a957fc2aa1

MARCIN FIJOŁEK

Za kulisami (pre)kampanii

Przedziwna formuła prekampanii przed wyborami samorządowymi to tylko treningowe okrążenia przed głównym wyścigiem o fotel prezydenta Warszawy. Ale już po tej rozgrzewce widać, jak bardzo intensywny, brutalny, a przy tym wyrównany będzie to bój. Jak wyglądają ostatnie przygotowania do batalii? Jakie nastroje panują w sztabach? No i wreszcie – czy w stolicy może dojść do politycznej niespodzianki?

Siedem krzeseł. Dokładnie taka odległość dzieliła Rafała Trzaskowskiego i Patryka Jakiego podczas uroczystości z okazji 74. rocznicy wybuchu powstania warszawskiego. Obaj kandydaci uczestniczyli w apelu poległych, nie zauważając się wzajemnie. Prędzej czy później będą jednak musieli stanąć z sobą oko w oko; na razie jednak polityczna przepychanka nie przenosi się na bezpośrednie starcie.

W sztabie Trzaskowskiego najbardziej obawiają się porównań z kampanią Bronisława Komorowskiego. W zestawieniach pojawiają się te same argumenty: lenistwo, brak pomysłów i zaangażowania, bierność, co w kontekście dynamicznego kontrkandydata z PiS może przynieść podobny rezultat co przy wyścigu Komorowski–Duda w roku 2015. Sztabowcy Trzaskowskiego robią więc wiele, by zerwać z tymi porównaniami. To dlatego wymyślono, by w jeden z poniedziałkowych poranków ruszyć z akcją „18 dzielnic w 18 godzin". Od świtu do późnego wieczora Trzaskowski odwiedzał kolejne dzielnice stolicy. I choć to pomysł po prostu skopiowany z kampanii Andrzeja Dudy (a wcześniej jeszcze Davida Camerona), to cel był jeden: pokazać, że kandydat PO nie jest leniwy, że mu się chce, że działa i walczy.

Efekt? Z jednej strony kilka gazet i portali odnotowało aktywność Trzaskowskiego, ale ten 18-godzinny pokaz energii odbił się kandydatowi PO czkawką. Już w trakcie przejazdu pojawiały się doniesienia o tym, że Trzaskowski tylko pozuje do zdjęć w metrze, a potem przesiada się do wygodnego busa. Swoje zrobił też reportaż „Dużego Formatu" (dodatku do „Gazety Wyborczej") z tego wydarzenia. Z krótkiej, acz barwnej relacji wyłania się obraz Trzaskowskiego, który na jakikolwiek ruch w kampanii musi mieć zgodę Konrada Niklewicza i Lecha Baryckiego. To zresztą ciekawi ludzie – Niklewicz dał się poznać jako eksdziennikarz „Gazety Wyborczej", który był rzecznikiem cukierkowej opowieści o polskiej prezydencji w Radzie Europejskiej. Z kolei Barycki to dawny szef gabinetu politycznego Ewy Kopacz, która podziękowała mu jednak za współpracę, gdy ujawniono, że ten pracował dla spółki przejmującej państwowe przychodnie i szpitale. Dziś obaj dyrygują staraniami i działaniami Trzaskowskiego.

Patryk Jaki postawił na bezpośredni kontakt z mieszkańcami Warszawy. Sale na spotkaniach, które odbywają się zazwyczaj popołudniami i wieczorami, są regularnie zapełniane. Nie ma też dnia, by nie zorganizował konferencji, rzucając kolejnymi pomysłami: budową dwóch następnych linii metra, stworzeniem domu powstańca czy inwestycjami w infrastrukturę. Do tego dochodzi regularna praca w komisji weryfikacyjnej, gdzie odkrywane są kolejne odsłony afery reprywatyzacyjnej – często z ludźmi Gronkiewicz-Waltz (w tym samą prezydent) w rolach głównych. Jaki raz po raz przeciąga na swoją stronę działaczy stołecznej PO, którzy nie chcą dalej firmować tego, w jaki sposób zarządzane jest miasto i jak wygląda kampania Trzaskowskiego. Transfery te nie są zbyt głośne, ale pokazują, gdzie dziś jest inicjatywa. Lada moment ma ruszyć też akcja „100imy pod blokiem" nawiązująca do pochodzenia Jakiego, ale przy tym jasno wskazująca na różnice z Trzaskowskim. Kandydat PO przedstawia się bowiem – także w ostatnim kuriozalnym wpisie na Facebooku – jako przedstawiciel elit, nieco oderwany od rzeczywistości. Sztab Jakiego chce to wykorzystać do maksimum.

W ostatnich dniach sporo zamieszania wywołało przypomnienie Trzaskowskiemu spotu sprzed dziewięciu lat, w którym Michał Żebrowski wspiera polityka PO. Nie byłoby w tym niczego nadzwyczajnego (aktor przyjaźni się bowiem z Trzaskowskim), gdyby nie konwencja i scenariusz klipu. Żebrowski z zawiązanymi oczami stylizuje się w nim na kogoś tuż przed wykonaniem na nim kary śmierci. Na moment przed wystrzałem krzyczy: „Za Rafała!", co przez wielu zostało odebrane jako kpiny z czegoś, z czego żartować po prostu nie wypada. Aktor tłumaczył się, że nawiązywał do „Kordiana" Juliusza Słowackiego, sam Trzaskowski zarzucił manipulację mediom, które spot przypomniały, ale niesmak pozostał.

Na niemal każdym spotkaniu organizowanym przez Jakiego pojawiają się osoby działające w Komitecie Obrony Demokracji i Obywatelach RP. W parku tuż przed parlamentem stoją namioty, w których działacze KOD na

eprasa.pl a957fc2aa1

Fot. Andrzej Wiktor

specjalnych tablicach rozpisują sobie kampanijny grafik Jakiego. Zazwyczaj kończy się na próbach zadania niewygodnych pytań i nagrania spotkania w kuluarach, czasem jednak dochodzi też do zabawnych sytuacji. Tak było na ostatnim pikniku organizowanym przez Jakiego, gdzie członkowie KOD po chwilowej wymianie zdań po prostu zasiedli z kandydatem PiS do stołu.

Ale i sympatycy Jakiego regularnie odwiedzają spotkania Trzaskowskiego, starając się zakłócić wzorowy obraz działalności kandydata PO. To dzięki nim udało się zarejestrować zdjęcia i filmy, na których widać, że projekt ławeczki Trzaskowskiego, na której to pierwotnie mieli zasiadać mieszkańcy stolicy, został po prostu ustawiony przez działaczy Platformy. Trzaskowski jest też regularnie monitorowany pod kątem błędów językowych, np. co do nazw dzielnic Warszawy. To ma potęgować wspomniane porównanie do Komorowskiego.

Regularne wpadki i kłopoty w kampanii Trzaskowskiego sprawiły, że w Warszawie pojawiły się nawet plotki mówiące o tym, że Grzegorz Schetyna mógłby się zdecydować w stolicy na podobny ruch co we Wrocławiu i wymienić kandydata Platformy w najbliższych wyborach. To jednak bajki. Lider PO doskonale zdaje sobie sprawę, że byłby to polityczny strzał we własne kolano. Inna rzecz, że w kierownictwie Platformy panuje spory niepokój, a porażka Trzaskowskiego z Jakim byłaby również początkiem końca Schetyny jako przewodniczącego partii.

Na antenie telewizji wPolsce.pl zapytałem o szanse obu kandydatów dr. Jarosława Flisa z Uniwersytetu Jagiellońskiego. Czy jest szansa na niespodziankę? – Zaskoczenia są możliwe, bo największym wrogiem zwycięstwa jest przekonanie, że jest ono nieuchronne. Pokładanie nadziei w Warszawie jest jednak ryzykowne dla obu stron – wskazuje socjolog. Flis przypomina przy tym przypadek Kazimierza Marcinkiewicza, który mimo świetnych wskaźników w słupkach poparcia nie potrafił przełożyć tego na wyborczy sukces w Warszawie i przegrał z Gronkiewicz-Waltz.

Dlaczego tak się stało i dlaczego to Trzaskowski jest dziś wyraźnym faworytem? Pytam o to prof. Antoniego Dudka. – Kampania Jakiego jest lepsza, bardziej dynamiczna, ale musimy pamiętać o specyfice Warszawy. Tutaj dominuje liberalny elektorat, to tutaj Hanna Gronkiewicz-Waltz trzy razy z rzędu wygrywała wybory. Mamy co prawda głośną aferę reprywatyzacyjną i Patryk Jaki ma z tego powodu łatwiej, ale nie znaczy, że łatwo – tłumaczył politolog na antenie wPolsce.pl.

Podczas jednego z ostatnich posiedzeń parlamentu rozmawiałem kilka chwil z Rafałem Trzaskowskim o jego wyobrażeniu tej kampanii i o tym, że jako kandydat PO jest murowanym faworytem do wygranej w wyborach. Trzaskowski dmuchał na zimne i się zarzekał, że wynik wyborczego wyścigu o Warszawę naprawdę nie jest przesądzony. Obawiał się też innych niepisowskich kandydatów, którzy zwłaszcza w pierwszej turze wyborów mogą osłabić jego pozycję i zabrać kilka procent ważnych głosów.

Skoro o innych kandydatach mowa, to na głównego rywala Trzaskowskiego – po niepisowskiej stronie mocy – wyrasta Jan Śpiewak. Działacz ruchów miejskich z mozołem, ale i konsekwencją buduje swoją pozycję jako trzeciego gracza, który chce rozbić duopol PO i PiS. Pomysł Śpiewaka na stworzenie przed Pałacem Kultury i Nauki specjalnego terenu z mnóstwem zieleni, roboczo nazwanego Warszawskim Parkiem Centralnym, zyskał dziesiątki tysięcy głosów wsparcia. Głównie jednak w internecie, Śpiewak więc nie może być pewnym, że jego działania przełożą się na konkretną liczbę głosów.

Moi rozmówcy zwracają uwagę, że kluczowe dla wyników wyborów w Warszawie będą ostatnie tygodnie. To wtedy odbędzie się zapewne wiele debat i to wtedy – jak słyszymy – o swoim głosie zadecyduje ta część wyborców, która dziś nie interesuje się jeszcze sprawami kampanii, nie zna kandydatów albo po prostu jest na wakacjach. Przy wyrównanej walce w pierwszej turze to właśnie ci wyborcy mogą rozstrzygnąć o tym, kto zasiądzie jesienią w ratuszu. W PiS panuje nadzieja, że Jaki na tyle mocno skróci dystans do Trzaskowskiego, że wynik drugiej tury będzie sprawą otwartą. W PO panuje z kolei przekonanie, że krytyczny wobec PiS charakter większości wyborców w stolicy zablokuje triumf Jakiego. Wszystko to jednak jest pieśnią przyszłości, decydujące będzie te kilkadziesiąt jesiennych dni na przełomie września i października. Na razie i Jaki, i Trzaskowski przygotowują się do tego gorącego czasu. Chociaż żaden z nich wakacji miał nie będzie. Stawka jest zbyt duża, by pozwolić sobie na choćby dzień czy dwa dni spokoju.

eprasa.pl a957fc2aa1

Odgrzany po prawie dekadzie wyborczy spot Trzaskowskiego to dobitny symbol tamtej Polski – zawłaszczonej, wepchniętej w kompleksy i zakrzyczanej nowomową. „Koniec tej wioski, nadchodzi Trzaskowski" – takim hasłem zwolennicy PO lansowali swojego kandydata do europarlamentu. Dziś widać, jak długą przeszliśmy drogę...

Dziś nikt już nie umrze za Rafała

MARZENA NYKIEL

Jakże inna była Polska za rządów Platformy Obywatelskiej. Determinacja środowisk liberalno-lewicowych, by przeformatować polskie społeczeństwo, była silnie wspierana przez Zachód. Spot wyborczy Rafała Trzaskowskiego jest w tym kontekście ważnym symbolem. W świecie, w którym marginalizowano historię, zrównywano patriotyzm z faszyzmem i rozrzedzano tożsamość narodową, przeszedł niezauważenie. Dziś obrzydza i wstrząsa. To dowód, że świadomość historyczna, polityczna i społeczna Polaków znacząco wzrosła. Jesteśmy w zupełnie innym miejscu.

SZARGANIE ŚWIĘTOŚCI

Michał Żebrowski dał się „rozstrzelać" za Rafała Trzaskowskiego, Tomasz Karolak wydepilował dla niego nogi i udawał transwestytę. „A co Ty zrobisz dla Rafała?" – pytali. To internetowa kampania sprzed dziewięciu lat. Kandydat Platformy Obywatelskiej próbował w ten sposób dostać się do europarlamentu. Pomagali mu aktorzy, celebryci i artystowski światek Krakowa. Żaden z nich nie dostrzegał, że kampania jest niesmacznym przekroczeniem granic i kpiną z tego, co dla Polaków święte. Dziś stare, nieznane szerszej publiczności spoty zostały przypomniane przez internautów. Zawrzało.

Żebrowski stojący przy murze z czarną opaską na oczach krzyczy ostatnim tchnieniem przed egzekucją: „Dla Rafała!". Pada strzał. Pojawia się tablica z pytaniem: „A Ty co zrobisz dla Rafała?". O spocie z udziałem Żebrowskiego powiedziano chyba już wszystko. Skandaliczna kpina z ofiary życia składanej ojczyźnie przez wojennych bohaterów, którym każdy normalny Polak oddaje hołd. Do kogo kierowano ten żałosny przekaz? Do pokolenia wykarmionych hasłem „polskość to nienormalność"? Do tych, którzy razem z „Gazetą Wyborczą" kpili z martyrologii, a patriotyzm nazywali rasizmem i faszyzmem?

Był też spot z udziałem Tomasza Karolaka. Ani zabawny, ani porywający. Karolak wkracza do salonu piękności, poddaje się zabiegom, depiluje nogi, po czym jako transwestyta wychodzi na ulicę z hasłem: „Robię to tylko dla Rafała". Kto jest odbiorcą takiego przekazu? Środowiska LGBT? Heheszkowata młodzież? Trudno stwierdzić, bo ani to błyskotliwe, ani sensowne.

W obu spotach przekroczono granice. Nikt, kto rozumie narodową spuściznę i szanuje polskich bohaterów, nie posunąłby się do tak niskiej zagrywki. Ale właśnie taki Trzaskowski podobał się Platformie. Był jej złotym chłopcem, czarnym koniem, uwodzicielskim dandysem.

ZŁOTY CHŁOPIEC PLATFORMY

„Koniec tej wioski, nadchodzi Trzaskowski" – brzmiało hasło promowane przez internetowych zwolenników. „Nadchodzi czas naszego pokolenia, pora przejmować pałeczkę, jesteśmy do tego dobrze przygotowani" – zapowiadał sam Trzaskowski. Już wtedy widoczne były jego bufonada i narcyzm. „Jeśli sądzę, że tak trzeba, nie waham się sam przedstawić własnych zalet, co w Polsce jednak ciągle nie jest przyjęte" – mówił w jednym z wywiadów. „Gdziekolwiek się znajdę, tam będę dobry" – zapewniał przed objęciem fotela w Parlamencie Europejskim. Lubi mówić o sobie. O tym, że ma w bibliotece ok. 12 tys. książek, że kiedyś namiętnie zakochał się w renesansie, że kilkadziesiąt razy jeździł do Florencji i kupił z tej dziedziny kilkaset książek w różnych językach.

O atmosferze panującej w jego rodzinnym domu opowieści snuł Michał Żebrowski, z którym przyjaźnią się od podstawówki, gdzie przez osiem lat siedzieli w jednej ławce. „W domu Rafała panował klimat szlachecko-inteligencki, a przy stole

eprasa.pl a957fc2aa1

Fot. Shutterstock, mat. prasowe

wdzięk i poczucie humoru, a nie zapyziała nuda polskich wizyt. Gadało się tam o wszystkim, a najwięcej o kulturze. Była też otwartość poglądów, na którą załapywałem się bez trudu, chociaż pochodziłem z rodziny ultrakatolickiej" – wspominał Żebrowski. Pytany, co takiego ma w sobie Trzaskowski, odpowiadał: „Należałoby raczej zapytać, czego on nie ma? Moim zdaniem ma zadatki na naturalnego lidera naszego pokolenia".

Przy tej okazji warto zapytać: gdzie ta kultura? Gdzie ta wrażliwość? Bo przecież kampania „Co ty zrobisz dla Rafała?" była przemyślanym produktem marketingowym przygotowanym przez profesjonalistów. W tygodniku „Polityka" z 2009 r. czytamy: „Kiedy Michał Sorówka, współwłaściciel agencji Grandes Kochonos, usłyszał, że Trzaskowski ma za sobą nie tylko wolontariuszy, ale też skłonnych poprzeć go celebrytów, oprócz Żebrowskiego, Urszulę Dudziak, Tomasza Karolaka, Piotra Adamczyka, Grzegorza Turnaua i innych – wtedy zdecydował, że nie warto działać standardowo i obiecywać wyborcom, co Rafał dla nich zrobi. I choć była to ryzykowna zagrywka, należało odwrócić sytuację – tak powstało hasło: Co ty zrobisz dla Rafała?".

Kampanię uznano za sukces. Sam Sorówka chwalił się nim później w „Polityce", z pełnym uznaniem wypowiadając się o Trzaskowskim: „Wiadomo, że bez celebrytów taka akcja nie mogłaby się udać. Zaryzykowali i oni, i moja agencja, bo potrzebni są normalni i kompetentni ludzie w polityce". Trzaskowski miał świadomość treści, które niosą jego spoty. W końcu to inteligent z bogatą tradycją rodzinną. „Walczyłem ostro, bo nie jest łatwo wystartować, nie będąc częścią establishmentu. Dla mnie ważne było to, żebym się nie ośmieszył, a tak byłoby, gdybym dostał pięćset głosów" – mówił Trzaskowski w 2009 r.

Taki jest prawdziwy obraz człowieka, który dziś próbuje się odcinać od tej przeszłości. Jego naiwny koniunkturalizm zniechęca nawet najwierniejszy elektorat Platformy. Bo kto uwierzy Czaskoskiemu z Krakowa, że jest wybitnym kandydatem na prezydenta Warszawy?

WYRYWANIE KORZENI

Warto zwrócić uwagę na pewien istotny element tamtych czasów. Liberałowie z Unii Europejskiej na wszelkie sposoby próbowali poddać Polskę procesowi, przez który Zachód przeszedł wiele lat wcześniej: rozcieńczenia wielokulturowością, permisywizmem. Platforma Obywatelska była idealnym narzędziem do wprowadzania zmian kulturowych. Indoktrynacja lała się strumieniami w mediach i wdzierała się do edukacji. Przypomnijmy, jakiej szkoły chciały ówczesne „elity". Magdalena Środa opisała to we wstępie do „Raportu równościowego" w 2008 r. Kreśli w nim wizję nowej edukacji, która przeciwstawi się normom etyki chrześcijańskiej i nie będzie powielać patriotycznych stereotypów. Kluczowym zadaniem reformy miała być nowa wizja społeczeństwa. Twierdziła, że ówczesna szkoła wymaga zmian, ponieważ rewitalizuje XIX-wieczne wzorce aksjologiczne i wychowawcze.

„Można je wyrazić w haśle: »Jednostka niczym bez rodziny i narodu, a naród niczym bez tradycji i religii«. Polska szkoła wychowuje – i zapewne jeszcze długo wychowywać będzie – ku społeczeństwu patriarchalnemu i narodowemu, gdzie męską dominację uznaje się za rzecz naturalną, gdzie wysoko ceni się niepodlegającą żadnej krytyce martyrologiczną przeszłość, a mniej – europejską przyszłość, gdzie promuje się narodowy patriotyzm, a nie poczucie przynależności do kultury i europejskiej wspólnoty, gdzie świętością jest rodzina, a nie jednostka, gdzie każda płeć ma swoje powołanie i każdy »obcy« zna swoje miejsce, gdzie moralność sprowadzona jest do religijnych deklaracji i rytuałów, a za przyczynę wszelkiego zła uważa się krytycyzm, nieposłuszeństwo autorytetom oraz seks" – pisała.

Tacy ludzie jak Trzaskowski mieli brać udział we wprowadzaniu w życie tych pomysłów, mających przygotować nowego Polaka „do życia w otwartym społeczeństwie ludzi wolnych i równych". Mimo wszelkich koniunkturalnych przeobrażeń Trzaskowski wciąż jest uosobieniem tego trendu. Wróćmy jednak do niego samego...

CIĘŻAR KOMPLEKSÓW

Jest jedna, niezmienna i charakterystyczna cecha, którą widać w każdym spojrzeniu Trzaskowskiego: chorobliwa obawa przed tym, żeby się nie ośmieszyć. Jest tak silna, że go paraliżuje. Podczas gdy Patryk Jaki bez reszty skupia się na przedmiocie działania, Trzaskowski skupiony jest na samym sobie. Jaki prezentuje nowe wizje, pomysły, odkrywa potrzeby warszawiaków i odpowiada na nie, Trzaskowski drepcze wokół totemu własnego ego i odgrzewa niespełnione obietnice wyborcze Hanny Gronkiewicz-Waltz.

Jako kandydat ciągnie Platformę w dół i zaprzepaszcza niekwestionowane wcześniej szanse wyborcze. Nawet gazeta Michnika przestała na niego stawiać. Pojawia się więc pytanie: czy spot wyborczy z Żebrowskim, który kompromituje Trzaskowskiego, nie został celowo odkurzony przez bliskie mu środowisko? Skoro wymieniono kandydata we Wrocławiu, można wymienić go i w Warszawie. Kampania wyborcza – formalnie rzec biorąc – jeszcze się nie zaczęła...

eprasa.pl a957fc2aa1

Niebezpieczny trend

Pasmo naiwnie prorosyjskich wypowiedzi Kornela Morawieckiego można by zlekceważyć, ale nie da się tak zrobić, bo wpisuje się ono w pewien szerszy trend

1. Kornel Morawiecki nie jest politykiem bardzo znaczącym. Jest wiekowym, niekontrolowanym przez nikogo ekstrawagantem. Nie należy też do partii rządzącej.

Ale zarazem przyszedł do Sejmu jako działacz ugrupowania będącego obok PiS swego rodzaju drugim, mniejszym elementem obozu IV RP. I choć z klubu kukizowców wystąpił, pozostaje w oczach niektórych czymś w rodzaju ponadpartyjnego autorytetu całej czwartorzeczpospolitańskiej formacji. Był też marszałkiem seniorem, co mniej znających się na naszej polityce skłania do traktowania go jako kogoś bardzo ważnego. No i – last but not least – jest ojcem premiera.

Te okoliczności pozwalają mającym złą wolę lub po prostu niedostatecznie orientującym się w sprawach polskich obserwatorom zagranicznym przedstawiać jego wypowiedzi jako przejaw poglądów oficjalnej Warszawy albo jako nieoficjalne wysyłanie przez nią balonów próbnych – zakamuflowanych politycznych ofert pod adresem Moskwy. Opozycyjni politycy i internauci tak też je prezentują. I trudno się temu dziwić, bo gratka trafiła im się niesamowita.

Ale to i tak jeszcze najmniejsza z wyrządzonych przez Morawieckiego szkód.

Fot. Julita Szewczyk

2. Do opisania wszystkich karkołomnych naiwności, którymi przepełnione są wywiady Morawieckiego seniora, po prostu trudno znaleźć adekwatne słowa. Trzeba jednak zacząć od tego, że już sama decyzja o krytykowaniu polskiego rządu za stan relacji z Rosją akurat na łamach rosyjskiej agencji informacyjnej dyskwalifikuje go jako polityka. To samo można powiedzieć o krytykowaniu (skądinąd merytorycznie całkowicie słusznym) akurat na tychże łamach polityki historycznej rządu Ukrainy.

A co do merytorycznej zawartości obu wywiadów, to doprawdy nie wiadomo, od którego kuriozum zacząć. Nie znęcając się zbytnio nad Morawieckim, zasygnalizujmy tylko kilka najważniejszych.

Były lider Solidarności Walczącej całkowicie lekceważy np. kwestie bezpieczeństwa energetycznego i wyraźnie nie widzi nic niepokojącego w sytuacji uzależnienia Polski od jednego – rosyjskiego – dostawcy. Obecną Rosję nazywa państwem demokratycznym. „Czym rosyjska demokracja odbiega od zachodnich standardów?" – pyta retorycznie. I jakoś nie przychodzi mu do głowy, iż może tym, że w Rosji przeciwnik rządu może zostać wsadzony do więzienia lub zabity przez wynajętych nie wiadomo przez kogo Czeczenów.

Lejtmotywem moskiewskiej polityki wobec Europy Zachodniej było przez lata proponowanie jakiejś formy związku między tąże a Rosją, co oczywiście musiałoby się łączyć z destrukcją zachodnich struktur bezpieczeństwa. Nie wiem, czy Morawiecki w ogóle o tym wie, ale świadomie czy nie wychodzi tym planom naprzeciw; snuje wizje „odzyskania przez Europę mocy" poprzez „połączenie się z Rosją". Łagodzi tę wizję wprawdzie chytreńkim zastrzeżeniem, że „to powinna być po prostu Unia Europejska, z Rosją w składzie". Pomijając już nie najmniej jednak ważny fakt, że Rosja do Unii przystąpić nie chce, gdyż sama postrzega się jako co najmniej jej równoważny odpowiednik, to jak Morawiecki wyobraża sobie funkcjonowanie w UE zupełnie niekompatybilnego z nią pod żadnym względem giganta z kolosalnym wsadem państwowej korupcji? A, prawda,

PIOTR SKWIECIŃSKI

zapewne bez kłopotów, bo przecież „czym rosyjska demokracja odbiega od zachodnich standardów?"...

3. W kwestii ukraińskiej Morawiecki reprodukuje rosyjską narrację o „w pewnym sensie wojnie domowej" i o „obaleniu demokratycznie wybranego prezydenta Janukowycza". Krytykuje kijowskie władze (dobrze, że przynajmniej nie pada zwrot „kijowska junta") za politykę ograniczania dominacji języka rosyjskiego. Jego zdaniem przeciw temu powinna protestować... Polska. Ale tego nie robi. Zapewne dlatego, że jest (to już z wywiadu z „Do Rzeczy") „marionetką Waszyngtonu". Dosłownie tak.

A Rosja po prostu „nie prowadzi polityki agresywnej". W ogóle. Ukraina? Marszałek senior stawia znak równości między moskiewską interwencją, bez której separatyzm rosyjskojęzycznej części Donbasu nie przyjąłby zdecydowanej i zbrojnej formy, a pomocą Zachodu dla będącej przedmiotem agresji Ukrainy.

Polskie media i polskie elity zaś bez przerwy jego zdaniem szczują Polaków na Rosję. Morawiecki zastrzega, że podobnie jak ich rosyjskie odpowiedniki szczują Rosjan na Polaków. Wynikałoby z tego, że marszałek senior wyobraża sobie, iż zjawiska, o których mówi, są do siebie porównywalne co do natężenia i co do stopnia oderwania się obu narracji od rzeczywistości, nie wie natomiast nic o sile putinowskiej machiny propagandowej.

4. Nie wszystko z tego, co mówi Morawiecki, jest absurdalne. Bardzo słuszne jest np. podkreślenie przez niego, że „Armia Czerwona uratowała nas przed zagładą biologiczną, Niemcy chcieli Polaków wymordować, Rosjanie – »tylko« zniewolić; to jednak zasadnicza różnica", w Polsce obecnie wielu nie chce dostrzec tej oczywistości.

Cóż, kiedy Morawieckiemu służy ona do uzasadniania sprzeciwu wobec demontowania stojących w naszym kraju radzieckich pomników. Ja osobiście od lat 80. ochłodłem i nie budzą one już moich emocji, ale ponieważ wielu moich rodaków nadal postrzega je jako poniżający symbol obcej dominacji, nie mam nic przeciw zapewnieniu im poczucia, iż po tej dominacji nie ma już śladu, drogą demontażu rosyjskich monumentów. Marszałkowi seniorowi takie myślenie jest jednak najwyraźniej obce.

Zresztą również niektóre z cytowanych powyżej myśli Morawieckiego nie są do końca absurdalne i można by o nich dyskutować. Sęk w tym, że są zarazem całkowicie sprzeczne z polską racją stanu, wymagającą w pewnych obszarach jednoznaczności. A polityk, i to postrzegany w pewnym sensie jako przedstawiciel obozu rządzącego, tym różni się od publicysty, analityka czy eksperta, że nie może pozwalać sobie na publiczne mówienie wszystkiego. Morawiecki ewidentnie nie jest w stanie tego zrozumieć.

5. Morawiecki ma słuszność, gdy mówi, że Rosja „nie ma żadnego interesu w tym, żeby użyć siły militarnej przeciwko Polsce". Ewidentnie jednak nie rozumie, że rejestr zagrożeń nie ogranicza się do tych bezpośrednio wojskowych. I odmawia przyjęcia do wiadomości czegoś tak banalnego jak to, że Moskwa, na miarę swoich sił, próbuje odbudować własną sferę wpływów, której upadek Związku Radzieckiego jej w dużym stopniu pozbawił.

Ma rację, gdy wyraża żal, że relacje polsko-rosyjskie są upiornie złe. Oczywiście byłoby ze wszech miar lepiej, gdyby się poprawiły. Żeby się przynajmniej ucywilizowały. Złe stosunki z kimkolwiek, a zwłaszcza z potężnym sąsiadem, nikogo nie cieszą. A ja nie zaliczam się do tych Polaków, którzy skłonni są kultywować rodzaj antyrosyjskiego mistycyzmu, polegającego na czymś w rodzaju przekonania, że antagonizm z Moskwą jest kamieniem węgielnym polskości. Tak nie jest. Co więcej – takie myślenie jest podświadomą próbą leczenia własnych kompleksów, związanych z niesatysfakcjonującym nas międzynarodowym znaczeniem Polski. Że niby

eprasa.pl a957fc2aa1

tak naprawdę to jesteśmy bardzo ważni, bo od pokoleń stale walczymy z czymś, podobno, najgorszym na świecie.

6. Sceptycyzm wobec narodowego mistycyzmu, postrzegającego polsko-rosyjski antagonizm jako nieledwie najważniejszy w skali świata przejaw odwiecznej bitwy Dobra i Zła oraz czyniący w związku z tym z naszego kraju centralny punkt na eschatologicznej mapie planety, to jednak jedno. Natomiast dostrzeżenie, że ów antagonizm rzeczywiście istnieje, a co więcej – ma strukturalną naturę, to drugie.

To jest antagonizm strukturalny i immanentny, bo niemożliwy do zlikwidowania, jeśli jedna ze stron nie zmieni całkowicie swojej percepcji rzeczywistości, wizji własnego miejsca w świecie i własnych interesów. Rosja uważa status imperium za przynależny jej z natury, a podstawowym wyznacznikiem tego statusu miałoby być rozciągnięcie realnej (co nie musi znaczyć: formalnej) władzy Moskwy co najmniej aż do zachodniej granicy byłego ZSRR. Polska zaś ma na tym terenie własne ambicje. A choćby ich nie miała, to i tak czułaby się zagrożona taką perspektywą.

I z tych ambicji, i z poczucia zagrożenia wynika konieczność wspierania realnej niepodległości krajów leżących pomiędzy Polską a Rosją. Nie tylko po to, żeby rosyjskie wojsko nie stanęło na Bugu. Przede wszystkim dlatego, że reintegracja państw-limotrofów (limotrofy, czyli „graniczące z"; tak w Cesarstwie Rzymskim nazywano obszary graniczne, które musiały utrzymywać stacjonujące na ich terytorium rzymskie legiony; rosyjska myśl polityczna tradycyjnie określa tak kraje, które w 1917 i 1991 r. oderwały się od imperium) oznaczałaby odtworzenie potencjału, który zjednoczony tworzyłby na obszarze Europy Środkowo-Wschodniej przewagę po prostu druzgocącą.

A porozumienie polsko-rosyjskie musiałoby oznaczać realne wycofanie naszego wsparcia dla niepodległości limotrofów. I to jest pierwsza przyczyna, dla której pomysły dokonania jakiejś zasadniczej zmiany w relacjach między Polską a Rosją są i naiwne, i szkodliwe.

7. Druga zaś to charakter obecnej formy rosyjskiego bytu państwowego.

Rosja, powtarzam to raz jeszcze, Polski oczywiście nie podbije – ani może, ani chce to zrobić – ale siła jej pieniędzy jest ogromna. Do rangi jednego z największych sukcesów, odniesionych przez polską państwowość po 1989 r., zaliczam niedopuszczenie na teren Rzeczypospolitej niemal jakichkolwiek większych inwestycji rosyjskich. A Rosjanie parokrotnie, ostatnio najpierw na początku lat dwutysięcznych, a potem w czasie zarządzonego przez Donalda Tuska „resetu", bardzo chcieli tu wejść, z całą mocą swoich pieniędzy. Gdyby im się to udało, zyskaliby potężne instrumenty, pozwalające im na skuteczne korumpowanie (i w sensie dosłownym, kryminalnym, i szerszym – politycznym) polskich elit medialnych, politycznych, eksperckich.

> Rosja Polski nie podbije, ale może zdemoralizować ją swoimi pieniędzmi. Kornel Morawiecki nieświadomie działa na rzecz tego scenariusza

Obawiałbym się podwójnego efektu zainicjowanych w ten sposób procesów. Tego bardziej bezpośredniego, politycznego i przez Kreml zamierzonego, polegającego na uzależnieniu od Moskwy ważnych wewnątrzpolskich ośrodków wpływów. I bardziej pośredniego, przez nikogo niezamierzonego, ale szerszego – degeneracyjnego oddziaływania tych procesów na polską tkankę gospodarczą i społeczną, niezwiązanego już wyłącznie z Rosjanami, sferami ich ekspansji i ich w Polsce działalności. Po prostu impuls psucia byłby tak silny, a przykład tak zaraźliwy, że jego efekt rozszedłby się szerzej.

A przecież wszelkiego rodzaju pomysły na dokonanie jakiegoś przewrotu w relacjach polsko-rosyjskich, gdyby ta zmiana była szeroka i trwała, muszą mieć konsekwencje w dziedzinie gospodarki, muszą oznaczać szerokie wejście Rosjan do naszej ekonomii. Nie uważam, aby polskie struktury gospodarcze i polityczne potrafiły to wytrzymać.

Kornel Morawiecki najwyraźniej tego wszystkiego po prostu nie widzi.

8. Na ciąg przedziwnych wypowiedzi marszałka seniora można byłoby machnąć ręką, gdyby nie to, że wpisują się one w pewien trend szerszy, a zarazem pojawiają się na specyficznym tle.

Ten szerszy trend to postępujący od kilku lat proces kwestionowania paradygmatu o nadrzędnej dla polskiej polityki konieczności wspierania niepodległości limotrofów. Proces mający wiele przyczyn.

Jedną z nich jest wszechstronne rozczarowanie Ukrainą – zarówno w sensie nadziei na szybkie ukompatybilnienie jej do standardów zachodnich, jak i bijącej w polską wrażliwość polityki historycznej tamtejszych elit. Rozczarowanie, dodajmy, ze wszech miar uzasadnione. Tylko że nawet słuszne emocje nie powinny wieść do działań autodestrukcyjnych. Zaś pogodzenie się z perspektywą powrotu w jakiejś formie Rosji do Kijowa (i, w jakiejś perspektywie, do Mińska) – a, choć polskie wsparcie nie jest decydujące dla udaremniania tego powrotu, to jego wycofanie byłoby bez wątpienia krokiem w tym kierunku – to właśnie działanie autodestrukcyjne co się zowie.

Łączy się to często, choć nadal to sfera słabo cenzuralna, więc jasnych deklaracji w tej mierze jest mało, ale takie przesłanie, nawet jeśli nie wprost, to przebija z wielu medialnych i internetowych deklaracji, z naiwnymi marzeniami o odzyskaniu Kresów i Lwowa. Przy czym jak miałoby wyglądać to odzyskanie, a przede wszystkim dalsze władanie tymi terenami w sytuacji, w której Polaków jest tam garsteczka (i to jest podstawowa różnica z zakarpackimi Węgrami, którzy przy granicy ze swoją macierzą są wręcz w lokalnej większości, a na całym Zakarpaciu stanowią kilkanaście procent – to jest jedna z podstawowych

eprasa.pl a957fc2aa1

różnic, wpływających na inną niż nasza politykę wschodnią Viktora Orbána), rewindykatorzy nie mówią.

Jest przy tym dla każdego rozsądnego człowieka ewidentne, że nastroje te są podsycane przez Rosję. Co oczywiście nie znaczy, aby każdy ulegający im gorącokrwisty patriota był rosyjskim agentem. Ale jest jasne, że za kreującymi je inicjatywami stoją rosyjskie pieniądze.

9. Ta intuicja koreluje zresztą z wysyłanymi ostatnio pod adresem Polski oficjalnymi i nieoficjalnymi rosyjskimi sygnałami, które w ostatnich dniach pojawiają się ze sporą częstotliwością.

Mówię tu o zgodzie Komitetu Śledczego Federacji Rosyjskiej na przyjazd do Smoleńska polskich prokuratorów, mających zbadać na miejscu wrak polskiego tupolewa. Myślę o demonstracyjnie niezwykle surowym ukaraniu dwóch rosyjskich marynarzy, którzy w Świnoujściu sprofanowali pomnik Jana Pawła II. Ale też o kolejnych publikacjach odgrywającej na tamtejszym rynku medialnym dość istotną rolę, przy czym nacjonalistycznej i dotąd konsekwentnie antypolskiej agencji Regnum, sugerującej możliwość jakiegoś polsko-rosyjskiego porozumienia przeciw Ukrainie (i Białorusi traktowanej jako państwo wyrywające się z moskiewskiej strefy wpływów oraz z „ruskiego mira"), a wręcz – wspólnego rozbioru tych krajów. Przy czym autorem jednej z tych publikacji jest sam Modest Kolerow – szef i właściciel Regnum, postać dość wpływowa. To ważne, bo to podkreśla znaczenie publikacji, która nie przestając być nieoficjalna i niewiążąca, zyskuje pewnego rodzaju kremlowski stempel.

O co tu chodzi?

Po pierwsze, o wbicie dodatkowego klina między Polskę a Zachód (dodatkowego, bo relacje naszego kraju z Unią, ale w mniejszym zakresie również i ze Stanami są pogorszone z racji realizowania przez Warszawę nieakceptowanej przez zachodnie elity linii w polityce wewnętrznej).

A po drugie, Moskwie idzie o wystraszenie Ukrainy (i Białorusi) wizją polskich terytorialnych rewindykacji. Przy czym, gdyby Warszawa zrobiła cokolwiek pozwalającego na taką interpretację jej stanowiska, Rosja rzecz jasna natychmiast spozycjonowałaby się jako słowiański, prawosławny obrońca Kijowa i Mińska przed „odradzającą się ekspansją zaborczych Lachów". O to chodziło wtedy, kiedy Putin składał Tuskowi „żartobliwą" propozycję podziału Ukrainy (poinformował o tym Radosław Sikorski, potem sam siebie zdementował, ale doprawdy trudno przypuścić, by były minister spraw zagranicznych mógł coś takiego sobie ot tak wymyślić). I o to chodzi również dziś.

* * *

Kornel Morawiecki nie zauważa tego wszystkiego. Nie dostrzega tła, na którym udziela wypowiedzi. Tła powodującego, że – wbrew własnym, najszczerszym intencjom – ten bohater lat 80. po prostu szkodzi dziś Polsce. Co piszę z naprawdę ogromną przykrością.

Z ogromnym żalem i głębokim smutkiem przyjęliśmy wiadomość o śmierci

PROF. MARII DZIELSKIEJ

wybitnej uczonej, sojuszniczki w trudnych chwilach i serdecznej przyjaciółki.

Wyrazy żalu i współczucia Synowi – Witoldowi oraz Najbliższym

składają

Ryszard Legutko,
Przewodniczący Grupy Europejskich Konserwatystów i Reformatorów w Parlamencie Europejskim oraz posłowie PiS do Parlamentu Europejskiego i pracownicy grupy EKR

1/0818/F

Z głębokim smutkiem przyjąłem wiadomość o śmierci

Ś.P.
PROF. MARII DZIELSKIEJ

uczonej światowej sławy, profesor nauk humanistycznych, autorki niezrównanych tłumaczeń i dzieł o fundamentalnym znaczeniu dla wiedzy o dziedzictwie europejskiej cywilizacji, osoby zasłużonej w walce o niepodległą i sprawiedliwą Polskę.

To ogromna strata dla polskiej nauki i kultury.

Rodzinie i Bliskim składam najszczersze wyrazy współczucia

Mateusz Morawiecki
Prezes Rady Ministrów

3/0818/F

eprasa.pl a957fc2aa1

Prawo już jest, czas na sprawiedliwość

Według najnowszych badań w Polsce utrzymuje się wysokie rozwarstwienie dochodów. To jeden z czynników, które wysadziły z foteli ekipę Tuska. Obecny rząd musi o tym ciągle pamiętać. Po przeprowadzeniu reform ustrojowych konieczny wydaje się namysł nad reformą podatkową i rynku pracy. Czas wyrzucić do śmietnika ostatnie neoliberalne dogmaty

KONRAD KOŁODZIEJSKI

Czy przyglądali się kiedyś państwo uważniej markom samochodów w Warszawie i w największych polskich miastach? Jeśli nie, to proponuję zrobić mały eksperyment. Przejść się kawałek warszawską ulicą i policzyć w trakcie tego krótkiego spaceru liczbę zaparkowanych drogich aut: mercedesów, bmw, audi, volvo, lexusów i innych. Jestem niemal pewien, że nagle okaże się, iż jednym z popularniejszych pojazdów w okolicy jest potężne bmw z napędem na cztery koła lub jakieś podobne auto. Potwierdzają to zresztą systematycznie wzrastające statystyki sprzedaży nowych samochodów klasy premium.

Czego to dowodzi? Czyżby rosnącego bogactwa Polaków mieszkających w wielkich miastach? Z pewnością tak. Ale skoro tak wielu jest u nas bogatych ludzi, to dlaczego nie przekłada się to na siłę i dochody państwa? Dlaczego nie mamy świetnej infrastruktury, doskonale wyposażonej służby zdrowia i szkół? Gdzie są wielkie polskie koncerny podbijające świat, gdzie nowocześnie uzbrojona i potężna armia? Wreszcie, gdzie wielkie osiągnięcia kultury, filmy, muzyka, a w ślad za nimi powszechny podziw cudzoziemców?

Jeśli będą mieli państwo okazję, to niech się państwo przejdą też kiedyś w podobnym celu ulicami Berlina, Amsterdamu lub innego miasta w zachodniej Europie. Choć nikt nie zaprze-

eprasa.pl a957fc2aa1

Fot. Piotr Lampkowski/SE/East News

czy, że tam pieniędzy jest więcej, pensje i ogólny poziom życia wyższe niż w Polsce, to luksusowe auta – nawet jeśli nie jest ich mniej – są jakby mało widoczne. Z kolei jeżeli wybiorą się państwo do Moskwy, to olśni państwa prawdziwa defilada najbardziej wyszukanych pojazdów. A – mimo to – nikt nie twierdzi, że Rosja jest lepszym miejscem do życia niż – przykładowo – Holandia. Gdyby było inaczej, to ludzie z zachodniej Europy masowo emigrowaliby na Wschód w poszukiwaniu dostatku.

Co jest więc nie tak? Odpowiedzią jest rozwarstwienie dochodów, znacznie bardziej dolegliwe i widoczne w uboższych państwach, takich jak Polska, gdzie pieniędzy jest zbyt mało, aby zapewnić większości społeczeństwa w miarę stabilne i satysfakcjonujące życie, a państwu siłę i rozwój. Zamiast tego normą staje się darwinizm ekonomiczny, wyrywanie sobie z kieszeni każdego grosza. Ten, kto ma mniej skrupułów i okaże się bardziej cwany, może żyć nieźle. Ale koszt społeczny jest ogromny, jest nim rosnąca grupa spychanego w ubóstwo otoczenia i postępująca degradacja państwa. Ten koszt ma również wymiar polityczny. To właśnie całkowite ignorowanie narastających nierówności dochodowych przez liberalne ekipy III RP doprowadziło je do dzisiejszej porażki.

NOWY PODZIAŁ

Na arogancji poprzednich ekip wyrosła siła PiS. Jednak również PiS – mimo że na tle opozycji wydaje się wyjątkowo prospołecznym ugrupowaniem – ciągle musi mieć świadomość istniejących zagrożeń. Bo to nie wrzaski relatywnie niewielkiej grupki demonstrantów pod Sejmem, lecz właśnie rozwarstwienie dochodów i wynikający stąd brak stabilizacji ekonomicznej dużych grup ludności mogą być znacznie poważniejszym zagrożeniem dla niezakłóconych rządów prawicy.

Oczywiście prawica to dziś pojęcie względne, ograniczone raczej do kwestii światopoglądowych, nie ulega bowiem wątpliwości, że od strony ekonomicznej PiS klasyczną prawicą nie jest. A prawda jest taka, że w niezamożnym społeczeństwie, takim jak polskie, miejsca dla klasycznej prawicy nie ma i – na razie – nie będzie. Jej miejsce zajmują u nas niezbyt prawicowe (lub całkiem liberalne) od strony tożsamościowej formacje oportunistów w rodzaju Platformy Obywatelskiej czy Nowoczesnej, kokietujące w porozumieniu z liberalnym establishmentem Unii Europejskiej zamożną garstkę społeczeństwa wizją utrzymania jej przywilejów i zdobytego w okresie III RP majątku.

CHIŃSKIE STANDARDY

Przez wiele lat powszechnie odrzucano twierdzenie o narastającym rozwarstwieniu dochodów, choć było ono widoczne w Polsce gołym okiem. Sam pamiętam dyskusje, jeszcze za rządów PO-PSL, w których argumenty na temat rosnącego rozwarstwienia zbijano tabelkami z wykresem przedstawiającym tzw. wskaźnik Giniego. Wskaźnik ten mierzy koncentrację dóbr i rośnie wraz ze wzrostem nierównomierności rozkładu dochodów. Ze wskaźnika tego miało jednak wynikać, że w Polsce nie przekracza on niebezpiecznych granic i żyjemy w stosunkowo egalitarnym społeczeństwie, a zatem ci, którzy twierdzą, że w Polsce narastają obszary ubóstwa, są w błędzie. Dopiero teraz, dzięki badaniom przeprowadzonym przez polskiego naukowca Pawła Bukowskiego z London School of Economics oraz Chorwata Filipa Novokmeta z Paris School of Economics, wyszło na jaw, że wcześniejsze badania oparto na złej metodologii i dlatego wprowadzały one w błąd. Opierały się bowiem wyłącznie na ankietach, w których zamożni mocno zaniżali swoje realne dochody. Aby się więc dowiedzieć, jak naprawdę wygląda w Polsce rozkład dochodów, Bukowski z Novokmetem wzięli pod lupę roczne rozliczenia podatkowe. I dopiero z tych rozliczeń wyłonił się prawdziwy obraz polskich nierówności, który potwierdził intuicje, że w Polsce jest pod tym względem kiepsko.

Badania Bukowskiego i Novokmeta dowodzą, że gwałtowny wzrost nierówności nastąpił w Polsce w połowie lat 90. i od tej pory powoli, ale systematycznie rośnie. W roku 2015 osiągnął on już poziom Wielkiej Brytanii i niebezpiecznie zbliżył się do chińskiego. Być może był to jeden z ważnych, choć nieuświadomionych do końca czynników, które spowodowały porażkę PO w wyborach i zwycięstwo PiS.

Nie znamy, niestety, danych za następne lata, a z pewnością byłyby ciekawe, zwłaszcza że PiS podjęło się częściowej redystrybucji dochodów, choćby w postaci programu 500+. Pamiętamy jednak wściekłość, jaką wywołał program 500+ wśród zamożniejszej grupy wyborców antypisowskiej opozycji. To również pokazuje nam drugie dno trwających do dziś protestów w obronie rzekomo zagrożonej

eprasa.pl a957fc2aa1

demokracji. Chodzi nie tyle i nie przede wszystkim o demokrację, ile o portfele.

W OBRONIE FRAJERA

W odróżnieniu od swoich przeciwników PiS doskonale odczytało rzeczywiste problemy społeczne. Stąd wziął się właśnie program 500+ i seria innych działań mających zmniejszyć nierówności dochodowe. Działania te uderzyły w tych, którzy – mówiąc wprost – okradali resztę obywateli, nabijając swoje i tak już wypchane kieszenie, wyłudzanymi podatkami, odliczeniami, czy – wreszcie – szukaniem oszczędności nie w swoich portfelach, lecz w cudzych. Uderzyły również w część wielkich międzynarodowych korporacji transferujących dochody do centrali za pomocą rozmaitych sztuczek prawnych, a niekiedy zwolnień podatkowych. Zwykły obywatel nie mając takich możliwości, wychodził na frajera, którego nie tylko nie stać na kupno nowego mercedesa, lecz musi się on z własnych marnych dochodów dokładać do jego zakupu na rzecz bogatego cwaniaka. Cwaniaka, który nie dość, że wyciąga pieniądze z cudzych kieszeni, to jeszcze ostentacyjnie gardzi okradanymi. Taka była codzienność III RP.

PiS dostrzegło to i jako pierwsza formacja u władzy podjęło z tym walkę. Pytanie tylko, czy jest w stanie konsekwentnie utrzymać obrany w 2015 r. kierunek? Czy nie ulegnie pokusie dogadania się z beneficjentami III RP?

Polityka skracania frontów, szczególnie przed wyborami, wydaje się rozsądna, ale należy pamiętać, że to nie ci najbogatsi dali wygraną prawicy. Przeciwnie, siła PiS opierała się i opiera w głównej mierze na ogromnej rzeszy poszkodowanych przez III RP. I to troska o ich interesy powinna być absolutnym priorytetem obecnej władzy.

ZRZUCIĆ BALAST

Oczywiście trudno nie zauważyć kolejnych programów wyrównujących szanse, takich jak np. 300+ czy emerytury dla matek wychowujących czworo dzieci. Nie można też nie dostrzegać skutecznej walki z wyłudzeniami podatków czy – choćby na lokalnym warszawskim gruncie – z wyłudzeniami nieruchomości. Świadomość istnienia w Polsce ogromnych obszarów krzywdy społecznej i konieczności jej naprawienia jest wewnątrz PiS ciągle silna. Nie zmienia to jednak faktu, że można zrobić więcej, tym bardziej że publiczne pieniądze ciągle przeciekają, choć mniejszym strumieniem niż kiedyś, do kieszeni relatywnie niewielkiej grupy najzamożniejszych.

> Siła PiS opierała się i opiera w głównej mierze na ogromnej rzeszy poszkodowanych przez III RP. I to troska o ich interesy powinna być absolutnym priorytetem obecnej władzy

Mateusz Morawiecki wielokrotnie dawał do zrozumienia, że nie da się zbudować silnej Polski w oparciu o tanią siłę roboczą. Że niskie koszty pracy to już nie jest atut, lecz balast, który uniemożliwia polskiej gospodarce realny wzrost. Czas więc chyba pozbyć się tego balastu.

W tej chwili, dzięki działaniom rządu, udało się zatrzymać wzrost liczby umów śmieciowych, co nie oznacza jednak, że sytuacja na rynku pracy jest dobra. Bo liczba umów śmieciowych wprawdzie już nie rośnie, ale też wyraźnie nie spada. Ciągle też zbyt wiele osób zmuszanych jest do zakładania jednoosobowych firm, tutaj rząd również wyszedł im naprzeciw, obiecując obniżki składek zusowskich, ale nie tędy droga. Osoby, które prowadzą (często wbrew własnej woli) jednoosobową działalność gospodarczą, są poważnym obciążeniem dla budżetu. Bo nie mając lepszej alternatywy, szukają dodatkowych dochodów dzięki odliczeniom podatkowym. Na razie chyba nikt nie prowadził badań, ile to kosztuje skarb państwa.

Jeżeli odliczenia podatkowe są uzasadnione, to wszystko w porządku, wszyscy jednak wiemy, że w praktyce odlicza się wszystko, są nawet tacy, którzy potrafią odliczyć koszty wesela córki.

Zamiast promować jednoosobową działalność gospodarczą, należałoby raczej wrócić do promowania etatu, na razie jest to jednak trudne, skoro nawet w wielu przedsiębiorstwach należących do państwa preferuje się umowy z jednoosobowymi firmami.

DOŚĆ KOKIETERII

Polski nie stać na półśrodki. Potrzebna jest solidna oraz przemyślana reforma podatkowa i rynku pracy. Warto byłoby przedstawić jej koncepcję przed wyborami jako zobowiązania na następną kadencję. Banałem będzie przypomnienie, że najsilniejsze dziś gospodarczo państwa, takie jak Niemcy czy – wbrew stereotypowym poglądom neokorwinistów – także Stany Zjednoczone, dochodziły do swojej potęgi dzięki podatkom, niekiedy bardzo wysokim.

Unikanie wyższego opodatkowania najzamożniejszych jest pod każdym względem błędne. Ekonomicznie, bo do wspólnej kasy wpływa mniej pieniędzy, politycznie, bo najzamożniejsi są i tak w większości zdeklarowanymi przeciwnikami PiS, i wreszcie etycznie, bo duża część tych dochodów została pozyskana dzięki układom, przywilejom, a nawet omijaniu prawa.

Nie chodzi tu oczywiście o to, aby bogatych puścić w samych skarpetkach. Chodzi jedynie o to, aby stali się oni wreszcie częścią szerszej wspólnoty, która nie jest dość zamożna i cierpliwa, aby współfinansować im kolejne mercedesy.

Jeśli rządząca prawica tego nie zrozumie, to pewnego dnia będzie musiała być może stawić czoła zupełnie innej grupie niezadowolonych, znacznie liczniejszej i bardziej niebezpiecznej od tych, którzy wjeżdżają dziś w bagażnikach do Sejmu i wypisują bluzgi na murach i chodnikach.

eprasa.pl a957fc2aa1

Polacy mogą zrobić to sami

PLL LOT zainicjowały powstanie koalicji na rzecz zniesienia wiz do USA. To najbardziej sensowny pomysł na udrożnienie szlaku do USA od 1989 r.

Fot. Shutterstock

Zniesienie obowiązku wizowego dla Polaków, którzy chcą odwiedzić Stany Zjednoczone, stało się już niemal świętym graalem stosunków polsko-amerykańskich. To marzenie każdego rządu i każdej partii rządzącej Polską po 1989 r., bo jego realizacja byłaby jednym z największych sukcesów dyplomatycznych, których w historii III Rzeczypospolitej nie mieliśmy zbyt wiele. To także oczekiwanie wobec każdego kolejnego prezydenta USA, który deklaruje się przyjacielem Polski i tytułuje nasz kraj ważnym sojusznikiem Ameryki. Wygląda na to, że tym razem naprawdę jesteśmy bardzo blisko, jak nigdy wcześniej, zniesienia wiz i na dodatek wcale nie dlatego, że prezydent Donald Trump darzy Polskę wielkim szacunkiem.

Lata mijają, polscy żołnierze przelewają krew ramię w ramię ze swoimi towarzyszami broni z US Army, do Stanów bez wiz jeżdżą już Czesi, Słowacy, Łotysze, Litwini, Estończycy i Węgrzy, tymczasem polscy obywatele przed wylotem za Atlantyk wciąż muszą się poddawać procedurze wizowej. Czy zatem znajdą się kiedyś na tyle wytrawni negocjatorzy po stronie polskiej dyplomacji i na tyle wyrozumiali oraz otwarci decydenci po stronie amerykańskiej, by dołączyć Polskę do grupy państw objętych ruchem bezwizowym? Okazuje się, że wcale nie musimy na to liczyć, a definiowanie przez ponad ćwierć wieku decyzji o zniesieniu wiz jedynie jako problemu politycznego było ślepą uliczką, w której ugrzęźliśmy w dużej mierze przez własne błędy.

NIELUBIANA PROCEDURA

W popularnej piosence „Natalia w Bruklinie" Kazik Staszewski śpiewa, że bohaterka utworu przed wylotem do USA została poddana „żenującemu przesłuchaniu przez robota z ambasady". Taki właśnie stereotyp procedury ubiegania się o wizę zakorzenił się w naszym społeczeństwie. Polacy, którzy planowali w latach 90. wyjazd do USA, traktowali procedurę wizową podobnie do egzaminu, który trzeba zaliczyć, ale jest problem, bo nauczyciel nas nie lubi, a my sami nie jesteśmy najlepiej przygotowani. W efekcie wielu Polaków składało często niezbyt rzetelnie wypełnione wnioski wizowe, licząc na to, że a nuż się uda. Jak pokazują statystyki, kilkanaście lat temu udawało się ok. 75 proc. składającym wniosek wizowy. Jedna czwarta aplikacji nie spełniała kryteriów amerykańskich i była odrzucana. Tymczasem amerykańskie przepisy regulujące ruch graniczny mówią jasno – obowiązek wizowy USA znoszą tym krajom, z których odrzucono mniej niż 3 proc. podań o wizę turystyczną lub biznesową, czyli w kategorii B-1/B-2. Tu dochodzimy do sedna problemu. Wspomniani wyżej Czesi, Słowacy, Łotysze, Litwini, Estończycy i Węgrzy dostąpili udogodnienia zniesienia wiz do USA, gdyż w ciągu jednego amerykańskiego roku budżetowego, który trwa od 1 października do 30 września, złożyli wnioski wizowe wymaganej jakości. Te kraje skorzystały z czasowego podwyższenia progu do 10 proc. w latach 2007–2009. Niestety w przeciwieństwie do większości państw regionu, które wtedy weszły do programu bezwizowego, odsetek odmów wizowych dla obywateli Polski w latach 2007 i 2008 przekraczał wymaganą wartość (np. w 2008 r. było to 13 proc.).

Znaczące obniżenie liczby podań odrzuconych w wymienionych wyżej krajach Europy Środkowo-Wschodniej było m.in. efektem kampanii społecznych, w których informowano, jak poprawnie i skutecznie ubiegać się o amerykańską wizę. To właśnie poprawa jakości składanych wniosków, a nie wiara w dyplomatyczne sukcesy polityków przyniosła naszym sąsiadom zza dawnej żelaznej kurtyny możliwość podróżowania do USA bez konieczności wcześniejszej wizyty w ambasadzie.

SKŁADAMY CORAZ LEPSZE WNIOSKI

W ostatnim amerykańskim roku budżetowym (1 października 2016 – 30 września 2017) odrzucono już tylko 5,9 proc. wniosków Polaków o wizy B-1/B-2. Z informacji, jakie dochodzą przed zakończeniem kolejnego okresu

eprasa.pl a957fc2aa1

obliczeniowego, wynika, że w ostatnim roku nastąpiła kolejna duża poprawa akceptacji polskich wniosków. Jesteśmy więc tak blisko zniesienia wiz do USA jak jeszcze nigdy wcześniej. Czy można zrobić coś więcej, by się udało? Można! Do 30 września zostało jeszcze niemal dwa miesiące. To okres, w którym Polacy mogą w sposób istotny wesprzeć ideę przyłączenia Polski do Visa Waiver Program (VWP), czyli programu amerykańskiego rządu, który pozwala obywatelom z innych krajów na maksymalnie 90-dniowy pobyt w USA w celach turystycznych lub biznesowych bez konieczności uzyskania wizy. W tym celu Polskie Linie Lotnicze LOT zainicjowały kampanię społeczną, do której szybko dołączyli kolejni partnerzy, a która ma na celu zachęcać Polaków do składania wniosków o wizy w sposób właściwy i rzetelny, tak by odsetek odrzuconych podań był jak najmniejszy.

– Z wizami do USA wiąże się wiele emocji i mitów, co powoduje, że Polska nadal jest jednym z niewielu krajów Unii Europejskiej, której obywatele w podróży do USA potrzebują wiz. Naszym celem jest obalenie tych mitów i zachęcenie Polaków, by w ciągu najbliższych tygodni występowali o wizę, ale jednocześnie robili to rzetelnie, gdyż każde niewłaściwe aplikowanie kończy się odmową – mówi Rafał Milczarski, prezes LOT. – Do możliwości, jakie otwiera wejście Polski do ruchu bezwizowego, nie trzeba chyba nikogo przekonywać: to ogromny impuls rozwojowy dla wymiany handlowej, kulturalnej i nowy wymiar łączności dla wielu polskich rodzin – dodaje.

BIZNESOWA KOALICJA LEPSZA NIŻ MSZ

Koalicja na rzecz zniesienia wiz dla Polaków została utworzona w styczniu przez sześć organizacji: LOT, Fundację Polska Innowacyjna, Fundację Teraz Polska, Fundację im. Cichociemnych, Fundację Instytut Myśli Schumana i Mastercard. Do tego grona w ciągu kolejnych miesięcy dołączały kolejne podmioty, np. Lotnisko Chopina, Kraków Airport, Port Lotniczy. Patronat objęły też m.in. TVP, „Wprost", „Harvard Business Review", Pasażer.com i Rynek Lotniczy. Wśród partnerów znalazły się również Rainbow i Polska Izba Turystyki zrzeszająca ponad 500 podmiotów z branży turystycznej.

W ten sposób ubiegaj się o wizę

Najpierw określ powód wyjazdu. Jeżeli planujesz spotkania, konsultacje biznesowe lub uczestnictwo w konferencji naukowej – wybierz wizę biznesową B-1. Jeżeli planujesz zwiedzanie, odwiedzenie rodziny lub leczenie – wybierz wizę turystyczną B-2. Wizy te często są łączone i wydawane jako jedna: B-1/B-2.

Ponadto jest wiele innych kategorii wizowych oprócz B-1/B-2. Polacy często ubiegają się o wizy załogowe (C-1/D), studenckie (F), dla specjalistów do pracy (H-1B), na wymianę naukową lub program Summer Work & Travel (J) lub występy sportowe bądź artystyczne (P).

> Jeszcze nigdy nie byliśmy tak blisko zniesienia wiz do USA. Ważne, by właśnie teraz – w sierpniu i na początku września – Polacy składali jak najwięcej poprawnych i rzetelnie wypełnionych wniosków wizowych. W ten sposób możemy raz na zawsze pozbyć się tak nielubianej procedury wizowej

Według ostrożnych szacunków w Stanach Zjednoczonych żyje ok. 10 mln naszych rodaków. Zniesienie wiz to jednak nie tylko ułatwienie kontaktów pomiędzy członkami rodzin, lecz także szansa na nawiązanie wielu nowych kanałów biznesowych pomiędzy przedsiębiorcami z Polski i USA.

– Możliwość korzystania z Visa Waver Program ułatwi wielu młodym, przedsiębiorczym Polakom tworzącym start-upy oraz rozwijającym swoje badania i technologie m.in. współpracę z partnerami w Stanach Zjednoczonych, dostęp do znacznie większego rynku oraz wymianę i pozyskiwanie wiedzy. Warto spróbować zmienić obecny stan rzeczy, na czym skorzystać mogą oba kraje, obie gospodarki i wreszcie oba społeczeństwa. Wszystko w naszych rękach, dlatego Fundacja Polska Innowacyjna będzie aktywnie zachęcać organizacje i firmy do włączenia się w działania koalicji na rzecz zniesienia wiz – mówi Sławomir Olejnik, prezes Fundacji Polska Innowacyjna.

– Dla ambitnych polskich przedsiębiorców, którzy chcieliby swoje produkty eksportować za granicę, nawiązanie bezpośrednich relacji z zagranicznymi partnerami jest pierwszym krokiem, a zdecydowanie łatwiej go wykonać, gdy mamy możliwość swobodnego podróżowania. Jestem przekonany, że wejście Polski do Visa Waiver zachęci wielu polskich producentów do rozpoczęcia rozmów i budowania relacji z amerykańskimi partnerami. Nie mam żadnych wątpliwości, że polskie firmy będą sobie znakomicie radzić w Stanach Zjednoczonych. Teraz czas na Polskę – dodaje Krzysztof Przybył, prezes Fundacji Teraz Polska.

AMERYKANIE WIDZĄ POPRAWĘ

Polacy mogą składać wnioski wizowe w Ambasadzie USA w Warszawie, Konsulacie w Krakowie i innych amerykańskich placówkach dyplomatycznych na świecie. W wizowej statystyce strona amerykańska bierze pod uwagę wszystkie osoby ubiegające się o wizę z polskim paszportem bez względu na miejsce złożenia wniosku o wizę. Sama procedura ubiegania się o wizę jest sukcesywnie poprawiana, a jej czasochłonność ograniczana.

eprasa.pl a957fc2aa1

Na czerwono zaznaczono kraje Unii Europejskiej, których obywatele objęci są obowiązkiem wizowym przy wjeździe do USA

– Jako strona amerykańska chcemy mieć pewność, że z ubiegania się o wizę nie zrezygnuje nikt z obywateli Polski, kto jest zainteresowany i spełnia kryteria, ale nie składa wniosku, obawiając się, że procedura jest zbyt skomplikowana i zajmie zbyt dużo czasu. Dlatego wciąż usprawniamy procedury – mówi Patrick T. McNeil, zastępca konsula generalnego USA w Warszawie. – Z naszych najnowszych badań wynika, że po przejściu przez kontrolę bezpieczeństwa i wejściu do Ambasady USA w Warszawie wnioskodawca spędza w środku średnio 13 minut. To dobry rezultat, ale mimo to pracujemy nad tym, żeby go poprawić – dodaje.

W minionym roku przez Ambasadę USA w Warszawie i Konsulat w Krakowie Polacy złożyli 107 tys. wniosków o wizę. A zanosi się na to, że będzie ich więcej. Przedstawiciele amerykańskiej administracji nie ukrywają, że popyt na wizy do Stanów rośnie w tempie najwyższym od kilkunastu lat. Jednocześnie wskaźnik odmów spada, a jakość wniosków się poprawia (wśród aplikujących więcej jest tych, którzy spełniają kryteria prawa imigracyjnego). Jak blisko jesteśmy upragnionego progu 3 proc.?

– Jeśli obecne tendencje się utrzymają, to spodziewamy się, że skorygowana stopa odmów za bieżący rok obrotowy będzie znacząco niższa niż rok wcześniej – mówi ostrożnie Patrick McNeil.

Kurtyna opadnie jesienią, kiedy poznamy statystykę wizową dla obecnego roku budżetowego, który kończy się 30 września. Co warte podkreślenia, raz uzyskany przywilej na wjazd bez wiz nie jest później w żaden sposób weryfikowany i nie grozi nam jego utrata.

Najważniejsze pytanie brzmi: o ile i czy już w tym roku – w stulecie odzyskania przez Polskę niepodległości – uda się zejść poniżej 3 proc.? Wszystko w rękach wnioskujących.

Na zakończenie warto dodać, że jeszcze nigdy wcześniej Polacy nie mieli tylu możliwości podróży do USA, co obecnie. Wszystko dzięki rozwojowi połączeń transatlantyckich przez LOT, który aktualnie oferuje aż osiem regularnych połączeń do Stanów Zjednoczonych: z Warszawy do Nowego Jorku (porty JFK i Newark), Chicago i Los Angeles oraz z Krakowa do Chicago, z Rzeszowa do Newark oraz z Budapesztu do Nowego Jorku (JFK) i Chicago. Do USA LOT lata wyłącznie samolotami Boeing 787 Dreamliner w dwóch wersjach, na pokładzie których pasażerowie mają do wyboru od 252 do 294 miejsc w trzech klasach podróży: biznes, ekonomicznej premium i ekonomicznej.

Kajetan Kutnowski

SZEŚĆ WAŻNYCH KROKÓW

Krok 1. Wybierz odpowiedni rodzaj wizy i wypełnij internetowy formularz DS-160.

Krok 2. Utwórz swój profil na ustraveldocs.com i wybierz miejsce rozmowy z konsulem.

Krok 3. Dokonaj przez internet opłaty za rozpatrzenie podania o wizę.

Krok 4. Wybierz datę i godzinę rozmowy z konsulem.

Krok 5. Zgłoś się do ambasady/konsulatu umówionego dnia wraz z wydrukowanym potwierdzeniem wypełnienia formularza DS-160 i z paszportem.

Krok 6. Odpowiedz na pytania konsula. Większość interesantów spędza w poczekalni konsularnej mniej niż 20 minut.

JAK ZMIENIĄ SIĘ ZASADY WJAZDU DO USA PO ZNIESIENIU WIZ

RUCH WIZOWY

- Konieczność osobistej wizyty w ambasadzie USA.
- Koszt – 160 USD (wpłata nie jest zwracana w przypadku odmowy).
- Uzyskanie możliwości wjazdu na teren USA przez 10 lat (na taki czas są zazwyczaj wydawane wizy B-1/B-2, a więc turystyczne i biznesowe).
- Możliwość spędzenia w USA jednorazowo do 180 dni.

RUCH BEZWIZOWY W SYSTEMIE ESTA

- Konieczność rejestracji swojej podróży przez internet w systemie ESTA (Electronic System for Travel Authorization) minimum 72 godziny przed planowaną podróżą.
- Koszt – 14 USD.
- Uzyskanie możliwości wjazdu na teren USA na dwa lata lub do końca ważności paszportu.
- Możliwość spędzenia w USA jednorazowo do 90 dni.
- Systemem ESTA objęci są obywatele wszystkich krajów europejskich, którzy nie potrzebują wiz do USA.

eprasa.pl a957fc2aa1

Tożsamość Europy – jedność w wielości

Twórcy Wspólnoty Europejskiej mieli wielkie ambicje. Byli jednak realistami. Mogli marzyć o Europie jako jedności, ale zdawali sobie sprawę, że doprowadzi do tego tylko proces, który winien być przeprowadzony oddolnie. Dlatego ich pierwszy projekt ograniczał się do gospodarki, chociaż jego cele znacznie ją przekraczały. (Wystąpienie na niemiecko-polskiej konferencji w Berlinie)

BRONISŁAW WILDSTEIN

Chodzi o Europejską Wspólnotę Węgla i Stali. To przez usuwanie barier dzielących narody i podejmowanie wspólnych przedsięwzięć Europejczycy mieli stopniowo, niejako organicznie, się integrować.

Realiści jak Robert Schuman, Konrad Adenauer czy Alcide de Gasperi byli zaangażowanymi katolikami, społeczna nauka Kościoła była podstawą ich politycznych przekonań, a tożsamość europejskiej kultury wywodzili z jej chrześcijańskich fundamentów. Od początku

Rys. Andrzej Krauze

eprasa.pl a957fc2aa1

jednak w proces integracji włączyli się także konstruktywiści. Najbardziej reprezentatywną dla nich postacią był Altiero Spinelli, komunista, który swoje marksistowskie zaangażowanie przetransponował w federalistyczną wizję Europy.

Konstruktywiści rzeczywistość społeczną traktują jako materię do budowy swoich, oczywiście doskonałych, projektów. Można uznać ich za kontynuatorów Marksa, których dewizą jest jego jedenasta teza o Feurbachu: „Filozofowie rozmaicie tylko interpretowali świat; idzie jednak o to, aby go zmienić". Tradycyjne tożsamości, takie jak np. naród, są dla nich wyłącznie historycznymi ograniczeniami, które pętają człowieka i z których winien się on wyemancypować.

Z czasem to oni zaczęli dominować w Europie Zachodniej, a więc i narzucać swoją koncepcję federalistycznej Europy. W 1984 r. Parlament Europejski przyjął wniosek Spinellego i zatwierdził projekt traktatu ustanawiającego Unię Europejską, czyli tzw. plan Spinellego. Był on podstawą traktatu z Maastricht z 1992 r., na mocy którego powstała Unia Europejska. Nieprzypadkowo główny budynek PE w Brukseli nosi imię włoskiego komunisty.

* * *

Zmiana podejścia do integracji europejskiej zbiegła się z dochodzeniem do władzy pokolenia kontestacji i stopniowego przeobrażania Europy w myśl dominującej ideologii emancypacji. Tradycyjne tożsamości, takie jak naród, miały zostać porzucone w lamusie historii, której kolejny koniec został nam w początku lat 90. obwieszczony. Kłopot w tym, że ani historia, ani narody, których schyłek enty raz został nam ogłoszony, nie chciały zniknąć.

Deklarowana demokracja na poziomie unijnym jest rodzajem oksymoronu. Demokracja to władza (kratos) demosu, czyli ludu, współcześnie narodu. Nie ma europejskiego demosu. Włosi różnią się od Finów, Anglicy od Hiszpanów, a nawet między sąsiadami takimi jak Niemcy i Polacy potrafimy dostrzec dość znaczące różnice. Owszem, istnieje bardzo ogólna, cywilizacyjna tożsamość Europy czy szerzej Zachodu, ale nie przekłada się ona na elementarne poczucie wspólnoty, jaką tworzą narody. Bez jej świadomości, która ma charakter uczuciowego przywiązania, nie pojawi się idea wykraczającego poza partykularne różnice dobra wspólnego, bez czego demokracja przekształca się w rywalizację odmiennych grup. Bo kiedy nie ma demosu, z demokracji pozostaje kratos, czyli sama władza. Pomysł na narzucenie politycznymi, odgórnymi metodami wspólnoty kończy się odwrotnie do zamierzeń projektodawców.

* * *

Eksperymentem w tej mierze było tworzenie wspólnej europejskiej waluty. Jej pomysłodawcy nie kryli, że ich cel jest polityczny, a stanowi go ściślejsza integracja. Ekonomia miała dostosować się do ich woli. Nie dostosowała się.

Eksperyment euro pokazuje jeszcze jedną prawidłowość. Jego inicjatorami byli Francuzi, Jacques Delors i wdra-

REKLAMA

51/0718/F

eprasa.pl a957fc2aa1

żający jego pomysł prezydent François Mitterrand. Nie ukrywali oni nawet, że jednym z ich zamierzeń jest przezwyciężenie siły marki, a więc przeciwstawienie się przewadze ekonomicznej Niemiec. Ci protestowali, wreszcie ulegli za cenę zgody Francji na zjednoczenie obu części ich kraju. I co? Okazało się, że euro służy gospodarce niemieckiej nawet bardziej niż marka, w każdym razie w obserwowanym przez nas czasie.

Nieco podobnie wyglądała sprawa traktatu lizbońskiego. Miał on wzmocnić instytucje unijne kosztem europejskich potęg. Jego twórcy naprawdę w to wierzyli. W rzeczywistości wzmacnia on pozycję silniejszych państw, zwłaszcza Niemiec, które potrafią używać instancji europejskich na rzecz swoich celów.

Pokazuje to dość generalną prawidłowość. Utopijne projekty nie rozwiązują problemów, ale je ukrywają. Przy okazji likwidują instytucje mediujące, które do pewnego stopnia równoważą przewagę silniejszych. Komunizm, który miał znieść wyzysk robotników, spotęgował go w sposób nieznany wcześniej. Unia, która miała ograniczyć przewagę Niemiec w Europie, posłużyła jako instrument do jej egzekwowania.

Nie twierdzę, broń Panie Boże, że taki był makiaweliczny plan przywódców tego kraju. To logika procesu.

Wymownym doświadczeniem jest kryzys finansowy lat 2007–2009. Można potraktować go jako rodzaj stress-testu, a więc sprawdzania jakości materiału, a także instytucji w warunkach skrajnych. Otóż w tamtym okresie ciała UE przestały właściwie działać. Spotykali się przywódcy Niemiec i Francji, dopraszali, kogo uważali za stosowne, swoich kolegów z Włoch i Hiszpanii albo Anglii, i podejmowali decyzje na temat naszego kontynentu, a potem instytucje unijne ją zatwierdzały.

Przyjrzyjmy się case study, czyli otwarciu granic Europy dla imigrantów muzułmańskich, zwanych uchodźcami. Była to absolutnie suwerenna decyzja Angeli Merkel, a zmieniła ona stan Unii. Z braku czasu zawieszam dyskusję nad jej merytorycznymi uzasadnieniami, zresztą dziś cała Europa się z niej wycofuje, przyznając po cichu rację tym, którzy kwestionowali ją już na początku i byli za to odsądzani od czci i wiary.

Trzy lata temu kanclerz Niemiec, nie pytając nikogo o zgodę, otworzyła granice Niemiec dla syryjskich uchodźców. W rzeczywistości otworzyła Europę dla muzułmańskich imigrantów. Było to samowolne złamanie konwencji dublińskiej i zakwestionowanie traktatu z Schengen. Premier Węgier, który wystąpił wówczas w obronie norm europejskich, został postawiony pod publicznym pręgierzem, a instytucje europejskie błyskawicznie zaakceptowały niemieckie postanowienie.

> Nie ma europejskiego demosu. Włosi różnią się od Finów, Anglicy od Hiszpanów, a nawet między sąsiadami takimi jak Niemcy i Polacy potrafimy dostrzec dość znaczące różnice

* * *

Jaki jest efekt działania konstruktywistów, tzn. narzucania Europie odgórnej, przyśpieszonej integracji? To Brexit, narastające napięcia między narodami naszego kontynentu i wzmacnianie się ugrupowań coraz bardziej sceptycznych wobec już nie tylko obecnego kształtu Unii, lecz i integracji jako takiej. Trudno się dziwić. Zwłaszcza jeśli w odpowiedzi na wszystkie kłopoty słyszymy jedną zapowiedź: więcej Unii. A więcej Unii to więcej władzy europejskich potęg, a tak naprawdę jednej – Niemiec. Unia staje się coraz bardziej tworem imperialnym, którego formalną stolicą pozostaje Bruksela, ale realną jest Berlin. A eurokraci coraz bardziej przystosowują się do tej sytuacji.

Nie wydaje się, aby ten stan rzeczy mógł trwać długo. Mentalność elit europejskich coraz bardziej rozchodzi się z wywiedzionymi z doświadczenia postawami ogółu mieszkańców kontynentu, którzy coraz mocniej protestować zaczynają przeciw obecnemu status quo. Pomimo poczucia przynależności do Europy coraz mocniej uświadamiają sobie oni swoją narodową odrębność represjonowaną przez dominujący układ w Unii. Gdyż narodowa tożsamość musi być podstawowym elementem polityki.

Wbrew panoszącym się dziś na Zachodzie modnym koncepcjom narody nie narodziły się 200 lat temu. Można przyjąć, że wraz z postępującymi wówczas polityczno-cywilizacyjnymi zmianami przybrały jedynie nieco inne formy, ale ich istnienie jest zdecydowanie dłuższe i trwalsze. Występujące w „Iliadzie" zbiorowości mają świadomość swojej narodowej odrębności i chociaż Grecy mają także swoje mniejsze tożsamości, to jako ogół zasadniczo odróżniają się od Trojan i vice versa. Uznawany za pierwszego historyka Herodot w V w. przed Chrystusem pisze o fundamentalnie różniących się od siebie narodach i chociaż można zgodzić się, że są one inaczej zorganizowane i nieco inaczej funkcjonują od swoich współczesnych odpowiedników, ale demonstrują wspólnotowy charakter bytowania człowieka. Ludźmi stajemy się dzięki kulturze, a w ludzkiej rzeczywistości występuje ona w odmiennych, współcześnie narodowych, formach.

Mityczna, europejska tożsamość nie zastąpiła nam przynależności narodowych i siłą rzeczy stała się formą dominacji tych silniejszych. Próba narzucenia jej przemocą, a taki charakter ma na przykład działanie instytucji unijnych wobec Polski dziś, skończyć się musi rozpadem naszego kontynentu na zwaśnione kraje i ich grupy oraz całkowitym załamaniem się procesu integracji. Musimy powrócić do modelu zainicjowanego przez ojców założycieli wspólnoty i odejść od konstruktywistycznych fantasmagorii. Zwłaszcza że w tożsamości narodowej nie ma niczego złego. Wręcz przeciwnie. Fenomen cywilizacji europejskiej wykształcił się w napięciu między różnorodnością tożsamości narodowych i krajowych a ogólną formą wspólnego dla nich chrześcijaństwa. I tylko w ten sposób trwać on może w dającej się przewidzieć przyszłości.

eprasa.pl a957fc2aa1

SIECI

Polacy, którzy zmienili świat

DODATEK EDUKACYJNY POŚWIĘCONY POLAKOM – ODKRYWCOM, INNOWATOROM, WYNALAZCOM, Z KTÓRYCH MOŻEMY BYĆ DUMNI

niepodległa | POLSKA STULECIE ODZYSKANIA NIEPODLEGŁOŚCI

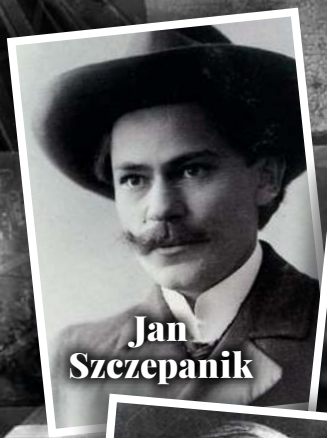
Jan Szczepanik

Roman Górecki

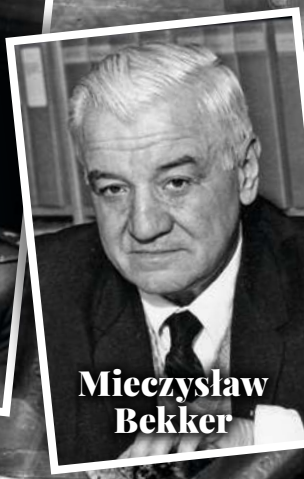
Mieczysław Bekker

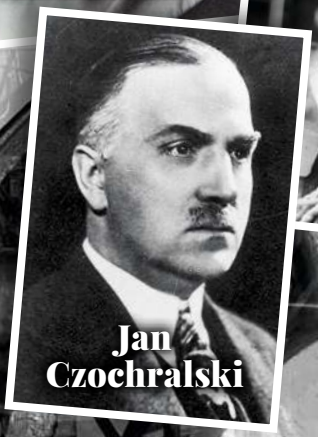
Jan Czochralski

odc. 6

Wizjonerzy i praktycy

PARTNERZY DODATKU

BGK BANK GOSPODARSTWA KRAJOWEGO

ORLEN

fot. Shutterstock

ehrasa/pra957fc2aa1

Widowisko muzyczne „Wolność we krwi", emisja okolicznościowych monet i banknotów, pikniki rodzinne, strona WWW i aplikacja mobilna – to elementy projektu „My Polacy 1918–2018" realizowanego przez NBP

fot. Materiały promocyjne

NBP na 100-lecie niepodległości

Narodowy Bank Polski uczestniczy w obchodach 100-lecia odzyskania przez Polskę niepodległości. Prowadzony przez bank centralny rocznicowy projekt „My Polacy 1918–2018" honoruje wydarzenia sprzed 100 lat emisją wyjątkowych monet i banknotu kolekcjonerskiego. Dodatkowym i niezwykłym uświetnieniem rocznicy jest widowisko muzyczne „Wolność we krwi", na które NBP zaprasza 15 sierpnia na pl. Piłsudskiego w Warszawie. W fabularyzowanych scenach, w otoczeniu specjalnie stworzonej scenografii wystąpią m.in. Radosław Pazura, Dominika Ostałowska, Kazimiera Utrata, Joanna Moro, Artur Chamski, Dariusz Kordek. Spektakl wzbogacą efekty dźwiękowe, projekcje wizualne i znane utwory muzyczne.

Widowisko rozpocznie się o godz. 20.30. Wcześniej (o godz. 18.00) zostanie otwarta strefa „My Polacy", w której będzie można nabyć okolicznościowe monety (m.in. srebrną monetę „My Polacy Dumni i Wolni 1918–2018" z QR-kodem) oraz wziąć udział w licznych atrakcjach, np. poznać proces powstawania monet i banknotów, uzyskać spersonalizowaną kartę okolicznościową, stanowiącą pamiątkę z udziału w wydarzeniu, poznać tajniki produkcji papieru zabezpieczonego, porozmawiać z projektantką banknotów, zobaczyć bus Caritasu – mobilną ambasadę Niepodległej, obejrzeć prezentację nowoczesnego sprzętu wojskowego i policyjnego czy zrobić sobie zdjęcie w niepodległościowej fotobudce. Transmisję z imprezy będzie można obejrzeć na telebimach w 16 miastach Polski, w których oddziały okręgowe NBP zorganizują lokalne pikniki rodzinne.

– 11 listopada 1918 r. spełniły się pragnienia kilku pokoleń Polaków. Odzyskaliśmy niepodległość. Znów mogliśmy sami pisać naszą historię – mówi prof. Adam Glapiński, prezes Narodowego Banku Polskiego. – W dwudziestoleciu międzywojennym udowodniliśmy, że potrafimy zmieniać Polskę. Centralny Okręg Przemysłowy, budowa Gdyni, złamanie szyfru Enigmy, polska szkoła matematyczna – to kilka najbardziej znanych przykładów naszych sukcesów. Gospodarka rozwijała się dzięki reformom premiera Władysława Grabskiego, a jej ukoronowaniem było wprowadzenie rodzimej waluty – złotego. Bank Polski SA godnie wypełniał zadania banku centralnego. Niepodległość została nam odebrana we wrześniu 1939 r. wraz z atakiem Niemiec oraz Związku Sowieckiego. Ewakuacja złota ze skarbca Banku Polskiego, by nie dostało się w ręce okupantów, to także dowód działania łączącego odwagę, umiejętności organizacyjne oraz dyplomację. Koniec wojny niestety nie przyniósł wolności. Czekało nas wiele lat walki z komunistycznym terrorem oraz represjami. Najwyższą cenę za pragnienie życia w suwerennej Polsce zapłacili żołnierze niezłomni, robotnicy Poznania '56, Grudnia '70, Czerwca '76 czy ofiary stanu wojennego – górnicy kopalni Wujek, uczestnicy wydarzeń w Lubinie oraz wielu innych miejscach, w których komuniści nie wahali się strzelać do bezbronnych ludzi. Zjednoczenie sił w imię „Solidarności" przyniosło nam wolność i suwerenność – dodaje prezes banku. – Dziś możemy świętować tę piękną rocznicę sprzed 100 lat.

Z okazji obchodów 100-lecia odzyskania przez Polskę niepodległości NBP przygotował także aplikację „My Polacy 1918–2018". Oprócz informacji o widowisku i monetach NBP zawiera ona strefę zdjęciową, pozwalającą na indywidualne upamiętnienie jubileuszu.

Oprac. Sek

ZAPRASZAMY

Widowisko muzyczne **„Wolność we krwi"**, 15 sierpnia o godz. 20.30 na pl. Piłsudskiego w Warszawie

Szczegóły na stronie www.nbp.pl/MyPolacy

eprasa.pl a957fc2aa1

Wizjonerzy rzeczy niezbędnych

Jak wiadomo, to potrzeba zazwyczaj jest matką wynalazków, a międzywojenna Polska była państwem wręcz pękającym w szwach od różnych potrzeb. Kraj rozkradziony, o nierozwiniętym przemyśle i rolnictwie sprzed wieków. A wobec globalnych kryzysów gospodarczych właściwie bezbronny. W wielu dziedzinach potrzebna była nawet nie reforma, lecz cud. I, o dziwo, był to taki okres, kiedy cuda się działy. Zazwyczaj w głowach ludzi niezwykłych, w których akurat te czasy jakoś wyjątkowo obrodziły.

Jednym z największych wizjonerów był wówczas Eugeniusz Kwiatkowski – człowiek, który patrzył bardzo daleko i działał z niesłychanym rozmachem. Zaczął od rozwijania polskiego przemysłu chemicznego – pod okiem i wspólnie z Ignacym Mościckim. Następnie przyśniła mu się Gdynia. Widział, że każda z ziem byłych zaborów była nastawiona na szukanie rynków zbytu w stolicach dawnych państw zaborczych, nie zaś w Polsce.

Wojciech Lada

Inaczej mówiąc – Polsce brakowała wówczas środka. Punktu, który spajałby kraj jako całość pod względem ekonomicznym. Kwiatkowski rozsądnie założy więc, że takim punktem powinno być morze i obrót towarowo-pieniężny tą właśnie drogą. Już w 1934 r. niewielka rybacka wioska Gdynia, zmieniła się w ponadstutysięczne miasto z portem uznawanym wówczas za najnowocześniejszy w Europie.

Kwiatkowski wiedział oczywiście, że jest to inwestycja na długie lata i sam fakt otwarcia na morze nie wzbogaci kraju z dnia na dzień. Był też żołnierzem. Wiedział, że trudności Polski tkwią nie tylko w ubóstwie społeczeństwa, ale też w całkiem realnym zagrożeniu wojną. I aby zaradzić obu tym kwestiom, zrobił więcej niż ktokolwiek inny. W czasie jego drugiej kadencji jako ministra skarbu rozpoczęto budowę Centralnego Okręgu Przemysłowego. Z jednej strony dając zatrudnienie około stu tysiącom ludzi z najuboższych terenów kraju, z drugiej zaś rozbudowując te gałęzie przemysłu, które mogły najbardziej wzmocnić obronność Polski.

Ale projekty Kwiatkowskiego nie zostałyby wprowadzone w życie, gdyby nie działania innego geniusza ekonomii, Władysława Grabskiego. Zanim objął funkcję premiera, finanse państwa przypominały obrazy Jacksona Pollocka, w których różnobarwne linie przecinają się w zupełnie przypadkowych punktach i nikt nie ma nad nimi kontroli. Grabski przede wszystkim powściągnął skłonność ówczesnych władz do nacjonalizacji przemysłu. Przedsiębiorstwa rzucone w wir gospodarki wolnorynkowej niemal natychmiast zaczęły przynosić wielokrotnie większe zyski, a więc też zasilać budżet. Dobrym przykładem była kolej, która w ciągu zaledwie roku z przedsiębiorstwa deficytowego, którego dziury łatało państwo, nie tylko załatała je sama, ale też wypracowała znaczne nadwyżki.

Grabski poszedł za ciosem i uporządkował bałagan monetarny. Do początków 1924 r. oficjalną walutą krajową była marka polska, ale w obiegu wciąż znajdowały się pieniądze mocarstw zaborczych. Dzięki reformie i wprowadzeniu złotego pozycja polskiej waluty stała się dość mocna i stabilna.

I Grabski, i Kwiatkowski byli wizjonerami w skali makro i swoimi pomysłami wzmacniali państwo jako całość. Mieli zresztą ułatwione zadanie – byli politykami, mieli więc środki i odpowiednią siłę przebicia. Pod tym względem najmocniejszą pozycję zdobył sobie inny geniusz, choć zapamiętany z zupełnie innej strony – Ignacy Mościcki. Do pewnego momentu jego biografia może przypominać komedię w stylu starych filmów z Charlie Chaplinem. Usiłował dokonywać zamachów bombowych na przedstawicieli caratu – nie wyszło. Spróbował swoich sił jako producent kefiru – ale nikt nie chciał go kupić. Chciał zarabiać na życie jako fryzjer – za szybko się męczył. Jako stolarz – drżała mu ręka... Gdy jednak trafił w końcu na swoją dziedzinę, okazał się jednym z wybitniejszych umysłów epoki. Eksperymentując z elektrycznością, opracował niezwykle tanią metodę otrzymywania kwasu azotowego – surowca niezbędnego w farmaceutyce i przemyśle zbrojeniowym. Kiedy z zaskoczeniem zauważył, że nikt jeszcze nie wymyślił kondensatorów odpowiednio wysokiego napięcia – sam je wymyślił. Niejako na marginesie tych prac wpadł Mościcki na pomysł tzw. baterii kondensatorów szklanych, które natychmiast znalazły zastosowanie w łączności radiowej i zostały wykorzystane przez armię szwajcarską, a zainstalowane w radiostacji na wieży Eiffla służyły Francuzom przez wiele lat.

Z nazwiskiem Mościckiego wiążą się jednak nie tylko odważne wynalazki, ale też mądre wcielanie ich w życie. Już jako prezydent Polski bardzo dbał o rozbudowę i samowystarczalność polskiego przemysłu chemicznego. Jednym z najbardziej konkretnych efektów jego działań było stworzenie Państwowych Zakładów Związków Azotowych w Tarnowie – potężnej fabryki z ponad pięćdziesięcioma budynkami (miejsce to później nazwano na jego cześć Mościcami). Wcześniej z jego inicjatywy powstał Chemiczny Instytut Badawczy – instytucja, w której dorobku znajduje się ponad 2 tysiące patentów – zarówno krajowych, jak i zagranicznych. A jeśli chodzi o te ostatnie – sam Ignacy Mościcki pozostawił po sobie 40 oryginalnych patentów, które przekazał bezpłatnie Polsce.

eprasa.pl a957fc2aa1

Jan Szczepanik

Igraszki ze światłem

aprasa.pl/a957/fc2aa1

Nienawidzili go wszyscy terroryści świata, bo wynalazł kamizelkę kuloodporną, a przy okazji bomboodporną karetę. Ale nie tylko. „Polski Edison" – jak go nazywano – był jednym z najważniejszych twórców barwnej fotografii i barwnego filmu. Dokonał też rewolucji w przemyśle tkackim. O patenty na jego wynalazki dobijano się w całej Europie i Ameryce

WOJCIECH LADA

Jan Szczepanik urodził się w Rudnikach koło Mościsk 13 czerwca 1872 r. w ubogiej, w połowie chłopskiej, rodzinie. Jego dzieciństwo i wczesna młodość związane były jednak z Krosnem i to miało całkiem spore znaczenie dla jego dalszych losów. Przede wszystkim dlatego, że był to rejon, w którym większość ludności trudniła się chałupniczo tkactwem – również w jego domu warsztat zajmował całe jedno pomieszczenie, można więc założyć, że od najmłodszych lat miał spore pojęcie o tym rzemiośle, a także, co podobno interesowało go bardziej, mechanice urządzeń tkackich. Ale także z tego powodu, że akurat na lata jego dzieciństwa przypadła budowa kolei łączącej Chabówkę z Chyrowem, wzdłuż Karpat. Była to naturalna przestrzeń jego chłopięcych zabaw, sama zaś kolej pchnęła go do pierwszych eksperymentów z mechanicznym modelarstwem.

Kiedy rozpoczynał naukę w gimnazjum w pobliskim Jaśle, później zaś studia na seminarium nauczycielskim w Krakowie, był już technicznym wizjonerem. Koledzy uznawali go za sympatycznego dziwaka, podobnie myśleli nauczyciele, ale akurat oni nie mogli mu odmówić niezwykłych zdolności. Zwłaszcza w przedmiotach matematycznych i przyrodniczych. Jeśli jednak w szkole jego roztargnienie mogło być tolerowane, to w momencie, gdy podjął pracę nauczyciela w Korczynie, stało się ono zbyt wielkim balastem. „Dziwny to był jednak nauczyciel. Podczas lekcji często zapominał o uczniach i kreślił w zapamiętaniu na tablicy wzory techniczne. [...] Czasem w trakcie prowadzenia lekcji wybiegał nagle z klasy do domu. Wracał niebawem z broszurami i notatkami, zagłębiał się w nich, nie interesując się wcale lekcją" – tak opisywał to jeden z jego biografów Władysław Jewsiewicki.

Był powszechnie lubiany, a jego dziwactwo było tolerowane. On sam jednak zdawał sobie doskonale sprawę, że funkcjonując w ten sposób, nie będzie ani dobrym wychowawcą dzieci, ani sam nie rozwinie skrzydeł. Po roku pracy porzucił więc i szkołę, i Korczyn, by się przenieść do Krakowa i skupić na technice. Tkactwem, jak wiadomo, interesował się od dawna, teraz do jego zainteresowań doszły optyka i fotografia. Wkrótce wszystkie te dziedziny udało mu się połączyć w jednym wynalazku, a właściwie w całej serii wynalazków – w tzw. elektrycznej metodzie fotograficznego kopiowania obrazów podczas produkcji tkanin. Brzmi to skomplikowanie i istotnie jest procesem złożonym. Dość powiedzieć, że dzięki pomysłom Szczepanika proces tkania został kilkudziesięciokrotnie skrócony, sam zaś efekt był znacznie precyzyjniejszy i tańszy niż w przypadku wykorzystywania powstałej blisko sto lat wcześniej maszyny Josepha Marie Jacquarda.

> „Dziwny to był jednak nauczyciel. Podczas lekcji często zapominał o uczniach i kreślił w zapamiętaniu na tablicy wzory techniczne. [...] Czasem w trakcie prowadzenia lekcji wybiegał nagle z klasy do domu. Wracał niebawem z broszurami i notatkami, zagłębiał się w nich, nie interesując się wcale lekcją"
>
> **– tak opisywał Jana Szczepanika jeden z jego biografów Władysław Jewsiewicki**

Przykładowo. W 1898 r. Szczepanikowi udało się utkać gobelin będący fotograficzną kopią obrazu Henryka Rauchingera przedstawiającego apoteozę 50-lecia panowania Franciszka Józefa I – wręczony zresztą później cesarzowi. To pełne detali dzieło sztuki miało rozmiary 148x120 cm, utkane z gęstością „100 nitek osnowy i 66 nitek wątku na 1cm²" powstało w zaledwie sześć godzin. Wagę metody Szczepanika najlepiej oddawał artykuł Williama Gamble'a, redaktora naczelnego brytyjskiego wydawnictwa Penrose's Pictorial Annual. Pisał w nim: „Aby z wzoru otrzymać tkaninę w pożądanym wymiarze starą metodą, wykonawca zużywa na to około pięciu tygodni i kosztuje to do 16 funtów szterlingów. Tymczasem według systemu Szczepanika wykonuje się w przeciągu pół godziny i kosztuje około 15 szylingów".

fot. Krzysztof Chojnacki/East News

eprasa.pl a957fc2aa1

fot. The Print Collector/East News

BIZNES Z MARKIEM TWAINEM

W 1898 r. Szczepanik był już osobą powszechnie znaną. Jego kariera biznesowa okazała się bowiem nie mniej błyskotliwa niż wynalazki. Mimo pozorów roztargnienia świadomie pracował tylko nad tymi udoskonaleniami technicznymi, które mogłyby zainteresować przemysł. A w ten akurat w ówczesnej Galicji dużo inwestowano. Dla swoich pomysłów dotyczących tkactwa udało mu się np. pozyskać wsparcie Ludwika Kleinberga, zamożnego właściciela krakowskiego przedsiębiorstwa fotograficznego. Dzięki niemu właśnie w 1896 r. Szczepanik opatentował swoją metodę tkacką w Niemczech i Wielkiej Brytanii, żegnając się na zawsze z troską o byt materialny. Mało tego, wspólnie ze swoim sponsorem założyli firmę Société des Inventions Jan Szczepanik & Cie, urządzając przy okazji eksperymentalną halę fabryczną, w której Szczepanik udoskonalał swoje wizje.

Firma bardzo dbała też o promocję pomysłów Szczepanika – o jego metodzie sporo pisała prasa nie tylko na ziemiach polskich i w Austrii, lecz też w odległej Ameryce. Fotoelektryczna metoda Polaka zainteresowała np. słynnego amerykańskiego pisarza Marka Twaina, który planował na niej zbicie majątku w USA.

W „Notatniku" autora „Przygód Tomka Sawyera" pod datą 18 marca 1898 r. znaleźć można taki choćby zapis: „15-go bieżącego miesiąca dowiedziałem się przypadkowo na podstawie notatki miss Levitus, że amerykańskie patenty Szczepanika na maszynę projektującą nie zostały sprzedane. Napisałem natychmiast do miss Levitus z prośbą o zaaranżowanie na następny wieczór rozmowy w naszym pokoju w hotelu Metropole. Cały następny dzień 16-ty spędziłem na wertowaniu w naszym amerykańskim Konsulacie Generalnym amerykańskich statystyk [...] Wynotowałem dane i przygotowałem 11 stron pytań; kiedy wynalazca i jego kapitalista [Kleinberg – przyp. aut.] przybyli w towarzystwie miss Levitus i dra Winternitza, byłem gotowy do pertraktacji [...] Rozmawialiśmy do północy, potem rozstaliśmy się; cały czas myślałem o tym i o cenie 1 500 000 dolarów aż do następnego spotkania o 16-tej dzisiaj. W czasie śniadania myślałem o tym intensywnie, także kiedy mówiłem o tym z Mr. Kleinbergiem. Zaczęliśmy dochodzić do porozumienia".

Do współpracy ostatecznie nie doszło, ale między Szczepanikiem a Twainem nawiązała się trwała przyjaźń. Wynalazca utkał i przesłał pisarzowi gobelin z jego portretem wykonanym według szkicu ołówkiem. Pisarz zaś zrewanżował się, publikując w magazynie „Century" zabawne opowiadanie „The Austrian Edison Keeping School Again", o perypetiach młodego wynalazcy porzucającego pracę w szkole, wzorowane właśnie na postaci Szczepanika. Jego postać przewołał jeszcze raz, sześć lat później, w opowiadaniu „From the London Times of 1904". A określenie „austriacki Edison", stosowane wymiennie z „polskim" lub „galicyjskim", przylgnęło do Szczepanika na dobre.

eprasa.pl a957fc2aa1

PORUSZANIE KOLORÓW

To nie był tylko pusty przydomek, co Szczepanik udowodnił już wkrótce, wymyślając... telewizję. Oczywiście nie on pierwszy ani nie ostatni – telewizja jest tym wynalazkiem, który miał wielu ojców, a pierwsze jej próbki pojawiły się już 1848 r. w Anglii. Jednak wkład Szczepanika w dziedzinę przesyłania obrazu i dźwięku na odległość był na tyle duży, że jego nazwisko znalazło się na trzecim miejscu w gronie jej twórców w książce amerykańskiego historyka telewizji Alberta Abramsona „Electronic Motion Picture. A history of the Television Camera". Nawiasem mówiąc, wynalazek Szczepanika, zwany telektroskopem, nie byłby możliwy, gdyby nie jego teoretyczne podstawy, które stworzył inny wybitny Polak – dr Julian Ochorowicz z Uniwersytetu Lwowskiego. Sława jednak przypadła Szczepanikowi. Kiedy w 1897 r. opatentował telektroskop w Anglii, światowa prasa rozpisywała się o nim szeroko. Polska również.

W tygodniku „Światło" można było wówczas przeczytać: „Telektroskop Szczepanika posiada jeszcze większą i ogólniejszą doniosłość [od metody tkackiej – przyp. aut.]. Ma on przenosić w mgnieniu oka na dalekie przestrzenie nie tylko obrazy, lecz pismo i druki, które stacja odbierająca, za pomocą fotografii, natychmiast może utwierdzić. W ten sposób świeżo wydrukowany dziennik europejski lub amerykański w kilka chwil po opuszczeniu prasy drukarskiej dostępny będzie dla mieszkańców całej kuli ziemskiej. Dzięki połączonemu użyciu elektroskopu i telefonu będziemy mogli, nie wychodząc z domu, słuchać opery dawanej w teatrze i przyglądać się akcji toczącej się na scenie".

Na realizację tej wizji trzeba było czekać jeszcze kilkadziesiąt lat, niewątpliwie jednak Szczepanik wyraźnie skrócił czas oczekiwania na pojawienie się telewizora w niemal wszystkich domach świata.

Szybsze zastosowanie znalazły badania Szczepanika nad fotografią barwną. Nawiasem mówiąc, warto zwrócić uwagę, że wszystkie swoje wynalazki Polak tworzył jednocześnie i wszystkie one miały związek ze światłem i kolorem. Telektroskop powstawał równolegle z fotoelektryczną metodą tkacką. Podobnie rzecz się miała z jego pierwszym aparatem fotograficznym wykonującym zdjęcia barwne, który opatentował już 1898 r. „Aparat Szczepanika rozwiązywał zagadnienie uzyskania trzech zdjęć fotograficznych w barwach zasadniczych w tym samym czasie i praktycznie z tego samego miejsca" – zauważał Jewsiewicki. I dodawał: „Tak uzyskane zdjęcia, skopiowane na płytach szklanych lub błonach, mogły być wyświetlone w barwach na ekranie przy użyciu aparatu do wyświetlania zdjęć czarno-białych, z dodaniem jedynie urządzenia oświetlającego", wspominając przy okazji, że w tym samym mniej więcej czasie inny Polak – Karol Juliusz Drac – skonstruował tzw. chromograf, również wykonujący zdjęcia barwne, tyle że bez możliwości tworzenia odbitek.

> Wkład Szczepanika w dziedzinę przesyłania obrazu i dźwięku na odległość był na tyle duży, że jego nazwisko znalazło się na trzecim miejscu w gronie jego twórców w książce amerykańskiego historyka telewizji Alberta Abramsona „Electronic Motion Picture. A history of the Television Camera"

Oczywiście, podobnie jak w przypadku telewizji, Szczepanik nie był ani pierwszym, ani ostatnim wynalazcą w dziedzinie barwnej fotografii. Jej podstawy opracował blisko pół wieku wcześniej James Clerk Maxwell, a pierwsze barwne zdjęcie wykonał pod koniec lat 70. XIX w. Louis Ducos du Hauron. Prawdziwą rewolucję w tej materii przyniosły lata 30. XX w., od kiedy zaczęto stosować światłoczułe materiały diapozytowe. Nie zmienia to faktu, że prowadzone później przez Szczepanika badania, którymi zajmował się praktycznie do końca życia, popchnęły tę dziedzinę znacząco naprzód. Podobnie zresztą miała się rzecz z filmem barwnym, nad którym Szczepanik pracował równolegle. Jego teoretyczne ustalenia wcielą w życie już po jego śmierci synowie, Zbigniew i Bogdan, wówczas studenci Politechniki Lwowskiej.

Słynny malarz Wojciech Kossak po obejrzeniu próbek ich filmu napisał w 1934 r.: „Dzieło Szczepaników jest wspaniałym zwycięstwem nad niesłychanymi trudnościami. Co do mnie, jestem wprost oczarowany. Wiedząc, jako fachowiec, ile tonów trzeba użyć, żeby wydobyć choć w przybliżeniu prawdę tego, co naszym oczom ukazuje natura, jestem zdumiony, że wynalazek osiągnął barwę w tak niesłychanej skali. [...] Moim zdaniem problem kinematografii kolorowej wynalezionej przez Szczepaników rozwiązuje ją w doskonałości dotąd nigdzie na świecie nie osiągniętej".

Geniusz Szczepanika przechodził najwyraźniej w genach, ale chyba nie tylko w tych pochodzących od ojca. Zbigniew Szczepanik w swoich wspomnieniach podkreślał, że jego rodzice niemal zawsze pracowali razem, a udział jego matki Wandy (dokładnie Marii Hiacynty Wandy) nie sprowadzał się bynajmniej wyłącznie do funkcji pomocniczych. „Oczami kilkuletniego dziecka widzę te setki i tysiące różnych torebek, pudełek i słoików, rozmaite naczynia i wiele płyt obciągniętych papierem do wylewania emulsji fotograficznej. Pamiętam duże kopioramki do wyświetlania próbek i ciągle krążących rodziców, ustawiających te ramki do słońca. Stałe dyskusje i sprawdzanie, jak która barwa wychodzi. [...] Praca ojca wymagała przebadania tysięcy chemikaliów, wykonania dziesiątek tysięcy prób. Pamiętam wypowiedź ojca, który określił liczbę przeprowadzonych prób na blisko 100 000. W oczach zachowałem obraz ojca z tych czasów z różnobarwnymi próbkami w rękach zabarwionych również tymi samymi barwnikami".

JAK OCALONO KRÓLA

Jan Szczepanik pracował nad światłem i kolorem, ale nigdy nie zapomniał, że punktem wyjścia do tych badań był przemysł tkacki. I właśnie z tkaniną związany był kolejny z jego wynalazków, opatentowany niejako na marginesie innych badań, ale ostatecznie mający spory wpływ na losy ówczesnego świata. A mowa tu o kamizelce kuloodpornej, która w czasach wybuchających spontanicznie w Europie rewolucji, a zwłaszcza rozkwitającego

eprasa.pl a957fc2aa1

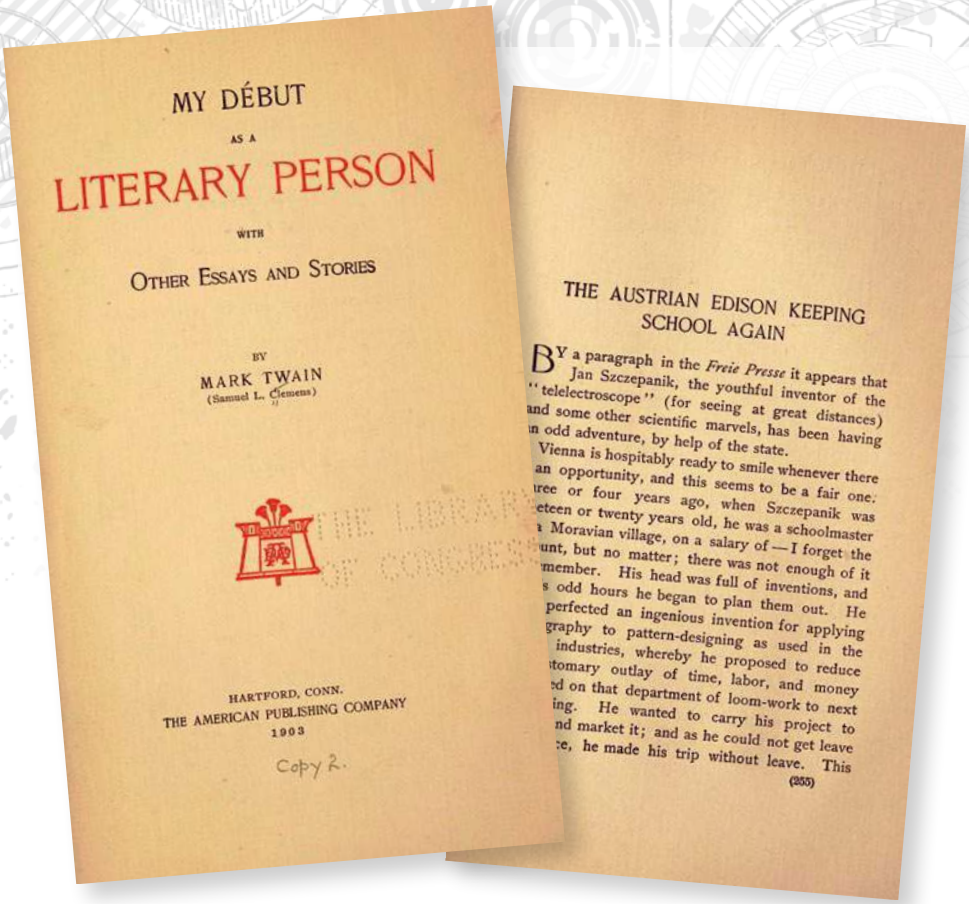
MY DÉBUT
AS A
LITERARY PERSON
WITH
OTHER ESSAYS AND STORIES
BY
MARK TWAIN
(Samuel L. Clemens)
HARTFORD, CONN.
THE AMERICAN PUBLISHING COMPANY
1903
Copy 2.

THE AUSTRIAN EDISON KEEPING SCHOOL AGAIN

BY a paragraph in the *Freie Presse* it appears that Jan Szczepanik, the youthful inventor of the "telelectroscope" (for seeing at great distances) and some other scientific marvels, has been having n odd adventure, by help of the state.
Vienna is hospitably ready to smile whenever there an opportunity, and this seems to be a fair one. ree or four years ago, when Szczepanik was eteen or twenty years old, he was a schoolmaster Moravian village, on a salary of — I forget the unt, but no matter; there was not enough of it member. His head was full of inventions, and s odd hours he began to plan them out. He perfected an ingenious invention for applying graphy to pattern-designing as used in the industries, whereby he proposed to reduce tomary outlay of time, labor, and money d on that department of loom-work to next ing. He wanted to carry his project to nd market it; and as he could not get leave e, he made his trip without leave. This
(255)

na niespotykaną wcześniej skalę terroryzmu, była bezcennym nabytkiem dla reprezentantów starego porządku świata. Jedną z pierwszych opracował polski zakonnik z Chicago Kazimierz Żegleń dla tamtejszej policji, ale okazała się zbyt słaba. Żegleń nie mógł znaleźć właściwego rozwiązania, zainteresował więc problemem Szczepanika, który, rzecz jasna, natychmiast podjął wyzwanie. Tym bardziej że w 1901 r. jednym z najgłośniejszych wydarzeń na świecie był udany zamach na prezydenta USA Williama McKinleya dokonany, nawiasem mówiąc, przez Polaka Leona Czolgosza.

„Odporność tkaniny kulochronnej według teoretycznego opracowania Jana Szczepanika polegała na tym, że luźno złożony materiał włókienniczy poddawał się uderzeniu pocisku, który wbijał się w jego warstwy wierzchnie. Pierwsze poddające się włókna tkaniny miały bardzo małą masę, ale dość dużą wytrzymałość. W ten sposób pocisk, »zabierając« ze sobą włókna rozpostarte na dużej przestrzeni i splecione z innymi włóknami, wywierał nacisk na coraz większą powierzchnię w miarę zagłębiania się w kolejne warstwy materii. Dzięki temu ciśnienie wywierane przez pocisk malało tak dalece, że nie był on w stanie przebić materiału, gdyż w tych warunkach, zamiast wybić mały otwór o średnicy własnej, musiałby wyrwać dużą dziurę, rozrywając już bardzo dużą ilość włókien, a na to nie miał energii" – tłumaczył Jewsiewicki. A mówiąc bardziej obrazowo, kamizelka Szczepanika powstrzymywała nawet kule karabinowe Mannlichera, przebijające bez problemu 12-milimetrową blachę z odległości 100 m.

Kiedy kamizelka przeszła odpowiednie testy w obecności przedstawicieli wojska, Szczepanik rozpoczął produkcję, i to ze sporym rozmachem. Oprócz prostych kamizelek wypuścił na rynek kaftany, pełne uniformy, a nawet osobne tkaniny do obijania powozów i innych pojazdów. Zwłaszcza te ostatnie potwierdziły wkrótce swoją skuteczność w praktyce. 31 maja 1906 r. w Madrycie anarchista Mateu Morral rzucił z balkonu przy ul. Calle Mayor skonstruowaną przez siebie bombę w przejeżdżającą właśnie karetę, w której znajdowali się król Alfons XIII Burbon oraz jego małżonka Wiktoria Eugenia Battenberg. Eksplozja była potężna. W jej wyniku zginęło 28 osób, a 40 zostało rannych, nie wspominając o powybijanych w okolicy szybach i nadkruszonych budynkach. Para królewska, choć znajdowała się w samym centrum wybuchu, nie doznała nawet zadraśnięcia. Jej kareta obita była tkaniną Szczepanika, która powstrzymała siłę eksplozji.

To wystarczyło, by zapewnić Szczepanikowi uznanie na wszystkich europejskich dworach, w tym oczywiście na dworze rosyjskim. Kto jak kto, ale carowie z dynastii Romanowów mieli wiele przykrych doświadczeń z rzucanymi na nich bombami, zazwyczaj zresztą przez Polaków. Dość wspomnieć Ignacego Hryniewieckiego, który w marcu 1881 r. wysadził w powietrze Aleksandra II, a przy okazji samego siebie, czy Bronisława Piłsudskiego, który z kolegami z Uniwersytetu Petersburskiego omal nie zrobił tego samo z jego następcą Aleksandrem III kilka lat później. Mikołaj II uniknął co prawda zamachów, by ostatecznie zginąć wraz z rodziną z rąk czekistów w Jekaterynburgu, tkaninę Szczepanika jednak zakupił, posiadał i cenił sobie bardzo. Do tego stopnia, że postanowił uhonorować wynalazcę Orderem św. Anny – Szczepanik jednak okazał dumę i orderu z rąk władcy zaborczego mocarstwa nie przyjął. Podobnych oporów nie miał względem monarchy hiszpańskiego, od którego otrzymał Order Izabeli Katolickiej.

Na tym nie kończy się bynajmniej lista wynalazków Edisona z Galicji. Eksperymentował z telegrafem bez drutu, stworzył samoczynny regulator ciągu kominowego, a nawet – choć to może za dużo powiedziane – pierwowzór dzisiejszego druku 3D, tzw. fotosculptor. Interesował się także lotnictwem i był pod tym względem wizjonerem. Jak wspominał jego syn Zbigniew Szczepanik: „Pamiętam wypowiedzi ojca z lat późniejszych. Sterowcom już nie wróżył żadnej przyszłości. Mówił, że przyszłość należy jedynie do samolotów, i to startujących pionowo. Robił próby ze śmigłowcami; pamiętam niejasno jakieś wywody, że helikopter powinien mieć drugie śmigło".

Szczepanik nigdy nie poleciał śmigłowcem, podobnie jak nie zobaczył współczesnej technologii robienia barwnych odbitek zdjęć. Choć niewiele go od nich dzieliło. Wszystko to powstało w latach 30. XX w., on zaś zmarł cztery lata przed rozpoczęciem tej dekady, 18 kwietnia 1926 r.

25/0418/F

eprasa.pl a957fc2aa1

Tankuj, kupuj i odbierz w atrakcyjnej cenie!*

Zbierz 15 naklejek i złap piłkę już za 10 złotych lub 4900 punktów VITAY.

ORLEN

Kierunek jest jeden...

*Sprzedaż promocyjna do 31.08.2018 r. lub do wyczerpania zapasów. Szczegóły promocji w regulaminie na: dlakierowcow.orlen.pl

eprasa.pl a957fc2aa1

Żołnierz, minister, bankowiec

Prezes BGK Roman Górecki w oddziale banku w Krakowie, V 1934 r.

Patriota, żołnierz Legionów, wierny oficer Józefa Piłsudskiego, finansista i menedżer, prezes kluczowego banku państwowego, działacz społeczny, który zbudował podwaliny futbolu w Polsce. We wrześniu 1939 r. ratował przed niemiecką i sowiecką pożogą najcenniejsze zabytki kultury narodowej i powierzony mu majątek publiczny. Wydarzeniami z życia generała Romana Góreckiego, długoletniego prezesa zarządu i szefa rady nadzorczej Banku Gospodarstwa Krajowego, można by obdzielić kilka życiorysów

Roman Górecki urodził się 27 sierpnia 1889 r. w Starej Soli. Był absolwentem Wydziału Prawa Uniwersytetu Franciszkańskiego we Lwowie, gdzie w 1914 r. uzyskał tytuł doktora prawa. Działacz założonej we Lwowie w 1909 r. Organizacji Młodzieży Niepodległościowej „Zarzewie", a także oficer Legionów Polskich, do których wstąpił w 1914 r. na czele sformowanego przez siebie plutonu strzelców. Po pokonaniu bolszewików Roman Górecki pełnił służbę w Sztabie Generalnym Wojska Polskiego: został m.in. szef Korpusu Kontrolerów oraz I zastępcą szefa Administracji Armii. 31 marca 1924 r. został awansowany na generała brygady.

Był bezwzględnie lojalnym oficerem Józefa Piłsudskiego i stanął w szeregach oddziałów wiernych Marszałkowi w trakcie przewrotu majowego 1926 r. Był wtedy bohaterem głośno komentowanego wydarzenia, a mianowicie meldunku o wyborze Józefa Piłsudskiego na prezydenta RP, jaki gen. Górecki na czele oficerów warszawskiego garnizonu złożył

24/0718/F

eprasa.pl a957fc2aa1

stojącemu na placu Saskim pomnikowi księcia Józefa Poniatowskiego. Marszałek Piłsudski godności prezydenta RP ze względu na zbyt małe prerogatywy tego urzędu jednak nie przyjął...

Po objęciu pełni władzy przez sanację gen. dr Roman Górecki rozpoczął karierę finansisty i menedżera. 1 lipca 1927 r. obejmuje stanowisko prezesa Rady Nadzorczej i Zarządu Banku Gospodarstwa Krajowego, które piastował do września 1941, z przerwą od 13 października 1935 r. do 15 maja 1936 r. na pełnienie funkcji ministra przemysłu i handlu w gabinecie premiera Mariana Zyndrama-Kościałkowskiego.

Był autorem wydanej w 1928 r. książki „Rola BGK w życiu gospodarczym Polski" w której pisał „Pojęcie zysku w BGK nie może być identyczne z pojęciem zysku w innej instytucji finansowej, bo BGK nie jest instytucją, która by pracowała na zysk. Zysk Banku – to postęp ogólny w życiu gospodarczym Polski".

Gmach centrali, hol na II p, w I rzędzie m.in. prezes Roman Górecki i wiceprezes Starzyński, 1 I 1933 r.

Swoją sanacyjną misję w Banku Gospodarstwa Krajowego Górecki zdefiniował na pierwszej konferencji prasowej 24 lutego 1928 r w następujący sposób. „Głównym moim celem jest doprowadzenie instytucji pod względem organizacyjnym do takiego stanu, by mógł być wzorem instytucyj finansowych w kraju" I to mu się udało.

W tym czasie udzielał się też na gruncie rozlicznych działań społecznych II RP. W latach 1926–1929 prezes WKS „Legia" Warszawa. Dzięki organizatorskim talentom prezesa Góreckiego i jego zastępcy Zygmunta Wasseraba Legii udaje się wybudować przy ul. Łazienkowskiej w Warszawie stadion im. Piłsudskiego, oddany do użytku 10 sierpnia 1930 r. W 1927 r. gen. Górecki zostaje prezesem Polskiej Ligi Piłki Nożnej, która organizuje pierwszoligowe rozgrywki o mistrzostwo kraju. W latach 1928–1931 był prezesem Polskiego Touring Klubu, a w 1928 r. założył Federację Polskich Związków Obrońców Ojczyzny, największą w kraju organizację kombatancką, której komendantem jest do wybuchu wojny. Był również założycielem i prezesem polskiej sekcji Międzynarodowej Federacji Byłych Kombatantów oraz w latach 1929–1930 prezesem Ligi Morskiej i Rzecznej, której kontynuatorką była Liga Morska i Kolonialna.

Po napaści Niemiec na Polskę 1 września 1939 r. przyszedł czas kolejnej wielkiej próby. 6 września 1939 r. prezes Górecki zorganizował ewakuację specjalnym pociągiem do miasta Równe na wschodnich kresach Rzeczypospolitej centrali BGK wraz z częścią personelu, środkami finansowymi, najważniejszymi dokumentami i bezcennymi depozytami Biblioteki Narodowej (m.in. „Kazania Świętokrzyskie", „Psałterz Floriański", rękopisy partytur Chopina) i Biblioteki w Pelplinie (egzemplarz Biblii Gutenberga).

Po agresji Armii Czerwonej 17 września 1939 r. centrala BGK ewakuowała się do Rumunii, a stamtąd do Paryża i Londynu. Emigracyjny zarząd BGK to de facto powołana 6 grudnia 1939 r. przez Rząd RP na Uchodźstwie Komisja do Uregulowania i Załatwiania Interesów Zagranicznych BGK. Górecki jako jej prezes organizował dla pracowników BGK w kraju i na emigracji akcję wysyłania paczek z żywnością i środkami finansowymi. Dzięki jego staraniom pracownicy BGK, którzy znaleźli się w Anglii, mieli dostęp do bezpłatnych praktyk w brytyjskich bankach.

We wrześniu 1941 r. Roman Górecki został odwołany przez Rząd RP na Uchodźstwie ze stanowiska przewodniczącego Komisji BGK. Zajął się prowadzeniem m.in. wykładów z bankowości dla polskich studentów w Glasgow. W 1946 r. wydał w Londynie książkę „Gospodarczy dorobek Polski w latach 1918–1939". Nękające go przez całe życie problemy zdrowotne na tle reumatycznym nasiliły się w wilgotnym klimacie Wielkiej Brytanii. Choroba postępowała bardzo szybko. 9 sierpnia 1946 r. Roman Górecki zmarł w Szpitalu Wojennym w Iscoyd Park. Został pochowany na cywilnym cmentarzu w Whitchurch.

Prezes BGK Roman Górecki (pierwszy od lewej) z prezydentem Mościckim na osiedlu BGK na Kole, 13 XI 1934 r.

eprasa.pl a957fc2aa1

W latach 20. i 30. XX w. dzięki niemu poruszała się większość pociągów na świecie, a niemal sto lat później jego odkrycie pozwala działać m.in. komputerom, telefonom komórkowym czy telewizorom. Jan Czochralski odmienił świat, ale skończył w anonimowym grobie

WOJCIECH LADA

Metody Czochralskiego, metody bezpieki

Nie miał łatwego życia, choć przez jego większą część powodziło mu się doskonale, cieszył się międzynarodową sławą, która wprost proporcjonalnie odbijała się na stanie jego konta. Jednak bezpośrednio po II wojnie światowej został oskarżony o kolaborację z Gestapo, który to zarzut został co prawda szybko oddalony i nie zagrażały mu żadne sankcje prawne – groziły za to, i były brutalnie wcielane w życie, sankcje nieformalne: przesłuchania przez bezpiekę, rewizje i, co być może najgorsze, całkowite wyłączenie z aktywności naukowej. Zwłaszcza to ostatnie było o tyle bezsensowne, że tracąc umysł Czochralskiego, komunistyczne władze straciły jednego z najzdolniejszych chemików swoich czasów.

KRYSZTAŁY I METAL B

Czochralski urodził się w Kcyni, która w tamtym czasie, w roku 1885, nazywała się jeszcze Exin i leżała na terenie Prus. Dość wcześnie zaczął wykazywać zainteresowanie chemią i w tym kierunku zarówno się kształcił, jak i szukał zatrudnienia. Już jako nastolatek pracował w aptekach, co umożliwiało mu prowadzenie samodzielnych badań naukowych, które wzbogacały zdobywaną m.in. na Politechnice w Charlottenburgu wiedzę. Mając lat 25, otrzymał dyplom inżyniera chemika i rozpoczął pracę w laboratoriach niemieckich koncernów przemysłowych. Nic nie wróżyło w tym momencie zawrotnej kariery, jaką wkrótce miał zrobić. Był młodym, zdolnym naukowcem o zainteresowaniach znacznie szerszych, niż można by spodziewać się po jednym z dziesięciorga dzieci stolarza z prowincjonalnego miasteczka. Czochralski interesował się też sztuką, jako wolny słuchacz uczęszczał na wykłady z jej historii na Uniwersytecie Berlińskim, regularnie bywał na koncertach i w galeriach. Nawiasem mówiąc, intrygowali go również twórcy sztuki – ożenił się z holenderską pianistką Margueritą Haase.

Jednak trzon jego zainteresowań stanowiła chemia, a konkretnie metalurgia, w której wkrótce dokonał epokowych odkryć. W 1916 r. przeprowadził pomiar szybkości krystalizacji metali. „To przyniosło mu ogromny rozgłos, bowiem udowodnił, jak hodować duże kryształy metali i półprzewodników. Początkowo nie miało to praktycznego znaczenia, obecnie natomiast bez jego wynalazków nie może się obejść cała światowa elektronika [...] Dzięki wynalazkowi Czochralskiego istnieją telewizory, komputery, telefony komórkowe, kuchenki mikrofalowe i wiele innych urządzeń" – pisał jeden z jego biografów Marek Borucki. Wszystkie one bowiem działają z wykorzystaniem o tzw. monokryształy, które są produkowane właśnie metodą Czochralskiego.

Metoda – choć opisana i opublikowana – pozostawała jednak początkowo w uśpieniu. Nikt nie wiedział, jak ją wykorzystać, choć samo odkrycie uczyniło z młodego naukowca osobę sławną. Pieniądze przyniósł mu jednak dopiero rok 1924, kiedy opatentował tzw. bezcynowy stop łożyskowy, nazywany także metalem B. Wynalazek znalazł niemal natychmiastowe zastosowanie w kolejnictwie praktycznie na całym świecie, bo używa-

eprasa.pl a957fc2aa1

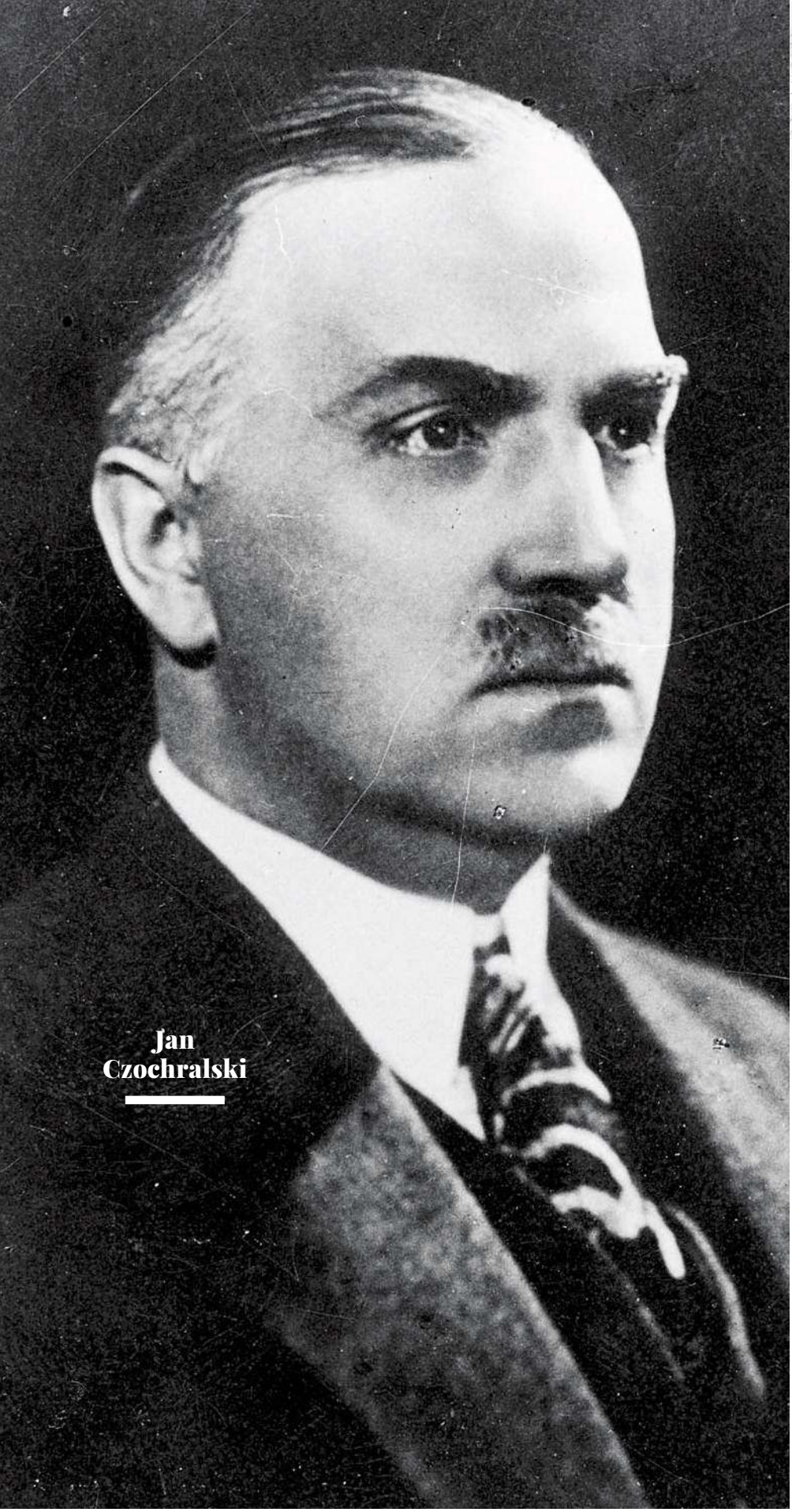

Jan Czochralski

no go zarówno w bolszewickiej Rosji, jak i USA, nie wspominając o całej Europie. Cztery lata później Czochralskiego zaprosił do Polski prezydent Ignacy Mościcki – polityk nienadzwyczajny, ale genialny chemik, który potrafił rozpoznać talent w tej dziedzinie. Odkrywca osiadł więc w Polsce i zaczął pracę w utworzonej specjalnie dla niego Katedrze Metalurgii i Metaloznawstwa Politechniki Warszawskiej.

AGENT I OFIARA

W 2011 r. w Archiwum Akt Nowych w Warszawie odnaleziono dokument potwierdzający, że Czochralski przez cały okres okupacji współpracował z wywiadem Armii Krajowej. Był dla konspiratorów bardzo cennym nabytkiem – nie tylko doskonale znał niemiecki i miał bliskie kontakty w kręgach naukowo-przemysłowych III Rzeszy, lecz posiadał też niemieckie obywatelstwo, przyznane mu niejako z rozdzielnika jako osobie urodzonej w Prusach. Dzięki temu, choć Politechnika została zamknięta, udało mu się zdobyć pozwolenie na utworzenie Zakładów Badań Materiałów, które teoretycznie miały służyć Wehrmachtowi, w praktyce zaś produkowano w nich broń dla polskiego podziemia. Wykorzystując swoje kontakty, wielokrotnie ostrzegał przed aresztowaniami, a kiedy było trzeba, ukrywał też poszukiwanych. Mógł działaczom podziemia wystawiać świadectwa pracy.

Wojenna oficjalna współpraca z Niemcami zniszczyła jednak jego życie. Choć już w 1945 r. został oczyszczony z wszelkich zarzutów kolaboracji, do pracy naukowej nie mógł wrócić. Wraz z rodziną osiadł więc w rodzinnej Kcyni i z braku innych możliwości zarobkowania prowadził niewielką firmę produkującą chemię domowego użytku na rynek lokalny. Szykany bezpieki jednak nie ustawały. Po jednej szczególnie brutalnej rewizji, w której wyniku zniszczono sporą część sprzętu laboratoryjnego, dobiegający już siedemdziesiątki Czochralski doznał zawału serca i wkrótce po przewiezieniu do poznańskiego szpitala zmarł.

Ale bezpieka nie zapomniała o nim nawet po śmierci. Choć nastąpiła ona 22 kwietnia 1953 r., nigdy za czasów komuny nie wydano zgody na umieszczenie napisów na jego grobie.

fot. NAC (x2)

eprasa.pl a957fc2aa1

Ziemia to za mało

Najpierw zainspirowany katastrofalnym stanem polskich dróg tworzył konstrukcje pojazdów do jazdy w ekstremalnych warunkach, ale i tego było za mało. Zbudował więc pojazd zdolny jeździć po Księżycu

WOJCIECH LADA

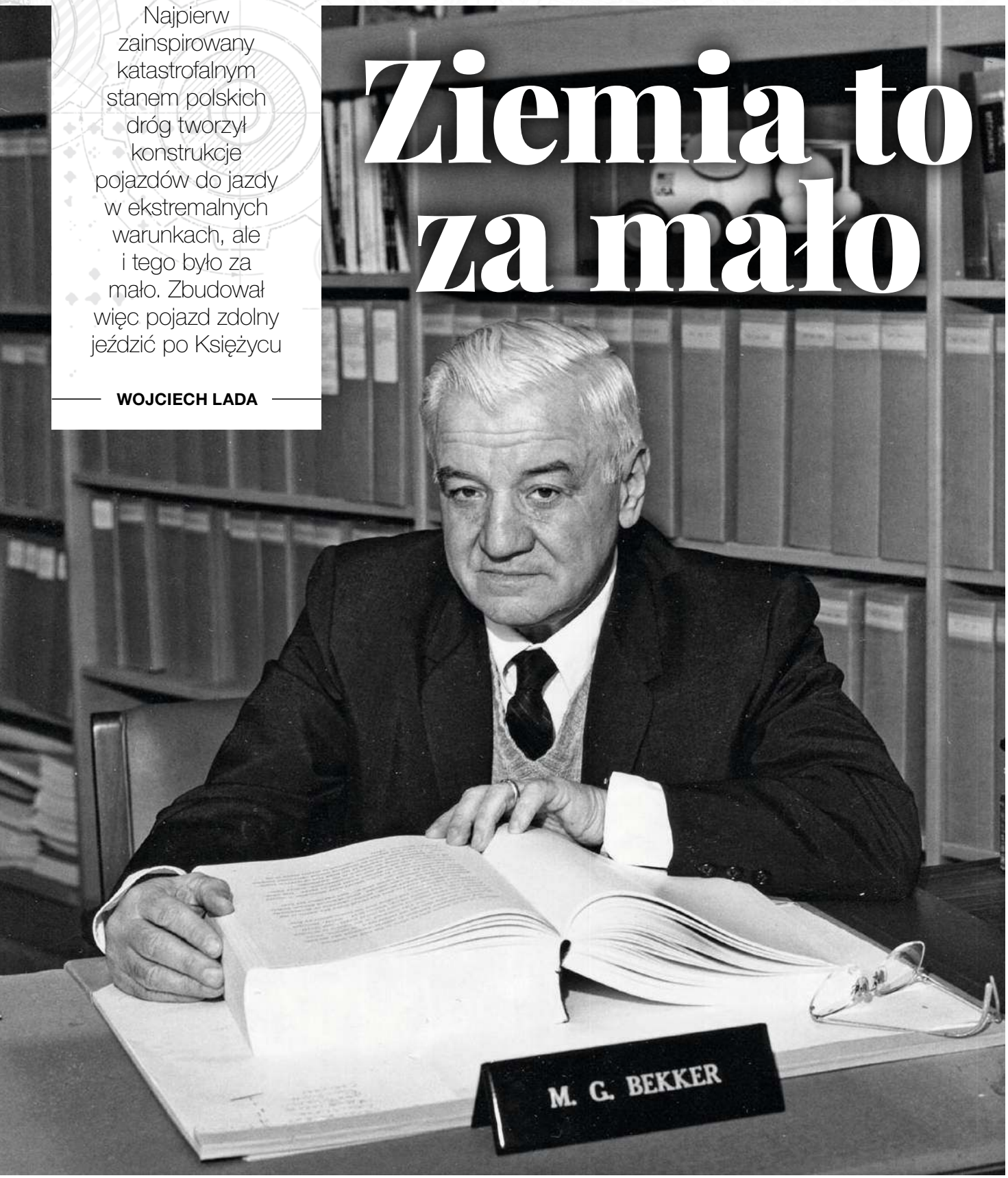

fot. Muzeum Politechniki Warszawskiej (x2)

eprasa.pl a957fc2aa1

Jarosław Iwaszkiewicz wybrał się kiedyś z przyjaciółmi samochodem na wycieczkę. Było to wydarzenie, bo w międzywojennej Polsce auta dałoby się pewnie policzyć na palcach. W każdym razie nie była to liczba z wieloma zerami. To, co później opisał, przypominało raczej ekstremalny rajd po kamieniołomie niż letnią eskapadę, bo oprócz tego, że nie było w Polsce samochodów – nie istniały też normalne drogi. Zawalające się mostki nad potokami, piaszczyste ścieżki, urywające się nagle, wertepy zamiast szosy... Wszystko to czyniło podróżowanie po porozbiorowej Polsce wyczynem dosłownie karkołomnym.

ZAGADKI TERRAMECHANIKI

W czasie, gdy Iwaszkiewicz wybijał sobie zęby na wiejskich traktach, Mieczysław Bekker miał lat ok. 20 i zaczynał studia w Szkole Podchorążych w Modlinie. Był zdolnym studentem, ale też człowiekiem głodnym wiedzy. Kiedy więc ukończył modlińską uczelnię, podjął kolejne studia na Politechnice Warszawskiej, w międzyczasie odbywając staż we francuskiej fabryce Renault.

Być może właśnie doświadczenia wyniesione z polskich dróg – te w okolicach Konina, z którego pochodził, nie były w niczym lepsze od opisywanych przez Iwaszkiewicza – ale pewnie też jego postrzeganie świata w kategoriach wojskowych sprawiły, że od początku pracował nad pojazdami mającymi się poruszać w szczególnie trudnym terenie. Był w tym dobry.

Bezpośrednio po studiach pracował dla Dowództwa Wojsk Pancernych, dla którego skonstruował m.in. takie pojazdy jak Fiat 508 „Łazik", ciągnik artyleryjski Polski Fiat 508/518. Już wówczas pisał wiele prac teoretycznych, w których przekonywał o wyższości pojazdów kołowych nad gąsienicowymi, stając się przy okazji twórcą całkiem nowej dziedziny wiedzy – terramechaniki.

II wojna światowa rzuciła go najpierw do Rumunii, następnie do Francji, gdzie jako uznany już inżynier natychmiast został zatrudniony w Wydziale Czołgów Ministerstwa Uzbrojenia, zaś po upadku Francji przedostał się do Kanady, gdzie pracował w Biurze Badań Broni Pancernej. Jego projekty zdobywały szerokie uznanie, choć ze względu na militarną specyfikę nie były rzecz jasna znane powszechnie. Wystarczyły jednak, by Bekker zapraszany był na wykłady na uczelniach USA, w Waszyngtonie i Nowym Jorku. Wkrótce zresztą, w 1956 r., osiadł w USA na stałe, otrzymując znakomitą posadę dyrektora Instytutu Badań koncernu General Motors. Tu właśnie znalazł Bekker swoje największe wyzwanie.

WYCIECZKA PO KSIĘŻYCU

W General Motors w tym właśnie okresie podejmowano próby stworzenia pojazdu mogącego się poruszać po najtrudniejszym terenie i w ekstremalnych warunkach pogodowych. Ponieważ trwał również „wyścig na orbitę", w którym Amerykanie zmagali się z Rosjanami, idealnym przykładem warunków, w jakich ów pojazd miałby się poruszać, był grunt Księżyca. Kiedy więc NASA ogłosiła konkurs na projekt pojazdu księżycowego, Bekker podjął to wyzwanie. I okazał się najlepszy. W konkursie jego projekt pokonał ponad 80 innych i wkrótce Lunar Roving Wehicle Polaka poleciał w kosmos. Dokładnie mówiąc – trzykrotnie. Różne jego wersje były wykorzystywane w trzech kolejnych misjach: Apollo 15 (lipiec–sierpień 1971), Apollo 16 (kwiecień 1972) i Apollo 17 (grudzień 1972). Specjaliści z NASA ocenili, że dzięki „Roverowi" – jak w skrócie nazywano pojazd – zebrano ok. 70 proc. materiału więcej, niż byłoby to możliwe bez niego.

Rozbijając się po wertepach międzywojennej Polski, Iwaszkiewicz z pewnością się nie spodziewał, że zainspirują one jego rodaka do stworzenia pojazdu księżycowego. Zresztą gdyby pisarz miał wówczas w ręku którąś z książek Bekkera, choćby „Lokomocję po bezdrożach" albo „Mechanikę lokomocji i koncepcje pojazdu do jazdy po powierzchni Księżyca", jego wycieczka byłaby na pewno bardziej udana. Mieczysław Bekker zmarł w 1989 r., ale jego księżycowy wehikuł do dziś spogląda na Ziemię z odległości ok. 400 tys. km.

eprasa.pl a957fc2aa1

Z Powstaniem w świat

Warszawa 1945 r., ul. Zakroczymska. Fasada frontowa PWPW

„63 Days of Extraordinary Courage 1944" – to nowy projekt CSR Polskiej Wytwórni Papierów Wartościowych, który ma za zadanie edukować cudzoziemców i zachęcić ich do bliższego poznania historii Polski. Dzięki temu, że projekt jest realizowany w języku angielskim, internauci na całym świecie będą mogli śledzić losy Powstania Warszawskiego

Codziennie od 1 sierpnia do 2 października 2018 r. o godz. 17.00 (w Godzinę „W") pod hasztagami #63days, #63days1944, #63DaysofExtraordinaryCourage1944 w mediach społecznościowych będą się pojawiać krótkie filmy opisujące wybrane epizody walk w Powstaniu Warszawskim, przygotowane we współpracy Polskiej Wytwórni Papierów Wartościowych z Patrickiem Neyem – brytyjskim filmowcem i vlogerem. Celem projektu jest budowa świadomości historii Powstania Warszawskiego za granicą.

– Jak wiadomo, w czasie Powstania Warszawskiego budynek PWPW odgrywał kluczową rolę, broniąc Niemcom dostępu do Starówki. Czujemy się szczególnie zobowiązani, by w ramach społecznej odpowiedzialności biznesu prowadzić działania edukacyjne poświęcone Powstaniu i Powstańcom. W tym roku – także pod wpływem toczonej niedawno w światowych mediach dyskusji – zdecydowaliśmy się skoncentrować przede wszystkim na cudzoziemcach, którzy bardzo często tak niewiele wiedzą o naszej historii i bohaterstwie naszego narodu – mówi Maciej Biernat, prezes zarządu PWPW. – Do współpracy przy projekcie zaprosiliśmy Patricka Neya, patrząc na to, jak wiele dobrego robi dla Polski oraz z jak fantastycznym odzewem spotykają się jego produkcje na całym świecie – dodaje Biernat.

Patrick Ney jest brytyjskim filmowcem mieszkającym w Warszawie. Jego produkcje o nowej ojczyźnie, którą została Polska, w ciągu dwóch lat zostały obejrzane ponad 33 mln razy. W swoich projektach porusza tematy honoru, poświęcenia i odwagi oraz zadaje pytania o to, jak dziś żyjemy. Jego profile w mediach społecznościowych obserwuje ponad 130 tys. osób.

Patrick zaczął odwiedzać Polskę w 2007 r. i od razu zakochał się w jej bogatej historii i romantycznej przeszłości. – W tych okrutnych dniach sierpnia i września 1944 r. okolice Polskiej Wytwórni Papierów Wartościowych były miejscem, w którym koncentrowały się walki na obszarze coraz bardziej niszczonej Warszawy. W tamtych dniach opór, który stawiali Niemcom bohaterscy obrońcy Reduty PWPW, był symbolem buntu i przeciwstawienia się okupantowi – mówi Patrick Ney. – Dziś PWPW robi wszystko, co w jej mocy, by upamiętniać przeszłość dzielnych mężczyzn i kobiet, którzy walczyli w obronie Reduty PWPW, Warszawy i całej Polski. Jestem zaszczycony, że zostałem partnerem tego ekscytującego projektu – podkreśla.

Dzięki prostej narracji i przekazowi opartemu na emocjach, jakie towarzyszyły każdego dnia Powstańcom, filmy nie pozostawią odbiorców obojętnymi i możliwe, że skłonią ich do samodzielnego sięgnięcia do źródeł historycznych głębiej opisujących historię Powstania Warszawskiego i szerzej traktujących o historii Polski.

Muzykę do filmów skomponował Marek Iwaszkiewicz. Każdy z tych sześciu utworów jest nieodłącznym elementem kolejnego epizodu Powstania Warszawskiego i odwzorowuje emocje, które są integralnym elementem każdej historii. – Ten projekt jest dla mnie naprawdę wyjątkowy. W każdej mojej kompozycji starałem się zawrzeć pierwiastek polskości. Praca nad muzyką do serii była dla mnie dość emocjonalnym doświadczeniem – mówi Iwaszkiewicz. – Mam nadzieję, że również dzięki mojej pracy widzowie będą w stanie poczuć mocniejszą więź z opisanymi przez nas historiami – dodaje.

Projekt „63 Days of Extraordinary Courage 1944" będzie miał dedykowaną stronę internetową www.63days1944.com, kanał YT i profil na Instagramie. Filmy będą publikowane przez Patricka Neya i udostępniane przez Polską Wytwórnię Papierów Wartościowych. Swoje wsparcie w przekazywaniu treści dalej obiecały Polska Organizacja Turystyczna, media polonijne i instytuty kultury.

Fot. MPW

eprasa.pl a957fc2aa1

Piękno ciszy

Do „Leśniczówki" Iwona Cichosz trafiła z tytułem Miss Świata Głuchych 2016, po głównej roli w dokumencie „Znaki" i z drugim miejscem w „Tańcu z gwiazdami". Jako serialowa Maryna Ruszczyc pięknie łączy świat ciszy i dźwięku

Fot. Renata Świderska

eprasa.pl a957fc2aa1

JOLANTA GAJDA–ZADWORNA

Kadr z serialu „Leśniczówka"

Fot. Tomasz Wawer/mat. prasowe

O swojej bohaterce, już z planu drugiego sezonu „Leśniczówki", mówi: – Maryna zaczyna krok po kroku realizować swoje cele, marzenia. Coraz częściej wyraża opinie, nabiera odwagi, a także koloru. Na pewno zaciekawi widzów poznawanie bliżej osoby głuchej, języka migowego i jej relacji ze słyszącymi.

KORKI U GWIAZDY

Swoje pierwsze kroki przed serialowymi kamerami stawiała pełna obaw. – Nie wiedziałam, jak ekipa na mnie zareaguje, czy będzie tolerancyjna – tłumaczy. Przed zdjęciami poprosiła więc o spotkanie z Agatą Kuleszą. Wiedza i doświadczenie wytrawnej aktorki stonowały emocje. – Wprowadziła mnie w filmowe słownictwo, klimat, zasady współpracy itd. – wspomina Iwona Cichosz.

Teraz uwielbia być na planie: pracować z aktorami, żartować z ekipą. Wszyscy są dla niej bardzo mili, nauczyli się sposobów komunikowania, m.in. tego, że w rozmowie z osobą niesłyszącą trzeba utrzymywać kontakt wzrokowy. Reżyser też, jeśli ma uwagi, przychodzi, by się nimi podzielić bezpośrednio.

LEŚNE KLIMATY

Nim weszła w serialowe realia, rzadko bywała w lesie. Wręcz bała się gęsto zadrzewionych terenów z powodu różnych owadów. – Dzięki Marynie pokochałam las i żyjące w nim stworzenia – zapewnia. Bohaterka nauczyła ją doceniania piękna przyrody i mocy płynącej z ziół. Dziś umie się już relaksować wśród bogactwa roślin. Natomiast od siebie dała Marynie wewnętrzną siłę do walki z problemami. Ofiarowała jej swobodę w posługiwaniu się językiem migowym i radość z życia. A także otwartość wobec ludzi.

Taka postawa sprawia, że słyszący w naturalny sposób przyjmują jej odmienność. Stają się uważni. I czerpią z tych spotkań, tak jak ona, wiele dobrego. Choć rozstania bywają niełatwe.

– Z natury bardzo się do ludzi przywiązuję, jeśli czuję jakąś energię między nami. W finałowym odcinku „TzG" od rana powstrzymywałam łzy, bo wiedziałam, że ta przygoda się kończy właśnie tego wieczoru. Całe szczęście przyjaźnię się ze Stefano [Terrazzino, partnerem z tanecznego parkietu – przyp. red.] do dziś i od czasu do czasu tańczymy na pokazach, koncertach czy w spektaklu. Natomiast w „Leśniczówce" miałam już kilka takich sytuacji, że daną postać musiałam pożegnać, i to było dla mnie bardzo trudne emocjonalnie.

MORSKA DZIEWCZYNA

Pochodzi z Gdańska. A dokładniej z dzielnicy Przymorze, gdzie od domu rodzinnego ma 15 minut pieszo na plażę. – Prawie całe dzieciństwo spędzałam na plaży, taka ze mnie morska dziewczyna – uśmiecha się.

Nie słyszy od urodzenia. W jej rodzinie to stan dziedziczny i – dla niej – naturalny. Tak jak PJM (polski język migowy), który – co mocno zaznacza – jest jej językiem. Od małego wpływa na to, kim jest. Ale kształtowały ją też inne doświadczenia.

Wylicza: – Byłam aktorką teatru ulicznego, biegałam na szczudłach, jeździłam na monocyklu (rower jednokołowy), żonglowałam, robiłam pantomimę, objechałam pół świata z teatrem. Potem zajmowałam się zupełnie inną rzeczą niż teatr, czyli pracą w biurze, gdzie promowałam aplikację z tłumaczem języka migowego dla głuchych. Byłam szefową zespołu tłumaczy języka migowego, prowadziłam konferansjerkę na wielu imprezach itd. Ale dziś, krótko i zwięźle, powiedziałabym, że jestem: aktorką, tłumaczką języka migowego i działaczką na rzecz głuchych.

Uważa, że pierwsze studia – zarządzania i doradztwa zawodowego w Gdańsku – przydały jej się w niewielkim stopniu. Natomiast podyplomowe na Uniwersytecie Warszawskim, na kierunku Polski Język Migowy – bardzo!

– Tu stałam się profesjonalnym tłumaczem języka migowego, zgłębiłam wiedzę pod kątem lingwistycznym mojego języka – PJM, odkryłam na nowo moją tożsamość, osoby głuchej. Te studia bardzo dużo mi dały. Natomiast uważam, że i tak najlepszą lekcją dla człowieka są doświadczenia i życie.

KOLEJNE ZNAKI

W 2017 r. stała się główną bohaterką filmu „Znaki" w reżyserii Wojciecha Klimali, pierwszego w Polsce dokumentu o kulturze ludzi głuchych. W tym samym roku w programie „Dancing with the Stars. Taniec z gwiazdami" pokazała, jak pięknie można czuć rytm i muzykę, nie słysząc. W trakcie jej udziału w show stacja po raz pierwszy w historii wprowadziła transmisję „na żywo" z napisami dla osób niesłyszących.

W 2008 r. Iwona Cichosz zdobyła tytuł Miss Polski Głuchych (i piąte miejsce w wyborach Miss Świata Głuchych), by w 2016 r. w Los Angeles odebrać koronę Miss Świata Głuchych.

Pytana o najważniejszy film z udziałem niesłyszącego aktora wymienia „Dzieci gorszego Boga" z Marlee Matlin, która za rolę dostała Oscara. – Gdy gram, to czasem myślę o tym, jak by to zagrała Marlee, ale rzadko. Prawie zawsze po prostu słucham mojej intuicji, jak poprowadzić postać przez różne historie. Staram się być w tym autentyczna.

eprasa.pl a957fc2aa1

ZAREMBA PRZED TELEWIZOREM

Trzy razy Powstanie

1 sierpnia tego roku wieczorem na TVP Kultura fabularne „Miasto 44". Na Stopklatce dokumentalny, choć fabularyzowany, film o najprostszym tytule „Powstanie Warszawskie". Oba sprzed czterech lat.

Co ciekawe, sprawcą obu jest młody reżyser Jan Komasa. W przypadku fabuły to jego autorska wizja. Co więcej, to ten jeden, główny film, który miał oddać całą prawdę o Powstaniu i dostał na to duże publiczne środki. W przypadku dokumentu Komasa był raczej autorem pomysłu, kimś, kto wprawił machinę w ruch. Benedyktyńska praca montowania klatka po klatce wyimków z powstańczych kronik to bardziej dzieło niefilmowców: dyrektora Muzeum Powstania Jana Ołdakowskiego i pracownika tegoż muzeum Piotra Śliwowskiego.

Broniłem „Miasta 44" przed atakami niektórych patriotów, którzy uznali ten obraz za zamach na ich jedyną wizję wydarzenia. Zarzucanie Komasie zamiaru bezczeszczenia świętości to czysty absurd. Histeria niedopuszczalna, nawet gdy odwołuje się do odczuć, pojedynczych zresztą, powstańców, bo prowadzi do odmawiania komuś dobrych intencji, gdy są ewidentne. Autor „Golgoty wrocławskiej" jest patriotą, nawet jeśli manifestuje tę postawę na własną modłę.

Zarazem ja sam byłem przyzwyczajony do bardziej tradycyjnego obrazu wojny. Raziły mnie manieryzmy twórcy, który dopiero co epatował światem współczesnej, „wirtualnej" młodzieży w „Sali samobójców", a teraz naginał świat dawniejszy do niej. Drażnił wtręt z pacyfistycznego utworu Czesława Niemena, dziwił fakt, że nie zauważono krótkiego może, ale jednak ewidentnego momentu entuzjazmu, zachłyśnięcia się wolnością, a od razu zajęto się apokalipsą, pokazując bohaterów jako dzikich i pogubionych w chaosie.

A potem usłyszałem, że niektórzy powstańcy płakali na premierze, bo wreszcie ktoś zobaczył ich znój i cierpienie, a wojna nie była czysta ani schludna jak w „Czasie honoru", ale oznaczała grzebanie się w błocie. Obejrzałem raz jeszcze w telewizji, gdzie lepiej dostrzega się detale, i jednak poczułem emocje tego filmu. Józef Pawłowski zmieniający się z grzecznego chłopca w zombie za pierwszym razem mnie drażnił. Teraz do mnie przemówił.

„Powstanie Warszawskie" wypełnia lukę pozostawioną przez „Miasto 44". Tam koszmar. Tu hymn o żywotności warszawiaków podpatrywanych przez kamery. Ich zmysłu społecznego i samoorganizacji, o których często zapominamy. Narzekano czasem na szczątkową akcję, na głosy braci fotoreporterów, którzy prowadzą podobno infantylne dialogi. Mnie one nie przeszkadzają. Wystarczą mi utrwalone twarze tych ludzi, którzy odzyskali kolory, ba, własne słowa odczytane przez biegłego sądowego. Jest wielką zasługą Jana Ołdakowskiego i jego zespołu, że ten „konstruktywny" wymiar zdarzenia umieli wydobyć. Co nie oznacza drapowania klęski na zwycięstwo – na koniec mamy zwały trupów. Ale co przypomina o lekceważonym często polskim potencjale.

Tym razem nie obejrzałem obu filmów. Wybrałem mimo upału śpiewanie na placu Piłsudskiego. A przypomniał mi się jeszcze jeden, rok starszy film – „Sierpniowe niebo. 63 dni chwały" Irka Dobrowolskiego. Skromny i bezpretensjonalny. Może mimo kosztownej próby Komasy nie nadszedł jeszcze czas syntezy. Może bardziej przemawia budzący grozę epizod przeżyć garstki cywilów ze wspaniałym głosem narratora w tle. Głosem Krzysztofa Kolbergera tuż przed śmiercią. Człowieka, który wprowadzał mnie kiedyś w świat romantyzmu. I współczesna ballada o potrzebie upamiętnienia. Prosta jak plakat, a nie plakatowa. Chapeau bas!

Piotr Zaremba

prasa.pl c2aa1

Polski rock bez pierwszej damy

28 lipca w Bliżowie na Roztoczu zmarła Kora. Legendarna wokalistka, autorka tekstów i wykonawczyni przebojów Maanamu od pięciu lat zmagała się z rakiem

Fot. Tricolors/East News

ADAM CIESIELSKI

Jedna z najbarwniejszych postaci polskiej rozrywki miała szare i ciężkie dzieciństwo. Rodzice, osiedli w Krakowie repatrianci z Kresów, nie radzili sobie w realiach PRL. Ojciec, Marcin Ostrowski, w międzywojniu komendant policji państwowej w Buczaczu, który cudem uszedł z rąk NKWD, a pierwszą żonę stracił na zesłaniu, w „nowej" Polsce był zepchnięty na margines. Z chorą na gruźlicę drugą żoną i pięciorgiem dzieci (Olga, późniejsza Kora, urodzona 8 czerwca 1951 r. była najmłodsza) gnieździł się w pozbawionej wygód suterenie. Z powodu sytuacji zdrowotnej rodziców dziewczynka przez kilka lat przebywała w domu dziecka prowadzonym przez siostry zakonne, potem, po śmierci ojca, u wujostwa w Jabłonowie Pomorskim. Dopiero od piątej klasy i przez całe liceum uczyła się znów w Krakowie.

Po maturze pracowała jako psychoterapeutka w Klinice Psychiatrii Dziecięcej. Alternatywę dla traumatycznych wspomnień i trudnej wciąż rzeczywistości domowej znalazła w popularnym wśród młodej inteligencji ruchu hippisowskim i w kręgach artystycznych. Znana już jako Kora, przyjaźniła się z Krystyną Zachwatowicz, Wiesławem Dymnym i Piotrem Skrzyneckim z Piwnicy pod Baranami. W tym słynnym kabarecie poznała swego pierwszego męża Marka Jackowskiego, wtedy muzyka grupy Anawa. Po ślubie w 1971 r. od czasu do czasu pojawiała się z Osjanem, nową formacją Marka, prowadzoną wraz z Jackiem Ostaszewskim. Urodziwą, ubraną w sari dziewczynę zobaczyłem po raz pierwszy w 1973 r., gdy śpiewała chórki i grała na flecie w tle utrzymanego w klimatach hinduskich występu Osjana w warszawskim Teatrze Żydowskim.

Po raz drugi usłyszałem ją w 1976 r. na Poznańskiej Wiośnie Estradowej, już w roli wokalistki grupy Maanam Elektryczny Prysznic, tworzonej przez Jackowskich z angielskim gitarzystą Johnem Porterem. Zupełne zaskoczenie po subtelnym Osjanie, bo brzmienie było rzeczywiście elektryczne. Po odejściu Portera Marek i Kora podtrzymali rockowy kierunek Maanamu.

Jako wysłannik „Życia Warszawy" byłem też świadkiem triumfu Kory z Maanamem na XVIII Festiwalu Opolskim w czerwcu 1980 r. Balansujący na pograniczu punka i nowej fali zespół brzmiał jak najlepsze kapele brytyjskie. Przy mikrofonie szalejąca solistka. Rewelacyjnie muzykalna, drapieżna, intrygująca tekstami i wizerunkiem, jak nikt wcześniej w Polsce. Bisowane w Opolu piosenki „Boskie Buenos" i „Żądza pieniądza" z miejsca stały się przebojami. Szybko doszły następne: m.in. „Szare miraże", „Stoję, stoję, czuję się świetnie", „Cykady na Cykladach" podbijając cały kraj, w którym właśnie zaczynał się karnawał „Solidarności". Grupa Kory i Marka atakowała coraz to nowymi płytami i hitami, biła rekordy powodzenia, choć pojawiła się silna konkurencja: Perfect i Republika. Maanam dawał rocznie 400–500 (!) koncertów w kraju, miał też swoją, i to wcale nie polonijną, widownię w Niemczech, Holandii, Anglii. Z myślą o niej płyty miały też wersje anglojęzyczne.

Przemęczenie latami życia w trasach spowodowało kryzys zespołu i jego zawieszenie w 1986 r. Były potem kilkakrotne wznowienia, bo Kora i Marek, mimo rozwodu w 1984 r. i wejścia w nowe związki, kontynuowali współpracę artystyczną. Ustała ona w 2008 r. po wypadku Marka, a ostateczny kres rozważaniom o reaktywacji położyła jego śmierć w 2013 r.

Z solowej muzycznej aktywności Kory szacunek wzbudził album „Ja pana w podróż zabiorę" (piosenki z Kabaretu Starszych Panów) z 1993 r. oraz „Kora Ola Ola!" (przeboje z dwudziestolecia oraz z repertuaru Wandy Warskiej, Marii Koterbskiej, Czesława Niemena) z 2003 r. Ostatnimi wydawnictwami były dwie wersje płyty „Ping Pong" z nowym repertuarem z 2011 i 2012 r. Kolejne plany redukowała wyniszczająca choroba.

Żegnamy Korę. Fanom rocka zostaje pamięć o tej niezwykłej artystce i jej frapująca muzyka.

eprasa.pl a957fc2aa1

Trąbka jak żadna inna

Trudno uwierzyć, że już tylko z nagrań słuchać będziemy trąbki Tomasza Stańki, w której przeciągłych brzmieniach furia miesza się z nostalgią. Najsłynniejszy polski jazzman, zaliczany do światowej elity, 29 lipca zmarł w Warszawie na raka

Fot. Jacek Dominski/REPORTER

Urodzony w 1942 r. w Rzeszowie, dorastał i kształcił się w Krakowie. To jego miasto. Tu w 1958 r. olśnieniem był dla niego koncert amerykańskiego kwartetu Dave'a Brubecka. W 1962 r. założył z kolegami formację – Jazz Darings. Wygrał z nią Konkurs Amatorskich Wykonawców Jazzowych Polski Południowej. Triumfował także indywidualnie, ale w najśmielszych marzeniach nie przypuszczał, że już wkrótce znajdzie się na krajowym Olimpie muzyki synkopowanej, tworzonym przez pokolenie Melomanów: Matuszkiewicza, Trzaskowskiego, Kurylewicza, Namysłowskiego, Wróblewskiego, Komedę.

„Mam bardzo ugruntowane poczucie własnej wartości i nie boję się żadnych zestawień, ale niewątpliwie wyrosłem z Komedy" – wyznał mi Stańko po latach. Startu u jego boku nigdy nie zapomniał. „W 1963 r. przyjechałem do Warszawy na Jazz Jamboree tylko po to, by posłuchać, jak grają asy. Nagle w kuluarach filharmonii, gdzie się festiwal odbywał, powiedzieli mi, że szuka mnie Komeda. Zabrzmiało to dla mnie tak, jakby wzywał mnie sam bóg. Myślałem, że to żarty, ale on rzeczywiście szukał nagłego zastępstwa za duńskiego trębacza, który nie dojechał. Polecił mnie, występujący już wtedy u niego saksofonista, Michał Urbaniak".

Młody trębacz, osłuchany w Milesie Davisie, Johnie Coltranie, Ornette Colemanie okazał się dla Komedy wymarzonym partnerem, ale i inspiracją. Z jego zespołem koncertował w Polsce i Europie, nagrywał muzykę filmową i płyty, w tym legendarny „Astigmatic". Aż do wyjazdu lidera do USA w 1968 r. Po jego śmierci, rok później, Stańko poświęcił mu swój nagrany z kwintetem debiutancki autorski album „Music for K.". W 1997 r. wydał płytę „Litania" z kompozycjami Komedy w rewelacyjnych interpretacjach swego międzynarodowego septetu. Przywrócił w ten sposób światowemu jazzowi muzykę mistrza swej młodości, zapomnianą i kojarzoną głównie z filmem. Pochwalne recenzje zwróciły uwagę także na jego własny, na wskroś oryginalny, wieloletni dorobek jako instrumentalisty i kompozytora.

„Litania" wyszła w monachijskiej oficynie ECM, w której Stańko zaistniał już w 1975 r. nagraniem „Balladyny", a po latach przerwy wrócił na stałe w 1995 r., by stać się jedną z lokomotyw tej prestiżowej firmy. Pod skrzydłami jej szefa Manfreda Eichera wydawał płytę za płytą, odbywał trasy koncertowe, zyskując uznanie publiczności i krytyki. W 2003 r. Polak pierwszy odebrał Europejską Nagrodę Jazzową. Zaistniał w USA. W ankietach magazynu „DownBeat" regularnie plasował się w czołowej dziesiątce trębaczy. „The New Yorker" uznał go za jednego z najoryginalniejszych i najbardziej nowatorskich artystów.

W autobiografii „Desperado" Stańko wracał do swoich korzeni i inspiracji, ujawnił też wiele dramatycznych zwrotów losu. Żył ostro, ale wyszedł z uzależnień od alkoholu i narkotyków, ani przez moment nie przestając być poszukującym artystą. Gdy w jego warszawskim mieszkaniu przy ul. Rozbrat gawędziło się przy zielonej herbacie, imponował pogodą ducha, oczytaniem, rozległością horyzontów, nie tylko muzycznych. Także zapałem, z jakim przybliżał plany koncertowe i płytowe oraz nazwiska gwiazd zapraszanych na międzynarodowe festiwale Jazzowa Jesień w Bielsku-Białej, gdzie był dyrektorem artystycznym. Ileż w nim było energii! Gdy widziałem się z artystą wiosną 2017 r. na promocji świetnej płyty „December Avenue", zauważyłem na jego twarzy jakby cień zmęczenia. Kładłem to na karb intensywności zajęć, choć być może były to już pierwsze podejścia osaczającej go strasznej choroby.

Odszedł kompozytor jazzowy, filmowy, teatralny, bandlider, niepowtarzalny trębacz o natychmiast rozpoznawalnym brzmieniu i ekspresji mieszającej furię z romantyczną nostalgią. Nie będzie takiego drugiego.

Adam Ciesielski

eprasa.pl a957fc2aa1

Kołacz narodów

W języku polskim nie istnieje przymiotnik odpowiadający ukraińskiemu „riczpospolitskij". A tak byłby potrzebny, by opisać fenomen wielojęzycznego piśmiennictwa powstającego przez kilkaset lat na wschodnich ziemiach Rzeczypospolitej!

Wojciech Stanisławski

Panegiryki na cześć moskiewskich carów pisane po polsku? Wykład teologii kalwińskiej jako pierwsze dzieło literatury białoruskiej? Rumuńskie psałterze drukowane cyrylicą w Uniowie pod Lwowem? Takie rzeczy to tylko u nas, na ziemiach Międzymorza. I nikt w ostatnich latach nie zestawił więcej tego rodzaju fenomenów niż Andrzej Romanowski.

Można jego „Wschodnim pograniczem..." kartkować jako fascynujący zbiór anegdot, splotów i biogramów – i sam autor, świadom wymogów dyscypliny akademickiej, tłumaczy się (niepotrzebnie!) we wstępie z wielości wątków, które trudno opanować przy pierwszej lekturze, z chaosu spowodowanego próbą opisania w jednym tomie losów ludzi, wyznań, państw i oficyn, z ryzyka dyletantyzmu, skoro opisuje obszar będący przedmiotem zainteresowania tuzina filologii narodowych. Ten „wszystkoizm" jest jednak w moich oczach dubeltowo uzasadniony. Po pierwsze, ponieważ jest świadectwem głębokiego urzeczenia dziedzictwem Rzeczypospolitej. Po drugie, ponieważ stanowi nowatorską propozycję badawczą, pozwalającą uniknąć krojenia dorobku pokoleń wzdłuż „granic językowych" – zabiegu zawsze bolesnego, nieraz wręcz niemożliwego!

Przykładanie bowiem XIX-wiecznych kryteriów narodowościowych do świata nowożytnego nie ma sensu – szczególnie w takim zagłębiu krzyżujących się lojalności względem regionu, wyznania, protektora, ziemi, ustroju i władcy, jakim była dawna Korona z Litwą. Wyodrębnianie „swoich" jest w tych okolicznościach zabiegiem ciasnym i mechanicznym. Z polskiej perspektywy patrzymy nieraz z rozbawieniem lub irytacją na próby „zawłaszczenia" przez ościenne narody filomatów, Kościuszki lub Fredry – ale w czym lepsze jest ograniczanie historii literatury ziem od Warty po Dniepr do opowieści o dorobku polszczyzny (z łacińskim preludium), z której starannie „wycinani" są przy tym autorzy piszący po polsku, lecz z Polską się nieidentyfikujący? Alternatywa, jaką jest potraktowanie dorobku Rzeczypospolitej jako wspólnego, wydaje się rozsądna. Cóż, kiedy dotąd próbował jej tylko zapomniany po trosze Michał Wiszniewski oraz Miłosz w swojej „Historii literatury polskiej".

Romanowski stara się nawiązać do ich dorobku, ukazując pokrewieństwa kultur na czterech płaszczyznach: powiązań biograficznych twórców i mecenasów kultury, przenikania się szkół artystycznych, obecności motywów „ruskich" w polskim piśmiennictwie, wreszcie zrastania języków w dorobku jednego autora, ba, w jednym utworze!

Każda z tych perspektyw jest zawrotna: jeśli idzie o biograficzną, tuzem jest już pierwsza z setki przywołanych w tej książce postaci, księżna Gertruda, córka króla Mieszka II, domniemana autorka łacińskiego modlitewnika, który uznać można za jeden z pierwszych zabytków piśmiennictwa polskiego – tyle że powstał on na jej dworze w Turowie, gdy wydana została za Izajasława Rurykowicza.

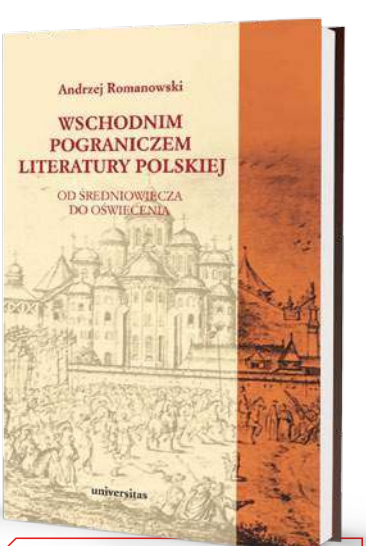

Andrzej Romanowski, „Wschodnim pograniczem literatury polskiej. Od średniowiecza do oświecenia", Wydawnictwo Universitas, 2018

Za Gertrudą idą w ogień pokolenia: fenomen „gente Ruthenus, natione Polonus", nazwany po raz pierwszy przez Stanisława Orzechowskiego, zaistniał na dobre już w średniowieczu, wraz z polskim osadnictwem na Rusi Czerwonej. Studenci z Rusi Halickiej na uniwersytecie w Krakowie – to dopiero przedsmak ogromnej „ruskiej fali", która pojawi się wraz z pierwszymi Jagiellonami. Od tego momentu możemy już mówić o związkach kultur, której świadectwem są i ruskie cykle malarskie w katolickich kaplicach od Lublina po Gniezno, i pierwsze w świecie druki cyrylickie pochodzące z Krakowa, z oficyny Szwajpolta Fiola.

Cóż, Szwajpolta vel Sebalda Veyla – tak bowiem pisał się zapewne ten frankoński hafciarz i złotnik, przybyły do Krakowa pod koniec XV w., a jego historia rozpoczyna zawrotne, łotrzykowskie wręcz przeplatania się losów: odtąd erudyci pochodzenia ruskiego a wyznania kalwińskiego pisali po

eprasa.pl a957fc2aa1

łacinie panegiryki, umacniając pozycję stronników autonomii Litwy, a Wielkopolanin Marcin Broniewski, luteranin, w 1597 r. stworzył traktat, w którym bronił po polsku prawosławia przed forsowaną wówczas unią brzeską.

Nie były to wybory tylko indywidualne: stał za nimi niespotykany gdzie indziej rozrost akademii i typografii, w których jak nigdzie indziej spotykał się Wschód i Zachód. Już kniaź (i hetman) Konstanty Ostrogski, pogromca pułków moskiewskich w bitwie nad Orszą, słynął jako założyciel kolegium mającego być zapleczem intelektualnym dla wyznawców prawosławia. Najsłynniejszą była Akademia założona w Kijowie przez Piotra Mohyłę, gdzie nie tylko nauczano polskiego i łaciny, lecz także odwoływano się do jezuickiego „curriculum" i metod dydaktycznych. Z tych i wielu pomniejszych placówek polszczyzna i „rzymskie tropy" promieniowały na świat prawosławia, od Moskwy aż po przedpola Konstantynopola. Szczególnym fenomenem – Czernihów – ośrodek miejski na najdalszych kresach Ukrainy, w którym pod panowaniem Moskwy funkcjonowała jedna z najważniejszych w świecie prawosławnym oficyn, gdzie traktaty teologiczne drukowano po polsku. Te wzory, jak przypomina Romanowski, sięgały aż po Serbię i Mołdawię.

Owocem tej niespotykanej gdzie indziej bliskości był jedyny w swoim rodzaju dorobek literacki: powstające przez kilka pokoleń poematy, pisane „w prostej mowie", z której wyrastały dopiero rosyjski, ukraiński i, najpóźniej, białoruski. Poematy te zachowywały bez reszty polską prozodię i brzmienie, ba – wartości cenione w życiu publicznym: za przykład starczyć może, ot, lament po śmierci kozackiego atamana Petra Konaszewicza Sahajdacznego, wiernego żołnierza Rzeczypospolitej („Zołotaja wolnost' – tak jey nazywajut'/ Dostupyty jey wsi pilnie sja starajut"). Bohaterowie dziesiątków dramatów i krotochwil scenicznych pisanych i wystawianych w kolegiach jezuickich są dwujęzyczni w naturalny sposób: ruska mowa to lingua franca od Drui po Kijów.

Taka perspektywa urzeka, aż niebezpiecznie blisko zatchnięcia się „trunkiem narodowym" – i dlatego warto uświadamiać sobie, że mówimy o potędze nie tyle „Korony", ile polszczyzny, która fortunnie, choć nie z racji własnych zasług, stała się na 300 lat nośnikiem łacińskich rytmów i wzorów. Urok tej krainy niemal od morza do morza, której mapa wrzucana jest na profile facebookowe niczym plasterek na boleśnie obkurczone ego, polegał przecież nie na areale (z pustynią Gobi i tak nie da się wygrać tej rywalizacji), lecz na wspólnym życiu w miasteczkach i stanicach.

Pisano o tym wiele, bardziej lub mniej udatnie przywołując „mit jagielloński" na poziomie historii i polityki. Andrzej Romanowski podjął wysiłek pokazania, jak ten fenomen manifestował się na gruncie literatury, kultury i czegoś, co najtrudniej poddaje się naciskom politycznym – żywych języków zrastających się w codziennych spotkaniach. „Dzjeń dobry" i „dzjakuję", jakie zdarza nam się dziś szczęśliwie słyszeć w kolejce do kasy i w autobusie, jest ogniwem, które wiąże nas z tamtą epoką.

Pod szlabanem przez miedzę

Granice" Marty Zielińskiej wyciskają oszczędną łzę wzruszenia już jako dowód żywotności tradycji „Biblioteki Romantycznej". Na tamtej serii antologii, powołanej do istnienia i redagowanej przez Marię Janion, chowali się nie tylko literaturoznawcy z IBL, lecz i roczniki, które upomniały się o sprawy publiczne w sierpniu roku 1980: nie da się zrozumieć fenomenu „odrodzenia patriotyzmu lat 70." bez pamięci o tej serii wydawniczej, nawet jeśli niekoniecznie takie właśnie były intencje jej założycielki.

„Nowa Biblioteka Romantyczna" wydawana przez IBL nawiązuje do tamtej stylem i profilem, ale nie trzeba tego wiedzieć, żeby smakować polszczyznę Niemcewicza i Teodora Tomasza Jeża, Bibianny Moraczewskiej i Kunegundy z Giedroyciów Białopiotrowiczowej. Zgrzytliwe kontrastują z nią fragmenty rozporządzeń celnych i obwieszczeń o konfiskacie, bo i tych nie zabrakło w antologii tekstów traktujących o szczególnym doświadczeniu Polaków wieku XIX: doświadczeniu legalnego i nielegalnego przekraczania granic, którymi podzielona została po rozbiorach Rzeczpospolita.

Doświadczenie „paszportyzacji" wspólne jest do pewnego stopnia całej Europie XIX w. – ale Polacy znoszą je najdotkliwiej, zmuszeni do wędrowania lub przekradania się między Kongresówką a „Guberniami Zachodnimi", między Rzecząpospolitą Krakowską a Rosją, między Turcją a Podolem, przerzucając koronki, amunicję lub książki przez Prosnę, Prut, Bug, Niemen i Wisłę. Z tej perspektywy świetnie widać udrękę rozbiorów – i to, jaką moc symboliczną miało obalenie 6 sierpnia 1914 r. słupów granicznych w Michałowicach przez I Kompanię Kadrową.

Marta Zielińska, „Granice", Instytut Badań Literackich PAN, 2018

eprasa.pl a957fc2aa1

Adamski

Wojna domowa

VOD

Lata 60. XX w. radykalnie odmieniły USA. Wojna w Wietnamie, rewolucja pokolenia ’68, uderzenie w fundamenty konserwatywnych wartości, które zbudowały USA. Lata 60. to również wojna o prawa obywatelskie. Początek końca największego grzechu założycielskiego „Miasta na górze”, czyli rasizmu. Lipiec 1967 r. był szczególnie gorący w Detroit. W ówczesnej kolebce amerykańskiego przemysłu motoryzacyjnego zamieszki zaczęły się od z pozoru banalnej interwencji w nielegalnym barze. Starcia policji przerodziły się w jedne z najbardziej krwawych i niszczycielskich zamieszek w historii USA. Przez pięć dni Detroit przypominało front na wojnie. Policji pomagały Gwardia Narodowa i wysłana przez prezydenta Lyndona B. Johnsona armia. Efekt? 43 zabitych, 467 rannych, ponad 2 tys. spalonych budynków. Dopiero zamieszki w Los Angeles w 1992 r. „przebiły” wydarzenia z Detroit.

Zdobywczyni Oscara za „The Hurt Locker” Kathryn Bigelow skupia się na mordzie, do jakiego doszło w hotelu Algiers, gdzie nocą z 25 na 26 lipca grupa policjantów biła i terroryzowała dziewięciu czarnoskórych Amerykanów i dwie białe dziewczyny. Zastrzelono trójkę czarnoskórych nastolatków. Jej film to niemal dokumentalna relacja z frontu rasowej wojny w USA. To relacja surowa, obiektywna (widzimy również sprzeciwiających się rasizmowi policjantów i murzyńskich chuliganów demolujących sklepy) oraz znakomicie zagrana. Film otwiera krótkie wprowadzenie w historię amerykańskiego rasizmu, okraszone malowidłami Jacoba Lawrence’a, jednak Bigelow unika publicystycznych tez rodem z kina Spike’a Lee. Pierwsze 20 minut filmu to precyzyjnie wyreżyserowane obrazy narastającego chaosu na ulicach Detroit, uświadamiające nam, jak łatwo nakręca się spiralę przemocy wywołującą w ludziach najgorsze instynkty.

Bigelow wraz ze scenarzystą (byłym reporterem) Markiem Boalem nie wikła się w historyczne debaty o grzechu rasizmu, ale pokazuje, jak nienawiść, pogarda dla bliźniego i uprzedzenia rasowe naznaczały życie zwykłych ludzi. Walczący za USA w Wietnamie weteran wojenny w swoim domu jest traktowany jak przestępca. Tylko z powodu koloru skóry. Mający przed sobą wspaniałą muzyczną karierę artysta nie jest w stanie po doświadczeniu rasistowskiej przemocy śpiewać dla białych. Obaj przeżyli krwawą jatkę w hotelu. Obaj przetrwali wojnę na ulicach. Co jednak z ich stosunkiem do USA? Czy potrafili zaszczepić patriotyczne wartości swoim dzieciom?

Takie filmy jak „Detroit” działają o wiele mocniej niż antyrasistowskie, pełne wielkich, moralistycznych słów elaboraty. To, co wydarzyło się w hotelu Algiers, może wydarzyć się wszędzie, gdzie zapominamy, że drugi człowiek jest naszym bliźnim. Bez względu na to, jaki ma kolor skóry, orientację seksualną czy wiarę. Warto o tym pamiętać w czasach szalejącej polaryzacji społeczeństw zachodnich.

„DETROIT”, REŻ. KATHRYN BIGELOW. FILM DOSTĘPNY NA SHOWMAX.COM

Kino

Film nakręcony iPhone’em

Steven Soderbergh jest niezłomny w poszukiwaniu nowych form kina. Ten wyrosły z niezależnego kina wielce utalentowany reżyser osiągnął w Hollywood wszystko. Oscar za „Traffic”, nagrody za telewizyjne produkcje („Liberace”, „The Knick”), komercyjny sukces trylogii o Dannym Oceanie. Teraz odwrócił się od hollywoodzkiej machiny i postanowił robić kino po swojemu. Zdumiewający był jego interaktywny serial „Mozaika” (widzowie poprzez dowolny wybór scen mieli wpływ na rozwój akcji). Teraz niesforny reżyser postanowił nakręcić cały film iPhone’em. Efekt? Więcej niż dobry! „Niepoczytalna” nie jest wybitnym horrorem, ale doskonale sprawdza się jako B-klasowa zabawa gatunkiem. Soderbergh swoją kameralną opowieść o szaleństwie brawurowo trzyma w ryzach, korzystając z uroków kina kręconego telefonem komórkowym (zbliżenia na twarze, niepokojąca klaustrofobia). Nonszalancko bawi się gatunkiem, szyderczo puszcza widzowi oko, ale nie ucieka przed powagą opowieści o wszechotaczającym szaleństwie. Zaskakująco dobra rozrywka.

„NIEPOCZYTALNA”, REŻ. STEVEN SODERBERGH, DYSTR. IMPERIAL-CINEPIX

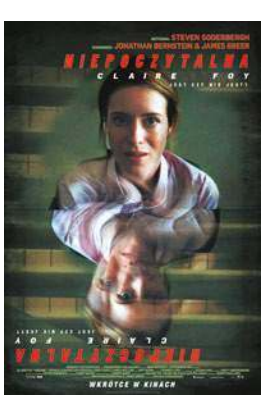

Skala ocen: rewelacja dobry pozytywne zaskoczenie

eprasa.pl a957fc2aa1

Łukasz Adamski
publicysta, krytyk filmowy

poleca

Najlepszym być

DVD

Tonya Harding, amerykańska mistrzyni łyżwiarstwa figurowego, dwukrotna olimpijka, była pierwszą Amerykanką, która podczas zawodów w 1991 r. wykonała potrójnego aksla. Ostatecznie została ukarana dożywotnim zakazem startów w zawodach sportowych.

Kariera Harding runęła w gruzach po tym, jak jej były mąż zaaranżował atak (przetrącenie kolana) na jej rywalkę Nancy Kerrigan. Szokujące? Nie, jeżeli spojrzymy na życie dziewczyny. Tonya była typowym white trashem. Wyrosła wśród białej biedoty. Otoczona przemocą, alkoholem i beznadzieją życia musiała się nauczyć agresji i okrucieństwa, by przetrwać. Jej zaborcza oraz sadystyczna matka od najmłodszych lat pchała córkę do sukcesu. Wbrew wszystkim i wszystkiemu.

„Jestem najlepsza. Ja, Tonya" nie jest jednak typowym biograficznym filmem. Historia łyżwiarki jest tak absurdalna, że trudno byłoby nakręcić o niej poważny film. Sama Margot Robbie, która w brawurowy sposób wcieliła się w Tonyę, nie wierzyła, że ta historia zdarzyła się naprawdę. Choć choreografia występów Harding jest odmalowana z pietyzmem, to na pierwszy plan wybija się jej totalnie pokręcony związek z matką. Jest on pokazany niemal w stylu mockumentu (parodia dokumentu). Grająca matkę Allison Janney zdobyła za swoją kreację Oscara. Słusznie. To wspaniała, złożona rola, tylko na pierwszy rzut oka zbudowana na potworności postaci. Ekranowa matka łyżwiarki to osoba odrażająca i podła, która chce jednak zahartować córkę, by ta wyrwała się z fatalnego życia białych śmieci. Obsadzenie w roli prostackiej dziewczyny pięknej Margot Robbie było znakomitym zabiegiem. Samo wrzucenie pięknej Robbie do taniej, zdezelowanej przyczepy z nadużywającym przemocy mężem nadaje postaci intrygującej głębi.

Największą siłą tego filmu jest jednak błyskotliwy scenariusz. Nielinearna narracja, zwracanie się aktorów wprost do widza jest znane z kina Martina Scorsese (nie przez przypadek film reklamowano jako kobiecą wersję „Godfellas"), ale nie czuć tutaj wtórności. Craig Gillespie lubi opowiadać o takich bohaterach. Antypatycznych, brzydkich, upadłych moralnie, ale jednocześnie odrzuconych przez społeczeństwo czy system. Ten film nie usprawiedliwia haniebnego czynu otoczenia Harding, pozwala jednak spojrzeć na nie oczami wiecznie glanowanej (dziewczynie odbierano punkty za wygląd i tanie ubrania) przedstawicielki społecznego marginesu. Ta smutna historia byłaby nie do zniesienia, gdyby nie czarny jak smoła humor wylewający się od pierwszej do ostatniej minuty.

„JESTEM NAJLEPSZA. JA, TONYA", REŻ. CRAIG GILLESPIE, DYSTR. DASAN

Głód akceptacji

DVD

Paul Thomas Anderson nakręcił swój najbardziej hermetyczny film. Dzieło stworzone po to, by je w skupieniu smakować. Delektować się perfekcyjnymi kadrami, kostiumami, fenomenalnym Danielem Day-Lewisem. To rola utkana ze spojrzeń, z westchnień, grymasów twarzy.

Anderson lubi opowiadać o pokręconych ekscentrykach. Potrafi dekonstruować ich osobowość. Teraz bierze się do krawca Reynoldsa Woodcocka (Day-Lewis), który wraz z siostrą Cyril prowadzi najważniejszy dom mody w Londynie lat 50. Pojawienie się w nim młodej krawcowej wywraca autystyczny świat Reynoldsa do góry nogami.

„Nić widmo" to kino symboli. Wielu warstw, które amerykański reżyser eksploatuje bez egzaltacji i napuszenia „artystycznego kina". Prozaiczne czynności mają tutaj kolosalne znaczenie, co nie drażni jednak pretensjonalnością. Wieczny głód akceptacji zestawiony jest z obfitym angielskim śniadaniem. Ślad buta na królewskiej sukni ślubnej zderza się z perwersyjnym pedantyzmem. Wszystko zamyka się w tęsknocie za matczyną miłością, której czystość objawia się w cierpieniu dziecka. Co zrobić, by chorobliwy perfekcjonizm dał pełnię ludzkiego szczęścia? Można go zatruć, kontrolując toksyczne cząstki w krwiobiegu. Wielkie kino.

„NIĆ WIDMO", REŻ. PAUL THOMAS ANDERSON, DYSTR. FILMOSTRADA

Skala ocen: dno, koszmar, rozczarowanie, można obejrzeć, ale niekoniecznie

eprasa.pl a957fc2aa1

Dla Ojca Świętego niezwykle istotne jest to, żeby pasterz szedł razem ze swoim stadem. Na wzór Chrystusa ma znać swoje owce i je prawdziwie kochać. Co więcej, powinien być gotowy oddać za nie swoje życie. Stąd bierze się wymóg, który stawia nam papież Franciszek: wsłuchanie się w to, jakie są aktualne potrzeby owiec, rozeznawanie, towarzyszenie. I to wsłuchanie się, i towarzyszenie muszą iść tak daleko, żeby pasterz pachniał swoimi owcami

Wsłuchać się w ludzi

Fot. Roman Koszowski /Foto Gość

Z metropolitą krakowskim arcybiskupem Markiem Jędraszewskim, rozmawia Piotr Słabek

W marcu minęło pięć lat od rozpoczęcia pontyfikatu przez papieża Franciszka. Jak ksiądz arcybiskup mógłby scharakteryzować ten okres?

Abp Marek Jędraszewski: Szybko minął ten czas. Niewątpliwie sprawił on, że Kościół został zmuszony do bardzo głębokiej autorefleksji nad sobą, nad swoim miejscem w świecie oraz nad sposobem przekazywania Ewangelii, a także nad swoją wrażliwością, zwłaszcza gdy chodzi o ludzi biednych, opuszczonych, zapomnianych, bardzo nieładnie nazywanych niekiedy ludźmi marginesu.

Ojciec Święty wraca do przesłania, które bardzo wyraźnie zawarte jest w Ewangelii, gdzie Pan Jezus wzywa najpierw uczniów, aby się stali „jako dzieci" (por. Mt 18, 3), to znaczy, aby przyjęli postawę dziecka: pełną ufności, prostoty i czystości. Natomiast z drugiej strony utożsamia się On z ludźmi biednymi i głodnymi, więźniami, chorymi, bezdomnymi (por. Mt 25, 35-46). Niewątpliwie wrażliwość, do której wzywa nas Chrystus – i o konieczności urzeczywistniania jej na co dzień przypomina nam papież Franciszek – sprawia, że wielu ludzi Kościoła, zarówno duchownych, jak i świeckich, powinno na nowo głęboko przemyśleć najważniejsze sprawy odnoszące się do ich życia: na ile ich postawa jest prawdziwie ewangeliczna, to znaczy, w jakim stopniu są „jako dzieci", z jakim zaangażowaniem stają oni po stronie najbardziej potrzebujących i zapomnianych i w jakiej mierze żyją według utartych szlaków postępowania, które swój rodowód znajdują – mówiąc językiem Chrystusa – „w tym świecie", czyli w mentalności całkowicie świeckiej. Inaczej mówiąc, papież Franciszek wzywa nas do uczciwego, aż do bólu, skonfrontowania się ze słowami, które Chrystus wypowiedział do apostołów w Wieczerniku: „Nie jesteście ze świata, bo Ja was wybrałem sobie ze świata" (J 15, 19). Z tym wiążą się zapewne niełatwe pytania: w jakim stopniu nie należę już do tego świata? Jak dalece pozwoliłem Chrystusowi, aby mnie wybrał z tego świata dla Siebie i dla Ewangelii?

Każdy papież jest zanurzony w tradycji Kościoła, w jego nauczaniu, dotyczącym zarówno depozytu wiary, jak i spraw aktualnych i bieżących, szczególnie gdy chodzi o przesłanie II Soboru Watykańskiego. W niektórych mediach próbuje się przedstawiać papieża Franciszka jako kogoś, kto jest rewolucjonistą, kto przeciwstawia się tradycji Kościoła. Czy to jest właściwy obraz Ojca Świętego?

Na pewno jest rzeczą ze wszech miar niewłaściwą, kiedy na posługę papieża Franciszka będziemy patrzyli jedynie poprzez pryzmat obrazu wykreowanego przez media. Pamiętam, z jakim poczuciem tryumfalizmu w 1963 r., gdy kardynał Giovanni Battista Montini został wybrany na papieża, przyjmując imię Pawła VI, światowe media okrzyknęły, wręcz zadekretowały, że jest to prawdziwie postępowy, soborowy papież, który dogłębnie zmieni oblicze Kościoła. Te medialne opinie radykalnie się zmieniły, kiedy zaledwie pięć lat później, w 1968 r., ten sam papież ogłosił encyklikę „Humanae vitae", w której przedstawił naukę Kościoła na temat zasad życia małżeńskiego, stojących w oczywistej sprzeczności z hasłami wybuchłej wtedy tzw. rewolucji 1968 r. Z czasów moich studiów w Wiecznym Mieście w drugiej połowie lat 70. pamiętam rozwieszone na ulicach Rzymu przez środowiska liberalne plakaty, które wprost szydziły z Pawła VI.

W jakiejś mierze podobna sytuacja stała się udziałem także Jana Pawła II, który początkowo był również uwielbiany przez media. Tytuły okładek znaczących pism liberalnych obwieszczały wtedy wszem wobec: „Wreszcie mamy papieża, prawdziwego mężczyznę", „Atleta di Dio" – czyli „Boży atleta" – i tym podobne. Z czasem entuzjazm medialny odnośnie do jego osoby zaczął wyraźnie gasnąć, zwłaszcza wtedy, gdy Jan Paweł II wyraźnie potępiał aborcję i eutanazję, a brał w obronę instytucje małżeństwa i rodziny. Przypomnijmy sobie także bardzo krytyczne wobec niego opinie niektórych ośrodków medialnych w Polsce, kiedy w 1991 r. w ramach swej pielgrzymki do ojczyzny papież niejako kroczył szlakiem Dekalogu, przypominając wszystkim, na jakich zasadach moralnych należy budować fundamenty III Rzeczypospolitej. Okrzyknięto go niemal wrogiem demokracji, która przecież miała być u nas wznoszona w zgodzie z głośnym wówczas hasłem „róbta, co chceta".

Przypominam te zdarzenia z bardziej i mniej odległej przeszłości, aby wszystkim uświadomić to, że dla wielu środowisk medialnych nie liczą się obiektywne fakty, ale stwarzane przez nie narracje. Kreuje się zatem pewne wizje papieża na miarę własnych oczekiwań. Jeśli jakiś papież mniej lub bardziej je spełnia, to jest on przedstawiany pozytywnie. Jeśli natomiast, w przekonaniu niektórych mediów, papież w swoim nauczaniu przekroczy wyznaczoną przez nie granicę, broniąc czystości Ewangelii i pozostając w głębokim nurcie tradycji Kościoła, to niemal z dnia na dzień staje się papieżem wrogim, konserwatywnym, a więc złym, nieznającym życia ani nierozumiejącym świata.

Proszę zwrócić uwagę, że media także dzisiaj kreują określony wizerunek papieża Franciszka, przemilczając przy tym te jego wypowiedzi, które im są nie w smak, chociażby w sprawie aborcji, którą niedawno przyrównał on do zbrodniczych praktyk z czasów nazistowskich Niemiec.

W ostatniej adhortacji „Gaudete et exsultate" Ojciec Święty przestrzega przed dwoma zagrożeniami – pelagianizmem i gnostycyzmem. Są to zagrożenia istniejące wewnątrz Kościoła, podobne do postawy faryzeusza, który przedkładał normy nad relację z Jezusem? W jakiej mierze nauczanie papieża Franciszka ma korzenie II Soborze Watykańskim?

Wprowadziłbym tu najpierw jedno bardzo ważne rozróżnienie. Czym innym jest bowiem to, co naprawdę ludzie myślą i wypowiadają, a czym innym jest to, jak to jest odbierane i rozumiane. Niewątpliwie niektóre wystąpienia czy deklaracje ludzi związanych głęboko z życiem Kościoła mogą mieć posmak swoistej gnozy, to znaczy przekonania, że oni wiedzą lepiej i głębiej niż inni, i z tego właśnie tytułu

eprasa.pl a957fc2aa1

mają prawo, a nawet obowiązek, dyktować innym ludziom, jak mają postępować. Tymczasem Ojciec Święty radykalnie przeciwstawia się takim postawom. Dla papieża niezwykle istotne jest to, żeby pasterz szedł razem ze swoim stadem: czy to na jego przedzie, czy pośrodku, czy też za nim – ale zawsze jako pasterz, który na wzór Chrystusa zna swoje owce i je prawdziwie kocha. Co więcej, jest gotów oddać za nie swoje życie (por. J 10, 1-21). Stąd bierze się wymóg, który stawia nam papież Franciszek: wsłuchanie się w to, jakie są aktualne potrzeby owiec, rozeznawanie, towarzyszenie. I to wsłuchanie się, i towarzyszenie muszą iść tak daleko, żeby pasterz pachniał swoimi owcami.

Niewątpliwie taka postawa towarzyszenia niepokojom i bólom świata jest czymś, do czego Ojciec Święty przywiązuje ogromną wagę. Ale proszę też zwrócić uwagę, że jest to postawa jak najbardziej soborowa. Jeden z głównych dokumentów Soboru Watykańskiego II z 1965 r. – Konstytucja duszpasterska o Kościele w świecie współczesnym „Gaudium et spes" – zaczyna się szczególnym „Wstępem": „Radość i nadzieja, smutek i trwoga ludzi współczesnych, zwłaszcza ubogich i wszystkich cierpiących, są też radością i nadzieją, smutkiem i trwogą uczniów Chrystusowych; i nie ma nic prawdziwie ludzkiego, co nie miałoby oddźwięku w ich sercu". Ojciec Święty nie neguje wielu wspaniałych rzeczy, które się dzieją w Kościele, ale zwraca uwagę na to, żeby nie było w nas nic z Kościoła triumfującego. Chodzi mu bowiem o to, żeby była w nas nieustanna gotowość głębokiego wsłuchiwania się w realne potrzeby ludzi po to, aby umieć na nie odpowiadać nie z pozycji jakiejś gnozy, jakiejś ponoć szczególnie nam wlanej wiedzy dotyczącej wszystkiego, ale z gorącym i autentycznym, a równocześnie pełnym pokory, w duchu Ewangelii, pragnieniem niesienia pomocy ludziom.

Z drugiej strony papież zdecydowanie odrzuca postawy o charakterze pelagianistycznym. Byli bowiem ludzie (już w IV i V w., z czym walczył wtedy św. Augustyn) i ciągle są także dzisiaj, którzy uważają, że nasze dobre postępowanie, a w konsekwencji nasze przyszłe zbawienie zależą tylko od nas, od naszej osobistej decyzji, i że łaska Boża niekoniecznie nam jest potrzebna do codziennego życia, do zmagania się o jego zgodność z Ewangelią, do zdążania ku wiecznej szczęśliwości. Pozostaje to w oczywistej sprzeczności z katechizmową prawdą wiary: „Łaska Boska jest do zbawienia koniecznie potrzebna". Jest ona dla nas po prostu niezbędna, bez niej nie jesteśmy w stanie zrobić nic prawdziwie dobrego. Na Boże impulsy, na łaskę, która dobija się do naszych serc, musimy odpowiadać z całą otwartością i jednocześnie z całą pokorą. I dodajmy, z konsekwencją, by za wołaniem Bożej łaski iść – śmiało i do końca.

Do takiej właśnie postawy otwartości na Boże łaski, na Boże impulsy wzywa nas papież Franciszek, domagając się równocześnie od nas, abyśmy przestali być osobami zadufanymi we własne tylko siły i pokładającymi ufność we własnych tylko przedsięwzięciach.

Franciszek jest pierwszym w historii papieżem jezuitą, wiernym synem św. Ignacego Loyoli. W duchowości ignacjańskiej ważną rolę odgrywa postawa rozeznawania. Czy Ojciec Święty nie pragnie, by postawa rozeznawania była bardziej powszechna w Kościele?

Myślę, że nie do końca jest rozumiane to, o czym mówi papież Franciszek, a co wynika z ducha św. Ignacego Loyoli – ducha, który w naturalny sposób jest bliski Ojcu Świętemu. Rozeznawanie wcale nie znaczy, że prawda jest dynamiczna i zmienna. Prawda Boża jest taka sama i niezmienna, a my, z drugiej strony, rozeznając ją, powinniśmy się na nią coraz bardziej otwierać. Chodzi zatem o pewną duchową dynamikę – ale nie tyle samej prawdy, ile nas samych. Częstokroć nieporozumienie polega na tym, że zagadnienie rozeznawania prawdy wielu interpretuje w taki sposób, że prawda zależy od mojego czysto subiektywnego rozeznania, co nie jest przecież zgodne z myślą Ojca Świętego.

> Papież Franciszek mówi o potrzebie odniesienia normy ogólnej do konkretnych osób i ich szczegółowych sytuacji. W ten sposób rozwija myśl Jana Pawła II

Wiele zamieszania budzi podejście do małżeństw niesakramentalnych i możliwości udzielania komunii świętej tym związkom. Czy rzeczywiście jest tak, jak niektórzy twierdzą, że to wyłom w tradycji Kościoła?

To problem bardzo dokładnego rozeznania sytuacji konkretnych ludzi, w której się oni znaleźli. Proszę zwrócić uwagę, że już Jan Paweł II w adhortacji apostolskiej „Familiaris consortio" z 1981 r. wskazał na pewne możliwości przyjmowania komunii świętej przez ludzi, których małżeństwo się rozpadło i którzy żyją w nowym związku cywilnym.

Adhortacja papieża Franciszka „Amoris laetitia" stała się nowym impulsem do tego, aby raz jeszcze pochylić się nad tym problemem. W dokumencie noszącym tytuł „Wytyczne Pastoralne Konferencji Episkopatu Polski do adhortacji apostolskiej »Amoris laetitia«", zatwierdzonym przez Zebranie Plenarne KEP w dniach 7–9 czerwca tego roku w Janowie Podlaskim i w Siedlcach, czytamy m.in.: „Papież zwraca uwagę na »niezliczoną różnorodność sytuacji« osób, które rozwiodły się i zawarły ponowny związek cywilny. W trosce o ich dobro duchowe konieczne jest rzetelne rozeznanie ich sytuacji, biorąc pod uwagę fakt, że stopień odpowiedzialności nie jest taki sam za każdym razem. Trzeba zawsze brać pod uwagę aplikację normy ogólnej do określonego przypadku. Papież Franciszek mówi – jest to jeden z centralnych aspektów »Amoris laetitia« – o potrzebie odniesienia normy ogólnej do konkretnych osób i ich szczegółowych sytuacji. W ten sposób rozwija myśl Jana Pawła II, który wskazywał na potrzebę uwzględnienia złożoności sytuacji wiernych

eprasa.pl a957fc2aa1

rozwiedzionych, żyjących w nowych związkach cywilnych (por. FC 84 §2). Papież Franciszek zaznacza, że duszpasterskie towarzyszenie osobom będącym na drodze rozeznania musi odbywać się »zgodnie z nauczaniem Kościoła i wytycznymi biskupa« (AL 300). W procesie tym nie może zabraknąć przeprowadzenia rachunku sumienia, obiektywnej analizy sytuacji dzieci i opuszczonego współmałżonka, prób i możliwości pojednania, uwzględnienia konsekwencji nowej relacji wobec pozostałej rodziny i lokalnej wspólnoty wiernych (por. AL 300). Działania te są szczególnie ważne w życiu osób stojących w obliczu konieczności podjęcia skomplikowanych decyzji duchowych. Chodzi o właściwą ocenę i rozważny wybór. Rozeznawanie jako dynamiczny proces zawsze powinno być otwarte na nowe etapy rozwoju i nowe decyzje podjęte w sumieniu, a pozwalające na zrealizowanie ideału w pełniejszy sposób (por. AL 303)".

Mówi się, że papież Franciszek patrzy na Kościół i świat z perspektywy Ameryki Południowej oraz że z tego spojrzenia wynika jego niezwykła wrażliwość na biedę i wykluczenie. Czy ksiądz arcybiskup zgodziłby się z takim stwierdzeniem?

Tradycja charytatywna (troska o ubogich i wykluczonych) jest obecna od samego początku dziejów Kościoła, o czym mówią nam m.in. Dzieje Apostolskie czy Listy św. Pawła. To z zatroskania apostołów o właściwe „obsługiwanie stołów" zrodził się urząd i posługa diakonów (por. Dz 6, 1–6). W Europie średniowiecznej szeroko rozumiana funkcja charytatywna była niezwykle rozwinięta, o czym świadczy to, że to Kościół i jego instytucje byli odpowiedzialni za pomoc ubogim i za całe szpitalnictwo. Od czasów rewolucji francuskiej te zadania zaczęło w Europie stopniowo przejmować świeckie państwo. Mimo jednak tego, że w powszechnym przekonaniu, ale również w praktyce, pomoc społeczna jest i powinna być świadczona przez państwo oraz jego struktury, to Kościół nie może się wyrzec swego bogactwa, którym są – jak to przed wiekami stwierdził szykujący się na męczeństwo św. diakon Wawrzyniec – jego biedni. Stopień wrażliwości i otwartości na potrzeby bliźnich, ubogich i wykluczonych jest miarą żywotności Kościoła.

To prawda, dzisiaj obszar materialnej biedy przeniósł się w inne rejony świata, bo zasadniczo Europa jest kontynentem bardzo bogatym. Ale ten bogaty kontynent staje się równocześnie coraz bardziej ziemią ludzi zatomizowanych, zapatrzonych jedynie w siebie i swoją absolutnie pojmowaną wolność, obojętnych na los innych ludzi. Jest to też kontynent, na którym w wielu miejscach życie Kościoła zamiera. W tym świetle trzeba zrozumieć to, co w 2003 r. Jan Paweł II pisał w adhortacji apostolskiej „Ecclesia in Europa" o cichej apostazji ludzi sytych. Poziom życia ekonomicznego i materialnego podnosi się również w tej części Europy, w której żyjemy. Także u nas w Polsce możemy zaobserwować ową cichą apostazję, która wprawdzie nie przyjmuje postaci jakiegoś oficjalnego czy głośnego buntu przeciwko Panu Bogu, ale jest realnym odchodzeniem od Niego. Tworzy się mentalność, którą Benedykt XVI nazywał mentalnością „zrób to sam": Bóg nie jest już człowiekowi potrzebny, to człowiek może wszystko sam dla siebie zrobić i załatwić. Przyjmuje się zatem paradygmat, według którego nie ma nic innego poza rzeczywistością materialną i człowieczym samospełnieniem w ramach tej materialnej rzeczywistości. W konsekwencji w Europie rzeczywistość ubóstwa przeniosła się ze sfery materialnej w sferę duchową. Inaczej mówiąc, Europa w jakiejś mierze biedę materialną ma już za sobą, ale wpada w kolejne pułapki biedy. Życie bez Boga w sposób nieunikniony wiąże się bowiem z ogromną biedą ludzkiego ducha, która wyraża się chociażby w postaci ucieczki w rzeczywistość czysto wirtualną, w świat alkoholu, narkotyków, seksu czy hazardu.

Natomiast Ojciec Święty wywodzi się ze środowiska, gdzie bieda materialna wielkiej rzeszy ludzi jest ciągle przerażająca, co jest źródłem różnego rodzaju rewolucyjnych programów o podłożu marksistowskim, chociażby tych, które głosiła tzw. teologia wyzwolenia. Zapewne wrażliwość papieża Franciszka nie do końca jest rozumiana w Europie, ale trzeba ją dostrzec i uznać jej znaczenie – mimo, a może nawet na przekór naszemu europocentryzmowi. Istnieją przecież ogromne przestrzenie na naszej ziemi, gdzie ludzie umierają z głodu, gdzie są wojny, gdzie panuje przemoc, gdzie cynicznie wykorzystuje się kobiety i dzieci – a właśnie te zjawiska piętnuje Ojciec Święty.

W jakiej mierze papież Franciszek jest kontynuatorem i w jakim sensie rozwija nauczanie Jana Pawła II?

Chciałbym zwrócić uwagę na to, że działalność Ojca Świętego Franciszka, przy całej nowości i świeżości jego pontyfikatu, wpisuje się w posługę Piotra. O każdym papieżu mówimy, że jest Piotrem naszych czasów, ale przecież inne były czasy Jana XXIII czy Pawła VI, jeśli ograniczymy się tylko do przykładów z drugiej połowy XX w. Inne były też czasy Jana Pawła II, który przekroczył próg wieków i tysiącleci.

Dziś mamy nowe wyzwania, zachodzą globalne procesy, mamy do czynienia z wojną hybrydową czy falą uchodźców atakujących w mniej lub bardziej sterowany sposób Europę, pukających do jej drzwi. Dlatego papież Franciszek, Piotr naszych czasów, stara się pokazać Ewangelię jako konkretną odpowiedź na nasze czasy. Jan Paweł II upominał się, zwłaszcza w latach 80., o to, żeby Europa oddychała dwoma płucami i żeby runęła wzniesiona przez komunizm żelazna kurtyna, natomiast Ojciec Święty Franciszek zwraca uwagę na to, że są ogromne przestrzenie zła, przemocy, nienawiści – na Bliskim Wschodzie, w Afryce czy Ameryce Południowej.

Jan Paweł II w 1987 r., będąc na gdańskiej Zaspie, przemawiał „do was i za was", mając na uwadze zebranych tam ludzi, zwłaszcza ludzi z „Solidarności", ponieważ doskonale wiedział, że ich działalność ciągle była nielegalna i że wskutek tego byli niejako pozbawieni głosu. Podobnie dzisiaj Ojciec Święty staje się głosem tych wszystkich, którym odmawia się prawa do głosu, gdyż doskonale zdaje on sobie sprawę z tego, że głos biednych i wykluczonych musi być słyszany, zwłaszcza przez tych, którzy decydują o losach świata, a którzy tak często postępują w sposób cyniczny, nie licząc się z ogromem nieszczęść nie tylko poszczególnych ludzi, lecz również całych społeczeństw i narodów.

eprasa.pl a957fc2aa1

O Rosji i Europie

Fot. Shutterstock

Wykład Viktora Orbána na XXIX Wolnym Uniwersytecie Letnim i Obozie Młodzieżowym „TUSványos" w Tusnádfürdő (Băile Tuşnad). Fragmenty

TEZY ŚRODKOWOEUROPEJSKIE

Mamy i takie zadanie, żeby rozwijać Europę Środkową, która jest większym obszarem i oznacza więcej niż sam Basen Karpacki. Mamy przed sobą możliwość budowy wielkiego, silnego, bezpiecznego obszaru gospodarczego i politycznego, czyli Europy Środkowej. Powiedzmy jasno, że Europa Środkowa stanowi obszar odrębnej kultury, jest inna niż Europa Zachodnia. Aby Europa Środkowa mogła zająć godne miejsce na naszym kontynencie, warto sformułować parę tez. Pozwoliłem sobie sformułować pięć tez służących rozwojowi Europy Środkowej.

Pierwsza brzmi tak: każdy kraj europejski ma prawo do obrony swojej chrześcijańskiej kultury i ma prawo odrzucić ideologię multikulturalizmu. Druga teza: każdy kraj ma prawo chronić tradycyjny model rodziny, każde dziecko ma prawo do jednej matki i jednego ojca. Trzecia teza środkowoeuropejska brzmi tak: każdy kraj środkowoeuropejski ma prawo do chronienia swoich gałęzi gospodarki i swoich rynków, mających kluczowe znaczenie z punktu widzenia ich strategii narodowych. Teza czwarta głosi: każdy kraj ma prawo do ochrony swoich granic i do odrzucenia napływu imigrantów. Teza piąta zaś: w najważniejszych kwestiach każdy kraj europejski ma prawo obstawać przy zasadzie „jeden naród – jeden głos" i tego prawa nie wolno w Unii Europejskiej pomijać. Czyli my, mieszkańcy Europy Środkowej, twierdzimy, że istnieje życie poza globalizmem, nie jest on jedyną możliwą drogą. Droga Europy Środkowej jest inna – jest to droga sojuszu wolnych narodów.

TRUMP I PUTIN

Dotychczas żeglowaliśmy po spokojnych wodach. Teraz wypływamy z wód Balatonu na otwarte morze. Co się wydarzyło w ciągu ostatniego roku w otaczającym nas świecie? Po pierwsze, amerykański prezydent dotrzymał swoich obietnic. Mogą państwo pamiętać lekceważącą i wyniosłą reakcję europejskich elit na wieść o tym, że zamierza on przekształcić multilateralny, tzn. opierający się na wielostronnych porozumieniach, układ światowy w system oparty na porozumieniach dwustronnych. W ciągu ostatniego roku przystąpił do realizacji tego zamierzenia i posuwa się naprzód w sposób planowy, z inżynierską dokładnością, a przed naszymi oczami staje nowy porządek polityki i gospodarki światowej, oparty na umowach dwustronnych. Drugim ważnym procesem zachodzącym w otaczającym nas świecie jest trwająca chińska ekspansja, kontynuacja procesów rozwojowych Chin.

Trzecią ważną okolicznością jest to, że Rosjanie również spełnili swoje obietnice, na które europejska elita liberalna machnęła ręką w taki sam sposób, jak na obietnice amerykańskie. Putin poczynił kroki i jest już bardzo bliski wdrożenia transportu gazu do Europy z pominięciem Ukrainy. Nord Stream 2 niedługo powstanie, zaś plany Tureckiego Potoku leżą już na stole.

EUROPA SKRĘCA W PRAWO

Czwartą ważną rzeczą w minionym roku było postępujące skręcanie Europy w prawo. Okazało się, że jest to proces nie tylko środkowoeuropejski. Przypomnijmy sobie wyniki wyborów w Niemczech, Austrii czy też we Włoszech. Ogólny skręt w prawo nastąpił w całej Europie. Przytoczyłem powyższe powiązania, ponieważ dla 10-milionowego kraju i 15-milionowego narodu, jakim jesteśmy, warunkiem przetrwania jest dokładne zrozumienie tego, co się wokół nas dzieje. Musimy zdać sobie sprawę z faktu, że ryzyko i konsekwencje głupoty są znacznie większe w przypadku kraju takiego jak my, kraju naszej wielkości, niż w przypadku dużych państw.

KONKURENCJA

Ważne jest zatem, abyśmy zrozumieli, kto jakie ma cele i dążenia wokół nas na świecie. Musimy zrozumieć, co będzie się działo w otaczającej nas polityce międzynarodowej w kolejnym roku. Amerykanie będą kontynuowali swój eksperyment, aby zachować wiodącą pozycję na świecie oraz aby skutecznie konkurować z Chinami. Nie zapominajmy, że Chiny mają czterokrotną przewagę demograficzną, są wewnętrznie stabilne, a w tej chwili też rozwinięte technologicznie i posiadają nowoczesną gospodarkę, a tym samym czas i tendencje rozwojowe są po ich stronie. Amerykanie nie chcą się z tym pogodzić i wiedzą, że jeżeli wszystko będzie toczyło się tak jak za poprzednich prezydentów, wówczas przewidywany rezultat działań będzie dla nich opłakany. Dlatego chcą zmienić reguły gry międzynarodowej. Czy uda im się to osiągnąć, a przede wszystkim czy uda im się tego dokonać bez wywoływania konfliktów zbrojnych, tego nikt jeszcze dziś nie wie, możemy być jednak pewni, że są pełni woli i determinacji, by w tym kierunku kształtować swoją światową politykę.

To dlatego próbują zlikwidować nadwyżkę handlową, którą Europa ma w stosunku do nich. Tego właśnie dotyczą starcia świadczące o wojnie handlowej pomiędzy Unią Europejską a Stanami Zjednoczonymi. Dogadają się z Rosjanami w kwestii ograniczenia zbrojeń i zawarte zostanie porozumienie amerykańsko-rosyjskie. Wytworzone zostaną nowe pozycje handlowe, jeżeli będzie trzeba, to przy użyciu ceł i sankcji w stosunkach Chiny–USA.

UKRAINA

Co zrobią Rosjanie w przyszłym roku? Dla zrozumienia ich zamiarów należy zauważyć, że Rosja nie czuje się bezpieczna bez otaczających ją stref

eprasa.pl a957fc2aa1

buforowych. Dlatego Rosja w dalszym ciągu będzie zmierzała do otoczenia się strefami buforowymi, tak jak czyniła to dotychczas. Ukraina będzie jedną z ofiar tej polityki. Ukraińcy zadecydowali, że nie życzą sobie więcej podziału opierającego się w połowie na wpływach zachodnich, a w połowie na wpływach rosyjskich, chcieliby się przyłączyć do świata zachodniego i wydostać z rosyjskiej strefy buforowej. Zamierzają się zbliżyć do Zachodu, wstąpić do NATO, do Unii Europejskiej, zbudować nowoczesną Ukrainę. Nie widzę natomiast szans na członkostwo w NATO, zaś prawdopodobieństwo członkostwa w Unii Europejskiej jest bliskie zeru. Zamiast nowoczesnego państwa ukraińskiego widzę raczej ukraińską gospodarkę jako dryfującą w kierunku niewoli długów. Cel Rosji, aby przywrócić poprzednie status quo, nie wydaje się nierealny.

STOSUNKI POMIĘDZY UNIĄ EUROPEJSKĄ A ROSJĄ

W tym kontekście warto się zastanowić nad relacją między Unią Europejską a Rosją. Mówiąc ogólnie i zdroworozsądkowo, należy stwierdzić, że Unia Europejska prowadzi prymitywną politykę rosyjską, opartą na sankcjach i odwołującą się do zagrożeń bezpieczeństwa. Nie jest w stanie dokonać sytuacyjnego rozróżnienia, choć byłoby ono potrzebne, ponieważ wewnątrz Unii Europejskiej są państwa, które rzeczywiście mogą się czuć zagrożone, które rzeczywiście dzień w dzień mogą żyć w poczuciu niebezpieczeństwa. Do krajów tych należą państwa bałtyckie, jak i Polska. Poczucie to jest podyktowane zarówno wydarzeniami historycznymi, jak i uwarunkowaniem geograficznym. Jednocześnie jest zupełnie oczywiste, że Węgry nie czują takiego zagrożenia, Słowacja i Czechy również nie, nie mówiąc już o krajach Europy Zachodniej. Oczywiście nie ma takiego kursu politycznego, który wszystkim by odpowiadał. Byłoby więc lepiej, gdyby Polska i kraje bałtyckie otrzymały od NATO i od Unii Europejskiej dodatkowe, supermocne gwarancje bezpieczeństwa, natomiast reszta Europy powinna podjąć z Rosją relacje handlowe. Rozbudować współpracę gospodarczą i wbudować potencjał handlowy we własny potencjał rozwoju gospodarczego. Zamiast prymitywnej polityki względem Rosji potrzebujemy zróżnicowanej polityki rosyjskiej. [...]

UPADEK EUROPEJSKICH ELIT

Powagę sytuacji i krytyczny stan europejskiej cywilizacji odsłonił kryzys migracyjny. Upraszczając skomplikowaną argumentację, powiem tak: musimy zmierzyć się z faktem, że przywódcy Europy są nieudolni. Nie zdołali uchronić Europy przed napływem mas.

Elita europejska poniosła klęskę, a symbolem tej klęski jest Komisja Europejska. To zła wiadomość. Dobrą jest to, że dni Komisji Europejskiej są policzone. I ja je nawet policzyłem: do wygaśnięcia mandatu zostało im 300 dni. Komisja pełni w Unii Europejskiej ważną funkcję, jej decyzje mają poważne konsekwencje dla państw członkowskich, więc także dla Węgier.

Zgodnie z traktatem założycielskim Komisja jest stróżem traktatu Unii Europejskiej i jej umów. Dlatego winna być obiektywna i niestronnicza, powinna też gwarantować cztery podstawowe wolności. Zamiast tego dziś Komisja jest stronnicza, gdyż stoi po stronie liberałów.

Jest nieobiektywna, gdyż jej działania skierowane są przeciw Europie Środkowej. Komisja nie jest przyjacielem wolności, gdyż pracuje nad zbudowaniem jakiegoś europejskiego socjalizmu. Zadajmy sobie pytanie, dlaczego europejska elita poniosła klęskę.

EUROPA „SPOŁECZEŃSTWA OTWARTEGO"

Odpowiedź, jaką możemy dać, jest po pierwsze taka, że ta elita odcięła się od swoich korzeni i zamiast budować Europę na jej chrześcijańskich fundamentach, tworzy Europę tzw. społeczeństwa otwartego. W chrześcijańskiej Europie praca była w poszanowaniu, ludzie mieli swą godność, mężczyzna i kobieta cieszyli się równością, rodzina była podstawą narodu, a naród podstawą Europy, państwa zaś gwarantowały bezpieczeństwo swoim obywatelom.

W dzisiejszej Europie „społeczeństwa otwartego" nie ma granic, Europejczyków można zastępować przybyszami, rodzina stała się formą współżycia podlegającą wariacjom według dowolnych upodobań, naród zaś, narodowa tożsamość i narodowe uczucia uznawane są za pojęcia negatywne i objaw zacofania, a europejskie państwa nie gwarantują już bezpieczeństwa.

W liberalnej Europie bycie Europejczykiem w rzeczywistości niczego już nie oznacza, nie wyznacza już żadnego kierunku, pozostaje tylko forma pozbawiona treści. Na dodatek, szanowni państwo, liberalna demokracja przepoczwarzyła się w liberalną niedemokrację. Na Zachodzie sytuacja wygląda tak, że jest liberalizm, ale demokracji nie ma.

ZACHODNIA CENZURA

Nasze osobiste przekonanie o braku demokracji potwierdza to, że na Zachodzie powszechne jest ograniczanie wolności słowa oraz cenzura. Wiadomości niewygodne dla liberalnej elity są kontrolowane wspólnie przez państwowych przywódców i technologicznych potentatów.

Jeśli ktoś temu nie wierzy, niech się przyjrzy stronom internetowym, niech wejdzie w sieć mediów społecznościowych i zobaczy, jakimi przebiegłymi i przewrotnymi środkami eliminowane są negatywne wiadomości i materiały źródłowe dotyczące imigrantów, i jak europejskich obywateli pozbawia się możliwości konfrontacji z rzeczywistością.

Liberalna koncepcja wolności opinii rozwinęła się już do tego stopnia, że różnorodność poglądów uważa się za ważną tylko do momentu, w którym ze zdziwieniem stwierdza się, że istnieją odmienne poglądy.

Liberalna wolność prasy przypomina nam starą, sowiecką anegdotę: jakkolwiek by składać części z sowieckiej fabryki rowerów, to na koniec i tak zawsze wychodzi z tego broń maszynowa. Jakkolwiek by składać liberalną wolność prasy, na koniec i tak zawsze wychodzi z tego cenzura. [...]

eprasa.pl a957fc2aa1

ANIHILACJA POLITYKI CHRZEŚCIJAŃSKIEJ WIĘKSZOŚCI

Nasi przeciwnicy są bardzo bliscy zwycięstwa. Nie czujemy tego, jak bardzo blisko. Nawet nie przeczuwamy, jakie znaczenie ma ten fakt. Jeśli prześledzimy ostatnie sto kilka lat europejskiej demokracji, odkryjemy, że w istocie w Europie decydująca była rywalizacja pomiędzy organizacjami wspólnot trwających w tradycjach chrześcijańskich, nazwijmy je chrześcijańsko-demokratycznymi, a tymi, które tę tradycję poddawały krytyce, wręcz jej zaprzeczały, nazwijmy je partiami lewicowymi i liberalnymi.

Rozwój Europy był związany z rywalizacją tych dwóch sił, raz jedna, raz druga zyskiwała większe poparcie. Ten wyścig miał nawet swe dobroczynne skutki, wyzwalał energie duchowe i potencjał intelektualny. Właściwie rywalizacja ta gwarantowała rozwój Europy. Była to rywalizacja jednocześnie polityczna i duchowa. Stanowiła ona głęboką strukturę europejskiej polityki, w ten sposób decydowały się w Europie problemy władzy.

Jeśli dojdzie do tego, że w jednym czy drugim kraju ludność muzułmańska osiągnie 10 proc. lub je przekroczy – a wiemy o niej, że nigdy nie będzie głosować na partie chrześcijańskie – i dodamy do tego starych mieszkańców Europy, którzy porzucili chrześcijańskie tradycje, wówczas już nigdy nie będzie można w Europie wygrać wyborów, opierając się na chrześcijańskich fundamentach, a wspólnoty strzegące chrześcijańskiej tradycji i spuścizny zostaną wyparte z obszarów władzy i o przyszłości kontynentu będzie się decydować bez nich. Tak to wygląda i jesteśmy bardzo blisko tego, by to się spełniło. [...]

DEMOKRACJA NIELIBERALNA

W tym punkcie musimy ominąć już tylko jedną pułapkę – pułapkę o charakterze intelektualnym. Człowiek już taki jest, że niechętnie opuszcza swoją strefę komfortu, nie przepada za sporami i łatwo poddaje się adwersarzom.

W kwestiach intelektualnych przynosi to raczej szkodę niż pożytek. A tu już miga przed naszym nosem przynęta. Przynętą jest twierdzenie, że i chrześcijańska demokracja może być liberalna.

Radzę zachowanie spokoju – nie dajmy się złapać na ten haczyk. Gdybyśmy przyjęli to twierdzenie, walka, którą dotąd prowadziliśmy, straciłaby swój sens, a więc pracowaliśmy na darmo.

Powiedzmy to z pełnym spokojem: chrześcijańska demokracja nie jest liberalna. Liberalna demokracja jest liberalna, chrześcijańska demokracja z definicji liberalna nie jest. Można powiedzieć, że jest ona nieliberalna.

Możemy to pokazać konkretnie na przykładzie trzech ważnych spraw. Demokracja liberalna popiera ideologię multikulturalizmu, demokracja chrześcijańska zaś daje pierwszeństwo kulturze chrześcijańskiej, a to jest pogląd nieliberalny.

Demokracja liberalna jest stronniczką imigracji, demokracja chrześcijańska zaś jest temu przeciwna, to również myśl na wskroś nieliberalna. Wreszcie demokracja liberalna jest stronniczką różnych wariacji modelu rodziny, podczas gdy demokracja chrześcijańska stoi na fundamencie chrześcijańskiego modelu rodziny, co też jest poglądem nieliberalnym.

ELITA ROKU ’68

Bądźmy więc silni, podejmijmy ten duchowy spór i uzbrójmy się w pancerz na czekające nas europejskie wybory. Przed nami wielka chwila, zobaczymy, czy nadejdzie. Mamy szansę.

W maju przyszłego roku możemy urządzić pożegnanie nie tylko liberalnej demokracji i utworzonego przez nią antydemokratycznego systemu, lecz również całej elity roku ’68.

POKOLENIE LAT 90.

Jeśli odejdzie elita roku ’68, musimy sobie odpowiedzieć już tylko na jedno pytanie: kto przyjdzie? Na to wypada dać skromną odpowiedź: przyjdziemy my. Poważnie, spokojnie, powściągliwie musimy powiedzieć, że w miejsce ludzi roku ’68 przyjdą ludzie lat 90.

W polityce europejskiej nadchodzi teraz pokolenie antykomunistyczne, zobowiązane wobec chrześcijaństwa, pokolenie o uczuciach narodowych. Jeszcze 30 lat temu myśleliśmy, że naszą przyszłością jest Europa. Dziś zaś uważamy, że to my jesteśmy przyszłością Europy. Naprzód!

Viktor Orbán

28 lipca 2018 r. Wolny Uniwersytet w Tusnádfürdő (Băile Tuşnad)
źródło i śródtytuły: magyaridok.hu
http://www.miniszterelnok.hu/orban-viktor-beszede-a-xxix-balvanyosi-nyari-szabadegyetem-es-diaktaborban/
tł. SzA, AD, ER, pc
Pełna treść wykładu została opublikowana na portalu www.wPolityce.pl

AUTOPROMOCJA

2018.pl
100. rocznica odzyskania niepodległości

PARTNERZY:

LOTOS
PZU
niepodległa
POLSKA STULECIE ODZYSKANIA NIEPODLEGŁOŚCI

PROJEKT REALIZOWANY W RAMACH OBCHODÓW STULECIA ODZYSKANIA NIEPODLEGŁOŚCI

eprasa.pl a957fc2aa1

Państwo z łatwopalnej tektury

MAJA NARBUTT

Na monumentalnym placu Syntagma w centrum Aten przed parlamentem tydzień po pożarach zgromadziły się tłumy ludzi. Skrzyknęli się przez media społecznościowe. Przyszli upamiętnić tych, którzy zginęli, przynieśli kwiaty i świece, niektórzy z transparentami: „Prosimy o przebaczenie".

A to nie oni powinni prosić ofiary o wybaczenie i zdają sobie z tego sprawę. Im więcej czasu mija od tragedii, tym większy jest gniew na tych, którzy zawiedli. Początkowy szok i zadekretowana trzydniowa żałoba tłumiły gwałtowne uczucia, ale teraz coraz mocniej dochodzą one do głosu. Każda relacja związana z pożarem utwierdza w przekonaniu, że na obszarach dotkniętych pożarem ludzie pozostawieni byli sami sobie i musieli desperacko walczyć o życie.

– Mój znajomy wybiegł z domu, ściskając za rękę sześcioletnią córkę. Zatrzymała się przy nich kobieta w samochodzie, machnęła ręką, że jak chcą, mogą wsiadać. Z każdą chwilą było gorzej, jechali w kłębach dymu. Była tylko jedna droga wyjazdowa prowadząca do Aten – aleja Maratonu. Jeśli ktoś się zatrzymał, blokował tych, którzy jechali za nim. W końcu zobaczyli, że przed nimi są płomienie. Powiedzieli sobie, że albo przejadą, albo zginą. Ogień lizał maskę samochodu, ale jechali dalej i udało im się przebić – mówi mi 42-letnia Elena.

Historie, które opowiadają ocaleni z najbardziej dotkniętego pożarem nadmorskiego kurortu Mati, mają jeden element wspólny: tylko przypadek zdecydował, że udało im się przeżyć. Chaotyczna plątanina wąskich uliczek prowadzących wśród domów i sosnowych zagajników stała się śmiertelną pułapką.

– W ciągu minuty trzeba było podjąć decyzję, czy trzeba uciekać. Ale i tak wszystko zależało od szczęścia, czy skręciło się w lewo, czy w prawo. Ludzie, z którymi rozmawiałem, podkreślali, że po prostu mieli szczęście i dlatego żyją, choć ich sąsiedzi zginęli – mówi John Papadopoulos, reporter gazety „Ekathimerini", który relacjonował pożary w Attyce.

Położona 30 km od Aten miejscowość Mati jest popularnym letniskiem. W sezonie mieszka tam dziesięć razy więcej ludzi niż zazwyczaj. Mati ma swoją specyfikę – szczególnie chętnie odpoczywali tu dziadkowie z wnukami, aby zapracowani rodzice mogli łatwo dojeżdżać z Aten w czasie weekendu. Jednym z symboli tragedii w Mati stała się historia dziewięcioletnich bliźniaczek Sofii i Vasilliki. Poszukiwał ich zrozpaczony ojciec, najpierw za pośrednictwem mediów społecznościowych, a potem gazet, które przekazały apel i opublikowały zdjęcia dziewczynek. Wydawało mu się, że mignęły na ekranie telewizora, uchwycone przez kamerę, gdy wysiadają ze statku w porcie Rafina. Szybko okazało się jednak, że była to pomyłka, wkrótce odnaleziono zwęglone ciała córek. W ostatnich chwilach życia dziewczynki tuliły się do siebie, otoczone ramionami przez dziadków.

To największa tragedia grecka ostatnich dekad. W pożarach, które spustoszyły Attykę, zginęło ponad 90 osób i nie jest to bilans ostateczny. Ofiar mogło być znacznie mniej, gdyby nie fatalne zaniedbania i brak akcji ewakuacyjnej. Tragedia obnażyła smutną prawdę: państwo greckie okazało się konstruktem z łatwopalnej tektury

Większość ofiar identyfikuje się na podstawie DNA, którego próbki dostarczają krewni. Bliskim nawet nie pokazuje się zwłok, uznając, że to tak drastyczny widok, że z trudem znoszą go nawet sądowi patolodzy.

– W Grecji mówi się, że ci ludzie zginęli jak męczennicy, straszną śmiercią. Wszyscy są wstrząśnięci, wiele osób płakało, oglądając telewizyjne relacje. Może to źle zabrzmi, ale kiedy w 2007 r. pożar spustoszył lasy Peloponezu i było kilkadziesiąt ofiar, myśleliśmy w głębi ducha: to smutne, ale takie rzeczy się zdarzają. Zginęli wtedy głównie starzy

eprasa.pl a957fc2aa1

Fot. EastNews/AFP PHOTO/ANGELOS TZORTZINIS

ludzie, ogień odciął im drogę ucieczki z małych wiosek położonych w górach. Ale teraz umierały dzieci, nawet niemowlęta, nie gdzieś daleko od cywilizacji, ale w kurorcie, gdzie powinno być bezpiecznie – mówi mi Maria, właścicielka pensjonatu na wyspie Evia.

Idylliczny charakter Mati i okolicznych miejscowości okazał się złudzeniem. Dachy letniskowych domów, do których użyto smołowanej papy, płonęły jak pochodnie. Na drodze uciekających w stronę morza ludzi stawały często zbudowane z kolczastego drutu ogrodzenia luksusowych willi, jakimi oddzielają swój kawałek wybrzeża ateńscy bogacze.

Zdezorientowani turyści i mieszkańcy Mati mogli polegać tylko na własnym instynkcie. Nie było żadnej zorganizowanej akcji ewakuacyjnej. Ci, którzy dotarli na plażę, gdzie płonęły nawet drewniane parasole, mieli wrażenie, że pozostawiono ich na pastwę losu. Na próżno wypatrywali jednostek straży przybrzeżnej. Niektórzy – tak jak Polka, która utonęła razem z synkiem – siadali do łódek, którymi kierowali turyści. Inni po czterech godzinach doczekali się ratunku ze strony miejscowych rybaków, którzy przypłynęli swoimi stateczkami.

OSKARŻANIE OFIAR

„Prawdziwą tragedią narodową jest nie tylko to, co się stało, lecz także sposób, w jaki my, Grecy, żyjemy" – napisała w komentarzu redakcyjnym jedna z codziennych gazet.

Pożar w Attyce ujawnił słabości i patologie państwa, a także społeczeństwa greckiego. Było bardzo prawdopodobne, że do pożaru dojdzie, ciepła i sucha zima sprawiła, że drzewa i krzewy były wyschnięte bardziej niż zwykle, ale nikt nie zdecydował, że należy dokonać przecinek i usunąć suche gałęzie. Fala letnich upałów i huraganowe wiatry, wiejące z prędkością 120 km na godzinę, czyniły sytuację jeszcze bardziej niebezpieczną. Jednak w Attyce nie wprowadzono stanu najwyższego zagrożenia pożarowego. A poza tym, co wydaje się zupełnie szokujące, nie istniał żaden plan ewakuacyjny, a lokalne władze nie zrobiły nic, by ratować mieszkańców.

– Gdy palił się las na górze Pentelikon, było pewne, że pożar dojdzie i do Mati. To nie była kwestia, czy tak się stanie, ale kiedy to nastąpi. Zegar tykał i czasu było mało. Gdyby przez megafony informowano mieszkańców, że mają uciekać, i wskazano im, gdzie jest bezpiecznie, nie byłoby tak wielu

eprasa.pl a957fc2aa1

ofiar – mówi jeden z demonstrantów, którzy przyszli manifestować przez parlamentem.

W strefie największych pożarów w Attyce nie było nawet jednostek straży pożarnej. Skoncentrowano je w zachodniej części Attyki, koło miasteczka Kineta, gdzie wcześniej wybuchały pojedyncze pożary, i nie zdołano już ich przerzucić na północ.

Ale władze lokalne odrzucają krytykę. Oskarżycielsko wskazują palcem na ofiary, mówiąc wręcz otwartym tekstem, tak jak to zrobił burmistrz Mati, że właściwie same sobie zgotowały tragiczny los – bo stawiały domy bez zezwoleń budowlanych, w miejscach, w których nie powinno się budować. A to w rezultacie sprawiło, że odcięte zostały drogi ucieczki.

W pewnym sensie to ponura prawda, jednak prawda połowiczna. Wznosząc samowolne budowle, mieszkańcy Mati działali w ramach istniejącego od dawna systemu, który ma jedną obowiązującą regułę. Tą regułą jest brak wszelkich reguł – w całej Grecji domy stawiano w miejscach, które ich właścicielom podyktował kaprys. Lekceważono plany urbanistyczne, a właściwie tych planów z reguły nie było.

– W zamian za pewną sumę pieniędzy, wpłacaną do skarbu państwa, można było zalegalizować samowolę budowlaną. Tak działo się od kilkudziesięciu lat, każda kolejna ekipa rządząca wprowadzała ustawy, które na to pozwalały. Niezależnie, jaka opcja polityczna była u władzy, postępowano tak samo – tłumaczy dziennikarz John Papadopoulos.

Nikogo to nie dziwiło, samowolami budowlanymi są w Grecji nie tylko domy mieszkalne, lecz nawet fabryki czy siedziby lokalnych władz. Co najwyżej oburzano się, gdy budynek wznoszono w miejscu wykopalisk archeologicznych czy na plaży. Zdarzały się nawet tak kuriozalne wypadki jak zbudowanie domu w wyschniętym korycie rzeki – mieszkańcy kilku takich domów zginęli w czasie ostatniej wiosennej powodzi.

Temat samowoli budowlanych powracał od lat. Na łamach gazet toczyła się dyskusja – co można zrobić, by ucywilizować tę sytuację? W jednej kwestii wszyscy byli zgodni – absolutnie nie można niszczyć już istniejących budynków, zburzenie ich wydawało się wręcz niewyobrażalne.

Dlaczego żadna z partii politycznych nie rozwiązała problemu samowoli budowlanych – ani rządząca obecnie lewicowa Syriza, ani krytykująca ją za zaniedbania konserwatywna Nowa Demokracja, która wcześniej sprawowała przecież rządy? Odpowiedź zawiera się w jednym słowie, pochodzącym z języka greckiego i doskonale oddającym miejscowe realia: klientelizm. Klientelizm, czyli układ nieformalnych zależności, dzięki którym wpływowi decydenci zdobywają poparcie polityczne. Gdyby jakaś partia polityczna rozprawiła się z samowolami budowlanymi, przełożyłoby się to na utratę elektoratu i słaby wynik wyborczy. Lepiej było przymykać oczy, inkasując w dodatku pieniądze do budżetu.

Teraz problem samowoli budowlanych stał się dla władzy wygodnym pretekstem, by zrzucić z siebie odpowiedzialność za tragedię.

TEORIE SPISKOWE

Premier Alexis Tsipras pojawił się na miejscu tragedii w Mati dopiero po tygodniu. W białej koszuli bez krawata, stroju, w którym jeździ także na oficjalne wizyty i na unijne szczyty w Brukseli, przechadzał się po zgliszczach. Z komunikatu wynikało, że rozmawiał z obywatelami, wojskowymi i wolontariuszami, którzy przeszukiwali ruiny i nieśli pomoc humanitarną. Wizyta trwała godzinę.

Jak należało się spodziewać, opozycja uznała ją za medialną ustawkę. Przypominała też, że w innych państwach, gdy dochodziło do tragedii, które pochłaniały wiele ludzkich ofiar, przywódcy państwowi błyskawicznie zjawiali się na miejscu.

Greckie kręgi rządowe stwierdziły z kolei, że wizyta to dowód, iż premier dzielnie stawił czoło sytuacji. Bo przecież mógł zniknąć na pewien czas, by nie kojarzono go z tragedią.

Przed premierem do ocalonych z pożaru dotarł minister obrony Panos Kamenos. Usłyszał od płaczących ludzi, że państwo zostawiło Greków na pastwę losu, pozwoliło im ginąć bez pomocy. Był niewzruszony: mówił, że zawiniły złe warunki atmosferyczne i pożaru nie dało się opanować. Po prostu stało się to, co musiało się stać. Z jego słów wynikało, że było to fatum, przeznaczenie. Po spotkaniu powiedział zaś reporterowi BBC, że wina za tragiczny rozwój wypadków leży po stronie mieszkańców, którzy zabudowali wybrzeże, uniemożliwiając ewakuację.

– Wszyscy starają się umyć ręce, mówią, że działali tak, jak powinni. Władze lokalne twierdzą, że dostawały złe informacje od strażaków, strażacy uważają, że to nieprawda, i odpierają zarzuty, że nie dotarli szybko do pożarów. Zrzucają winę na obronę cywilną, która nie poczuwa się do odpowiedzialności. To oczywiste, że były ogromne błędy na wszystkich szczeblach, także centralnym. Nie wyciągnęliśmy żadnych wniosków z wielkiego pożaru, który zdarzył się w 2007 r., nie nauczyliśmy się niczego – mówi Yann Palalologos, dziennikarz gazety „Ekathimerini".

Kiedy krótko po pożarze premier Tsipras oświadczył, że bierze polityczną odpowiedzialność za to, co się stało, wszyscy wstrzymali oddech. Czekali na ciąg dalszy. Ale dalszego ciągu nie było. Nie poszła w ślad za tym żadna dymisja, żadnemu z ministrów włos nie spadł z głowy, a słowa o politycznej odpowiedzialności zawisły w próżni.

Niemal natychmiast po pożarze rząd grecki wystąpił też ze spiskową teorią. Podobno miały istnieć poszlaki, a nawet zeznania świadków, z których wynikało, że ogień wzniecono celowo, w zbrodniczej intencji, być może nawet w celu destabilizacji greckiego państwa.

Ale tej narracji nie dało się długo utrzymać. Wkrótce pojawiła się informacja, że zatrzymano 65-letniego mężczyznę, który wywołał pożar, paląc gałęzie. Jak twierdzą jednak greccy dziennikarze śledczy, z którymi rozmawiałam, aresztowany mężczyzna wzniecił całkiem inny, niewielki pożar, a nie ten, który pochłonął tyle ofiar.

Przyczyna największej greckiej tragedii ostatnich dekad jest więc wciąż nieznana. Wszystko wskazuje jednak na to, że nie jest ona związana z fatum, na które nikt nie miał wpływu, ale z ciągiem fatalnych zaniedbań i błędów.

eprasa.pl a957fc2aa1

Kapitulacja Junckera

Fot. AP Photo/Evan Vucci

Chyba mało kto spodziewał się tak rychłej kapitulacji Unii Europejskiej w konflikcie handlowym z Donaldem Trumpem. Wystarczyło niecałe osiem tygodni, odkąd USA wprowadziły 25-procentowe cła na import żelaza i 10-procentowe na aluminium, aby w Białym Domu pojawił się Jean-Claude Juncker powiewający białą flagą

JAN ROKITA

Oczywiście Trump nie tracił czasu i przez te osiem tygodni wzmacniał swoją presję, z rozmysłem określając Unię mianem „wroga" w sferze handlu, a zwłaszcza ostro atakując politykę prowadzoną przez Niemcy. Ale chyba prawdziwy popłoch w Berlinie wywołało polecenie prezydenta wydane amerykańskiemu Departamentowi Handlu, aby ten zbadał, czy import samochodów z UE nie zagraża bezpieczeństwu narodowemu USA. To właśnie stwierdzenie negatywnego wpływu na bezpieczeństwo kraju pozwala amerykańskiemu prezydentowi samodzielnie wprowadzić cła

eprasa.pl a957fc2aa1

importowe na poziomie 25 proc. Z pretekstu tego Trump już raz skorzystał, przy okazji ceł na żelazo i aluminium. Spektakl z wydaniem polecenia Departamentowi Handlu, wzmocniony groźbami i impertynencjami Trumpa na Twitterze, miał wzbudzić w Berlinie przekonanie, że Europa ma do czynienia z graczem w pewnym sensie nieobliczalnym, gdyż gotowym na serio wprowadzać w życie swoje handlowe groźby.

CICHO SZA O USTĘPSTWACH

To zdumiewające, z jaką łatwością Trump uzyskuje zamierzone efekty za pomocą tak prostej metody. Styl jego dyplomacji potwierdza tylko znaną od niepamiętnych czasów prawdę, iż w polityce najlepszym sposobem na zyskanie przewagi jest przekonanie przeciwnika o własnej determinacji czy wręcz nieobliczalności. W przypadku Trumpa niebłahą rolę we wzmocnieniu siły jego presji miały media każdego dnia przekonujące świat, iż ma do czynienia z niebezpiecznym szaleńcem, na którego jedyną metodą jest rychłe usunięcie go z urzędu. Tymczasem zwłaszcza w Berlinie Trump chciał zyskać reputację gwałtownika i desperata; stąd te wszystkie buńczuczne tweety, jakie towarzyszyły jego niedawnej podróży po Europie.

Kanclerz Merkel pragmatycznie uznała, iż w sytuacji swej osłabionej pozycji w kraju nie może podjąć ryzyka, iż Trump naprawdę uderzy w niemiecki przemysł samochodowy. „Żaden inny kraj nie poniósłby takich strat przez wprowadzenie ceł jak Niemcy" – twierdzi prof. Gabriel Felbermayr, dyrektor w sławnym monachijskim instytucie IFO. A jego instytut ostrożnie wylicza, że 25-procentowe cło kosztowałyby niemiecki przemysł samochodowy tylko w ciągu pierwszego roku 5 mld euro, niemiecka gospodarka zaś płaciłaby za to spadkiem PKB o 0,16 proc. rocznie. Trudno się dziwić, że dla niemieckiej kanclerz handlowe dogadanie się z Ameryką stało się celem numer jeden. Widać to już było wyraźnie wtedy, gdy Merkel siłą woli i z zaciśniętymi zębami niemal cały czas milczała, gdy Trump przez kilka dni jeździł sobie na niemieckiej polityce jak na łysej kobyle.

Waszyngtońską wizytę Junckera przygotowywano poufnie. Nie było żadnych posiedzeń międzyrządowych unijnych gremiów, które zwykły demokratycznie podejmować decyzje w o wiele bardziej błahych sprawach. Od całej operacji odsunięto w związku z tym Donalda Tuska, który jako szef Rady (czyli organu międzyrządowego) musiałby przed decyzją o zasadniczych ustępstwach wobec Ameryki przeprowadzić co najmniej jakieś konsultacje z przywódcami państw. Ledwie parę dni wcześniej Tusk (wraz z Junckerem) uroczyście zawierał umowę o wolnym handlu z premierem Japonii. Odsunięcie tym razem szefa Rady od analogicznych negocjacji z prezydentem USA może w jakimś stopniu tłumaczyć wzgląd czysto techniczny (tzn. konieczność biegłego negocjowania z Trumpem po angielsku), ale fakt ten również przeczy dość powszechnemu w Polsce poglądowi, że Tusk jest w Brukseli zaufanym człowiekiem pani kanclerz.

O skali ustępstw, do jakich Juncker został upoważniony wobec Trumpa, nikt publicznie się nawet nie zająknął. Jeszcze w dniu spotkania, w środę 25 lipca rano, w analizie opublikowanej przez Deutsche Welle przekonywano, iż: „Juncker wiezie z sobą argumenty, ale żadnych ofert". Towarzysząca Junckerowi komisarz ds. handlu Cecilia Malmström bardzo minimalistycznie oceniała cele wyprawy do Białego Domu. „Pojechać, zobaczyć, porozmawiać – to metoda, którą przecież aprobują wszyscy" – mówiła dziennikarzom zainteresowanym tym, co też Europa chce zaoferować Trumpowi. Trudno oprzeć się przekonaniu, że o realnym mandacie Junckera mało kto w Europie w ogóle wiedział, a ci, co wiedzieli, woleli, aby przynajmniej do czasu panowała w tej kwestii zmowa milczenia.

Ale informacje o ustępstwach Unii jeszcze przed wizytą mieli Amerykanie. W tym samym czasie, gdy w Brukseli zapewniano, iż Juncker nie wiezie żadnych ofert, całkiem co innego mówił publicznie (i to z nieskrywaną radością) doradca Trumpa, a zarazem szef jego Narodowej Rady Gospodarczej Larry Kudlow. „Juncker wiezie z sobą bardzo ważną ofertę" – mówił w tamtą środę rano na antenie TV CNBC. Co więcej, Kudlow nie krył tego, że za tą ofertą stoi... kanclerz Merkel, co wzbudziło w ciągu tamtego dnia irytację i zaprzeczenia za strony niemieckich mediów. „To, co mówi Kudlow, ma niewiele wspólnego z realiami gospodarczymi UE" – oburzał się komentator Deutsche Welle. Kiedy jednak wieczorem Trump i Juncker zaczęli obwieszczać swoje ustalenia, owe realia szybko wyszły na jaw.

Szef Komisji Europejskiej był raczej powściągliwy, podkreślając tylko, że zgodnie z celem swojej misji zawarł porozumienie. Ale za to prezydent w swoim stylu oznajmił, że wszystkie konflikty z Europą właśnie zostały zakończone dzięki Junckerowi, który jest „bardzo inteligentny, bardzo twardy i bardzo mądry". A owa środa pozostanie w historii jako „wielki dzień dla wolnego i uczciwego handlu, naprawdę wielki dzień".

Po tych wylewnych pochwałach wobec rozmówcy Trump przedłożył listę ustępstw, jakie uzyskał. Unia „w trybie natychmiastowym" zniesie ograniczenia na import amerykańskiej soi (USA są największym producentem na świecie soi transgenicznej), zwiększy import płynnego gazu z USA oraz obniży cła na wiele artykułów przemysłowych. To mają być warunki wstępne rozpoczęcia prac europejsko-amerykańskiej grupy roboczej, której celem ma być wypracowanie układu opartego na zasadzie „zero taryf, zero subsydiów", z którego wyłączony ma być jedynie przemysł samochodowy.

W tym samym czasie Ameryka nawet nie zawiesi ceł nałożonych 1 czerwca na europejskie żelazo i aluminium, choć taka decyzja byłaby możliwa za jednym pociągnięciem pióra Trumpa. Owe cła mają zostać dopiero zniesione w wyniku późniejszych negocjacji. Co ciekawe, już po powrocie Junckera do Europy Wilbur Ross, amerykański sekretarz handlu, potwierdził, iż jego resort nadal prowadzi studia nad związkiem ceł na samochody z amerykańskim bezpieczeństwem. Jeśli zważyć, że Trump expressis verbis wykluczył samochody z reguły „zero taryf, zero subsydiów", to widać wyraźnie, że miecz Damoklesa nad niemieckimi koncernami wcale nie przestał wisieć, a tylko na jakiś czas nie grozi już jego nieoczekiwane i nagłe

eprasa.pl a957fc2aa1

uderzenie. Braterski pocałunek prezydenta USA z szefem Komisji Europejskiej, którym przypieczętowano „deal", pokazały tamtego dnia chyba wszystkie telewizje na świecie.

NIEMIECKIE INTERESY

„Uważam, że Trump odniósł całkowite zwycięstwo, gdyż Juncker, wbrew własnym twierdzeniom, przybył do Waszyngtonu w celu ochrony w pierwszej kolejności interesów Niemiec" – oceniał Pierre-Emmanuel Thomann, autor monografii na temat współpracy i rywalizacji między Berlinem i Paryżem w UE. Thomann skarżył się na Junckera i Niemców w rosyjskiej TV RT, a także na rosyjskim portalu Sputnik. Przy tym jednak nie bez racji zauważył, że „w warunkach szantażu ze strony Trumpa Komisja Europejska nie jest zdolna do zdecydowanej obrony interesów wszystkich członków Unii Europejskiej".

Skarga francuskiego eksperta (i zwolennika współpracy francusko-rosyjskiej) bierze się oczywiście z obawy, iż Juncker w niewystarczającym stopniu reprezentował w Białym Domu interesy francuskie. Najwyraźniej konsultacje mandatu Junckera pomiędzy Berlinem i Paryżem nie były wystarczające, skoro prezydent Macron zapowiedział potrzebę wyjaśnień ze strony Komisji odnośnie do tego, co naprawdę uzgodniono w Waszyngtonie. A francuski minister finansów Bruno Le Maire określił kompromis waszyngtoński mianem „umowy zawartej pod presją" i zgłosił wątpliwość, czy zobowiązanie Junckera do importu transgenicznej soi nie stoi w sprzeczności z unijnymi standardami. Widać na pierwszy rzut oka, że Merkel wykonała przy pomocy Junckera dopiero połowę pracy nad handlowym pojednaniem Unii z Ameryką. Teraz czeka ją jeszcze przekonanie Macrona, aby Paryż (a pewnie także kilka innych stolic europejskich) nie zaczął skrycie sabotować zawartego „dealu".

Radością tryskał natomiast Peter Altmaier, zausznik Merkel, a obecnie także niemiecki minister gospodarki. „Wczorajszy wieczór daje nam po raz pierwszy perspektywę na dobry końcowy rezultat" – mówił. Owym rezultatem, z niemieckiej perspektywy patrząc, miałby być faktyczny powrót do ostro promowanej niegdyś przez Berlin europejsko-amerykańskiej umowy o wolnym handlu, której projekt Trump, wraz z objęciem prezydentury, wyrzucił do kosza. Tu i ówdzie pojawiają się teraz nadzieje na nieodległy „mały TTIP", który ustanowiłby jednolity rynek transatlantycki. Można zresztą przypuszczać, że to właśnie Altmaier, znany z tego, iż Merkel zwykła wysyłać go do najtrudniejszych i poufnych misji (jak w 2015 r. do wymuszenia relokacji imigrantów), wraz z wpływowym sekretarzem generalnym Komisji Europejskiej Martinem Selmayrem byli politycznymi architektami waszyngtońskiej misji Junckera. Obaj skądinąd dyplomaci i negocjatorzy wagi ciężkiej.

> Waszyngtońską wizytę Junckera przygotowywano poufnie. Nie było żadnych posiedzeń międzyrządowych unijnych gremiów. Od całej operacji odsunięto w związku z tym Tuska

Także niemieckie media przyjęły porozumienie z satysfakcją, choć zarazem z nieskrywaną świadomością, że (jak napisał „Handelsblatt") „u jego źródeł tkwi niemiecka mania eksportowa", a „dla krajów partnerskich będzie ono trudne do zaakceptowania". To oczywiste, że przebieg misji Junckera i pocałunek pokoju w Białym Domu musiał zmrozić niejednego spośród europejskich polityków, ekspertów i publicystów, nauczonych przecież, że Trump to wróg, a na Ameryce (jak swego czasu mówiła sama kanclerz) nie można już polegać. Ich zdumienie musiało być tym większe, gdy z ust wspomnianego Larry'ego Kudlowa usłyszeli, że teraz: „USA i UE zjednoczą się w walce z Chinami, które zepsuły światowy handel, a Juncker powiedział nam jasno, że zamierza pomóc prezydentowi Trumpowi". Tymczasem przecież każdego dnia czytają w gazetach, iż Unia właśnie wespół z Pekinem ma bronić pryncypiów wolnego handlu przed protekcjonizmem Trumpa.

„Serce Niemiec podąża za niemieckim handlem" – trafnie pisała swego czasu Ulrike Guérot, bodaj najbardziej znana w świecie niemiecka politolożka. Prawdziwość owego bon motu potwierdziła się i tym razem. Dla niemieckiego handlu Berlin jest gotów na wiele: zarówno na pocałunki z wydzierającym się na Niemców Trumpem, jak i na budowę gazociągu z Putinem.

Jednak w przypadku Merkel rzecz ma także głębsze dno. Kanclerz należy jeszcze do tej (jak się wydaje – schyłkowej) generacji niemieckich chadeków, którzy polityczne przymierze Europy z Ameryką traktują jako imponderabilium. Jasne, że Merkel nie znosi Trumpa, z którym trudno jej się rozmawia i którego poglądów ani polityki często nie jest w stanie pojąć. Populistyczny, krzykliwy i pełen chełpliwości styl prezydenta USA, kochającego się w apartamentach ze złotymi klamkami, jest całkowitym zaprzeczeniem politycznej osobowości kanclerz.

Niemniej jednak jak długo osłabiona Merkel pozostaje u steru w Berlinie, tak długo niemiecka polityka nie pozwoli się rozjechać Europie i Ameryce. Tak, to prawda, że tym razem niemiecka kanclerz naruszyła wszelkie reguły unijnego partnerstwa, posyłając do Białego Domu Junckera z misją kapitulacji przed Trumpem, tak jakby szef Komisji był jednym z jej berlińskich asystentów gotowych działać na skinienie. Ale z polskiej perspektywy istotne jest tylko to, że zarówno poglądy Merkel, jak i interesy niemieckiego handlu są (przynajmniej w tym przypadku) zbieżne z polskimi interesami. Więc jeśli tylko misja Junckera doprowadzi faktycznie do „wielkiego dealu" handlowego Europy z Trumpem, to kapitulacja w Białym Domu może być największą zasługą odchodzącego w przyszłym roku szefa Komisji Europejskiej.

eprasa.pl a957fc2aa1

Zdjęcia Andrzej Wiktor

27/0718/F

Jak budować kulturę sukcesji

Debata „Gazety Bankowej" w redakcji tygodnika „Sieci" – dlaczego nasze firmy rodzinne powinny pozostać polskie

Sukcesja staje się realnym wyzwaniem w wielu rodzinnych firmach, a także spółkach akcyjnych zakładanych przez polskich przedsiębiorców w latach 90. ubiegłego wieku. Co zrobić, by firmy te pozostały przedsiębiorstwami polskimi i rodzinnymi, by po śmierci założycieli zabezpieczyć ich dalszy rozwój, tak ważny dla naszej gospodarki?

eprasa.pl a957fc2aa1

W naszej redakcji spotkali się Jadwiga Emilewicz – minister przedsiębiorczości i technologii, Michał Krupiński – prezes Banku Pekao S.A., Paweł Borys – prezes PFR, Radosław Kwiecień – wiceprezes, członek zarządu BGK, Sławomir Łoboda – wiceprezes LPP, Rafał Dróbka – partner w PwC. Debatę prowadził Maciej Wośko, redaktor naczelny „Gazety Bankowej".

Jadwiga Emilewicz

Prezydent Andrzej Duda podpisał ustawę o zarządzie sukcesyjnym przedsiębiorstwem osoby fizycznej, której celem jest naturalna kontynuacja działalności małych firm po śmierci właścicieli. Nowe przepisy wychodzą naprzeciw potrzebom tzw. firm jednoosobowych, które stanowią ogromną większość polskich przedsiębiorstw. Dzięki tym rozwiązaniom w przypadku śmierci przedsiębiorcy jego firma będzie mogła zachować operacyjną ciągłość działania; w mocy zostaną utrzymane umowy o pracę, kontrakty, zezwolenia i koncesje związane z przedsiębiorstwem. Ustawa zawiera również rozwiązania zapewniające ciągłość rozliczeń podatkowych firmy oraz przewiduje zwolnienie z podatku od spadków dla osób, które odziedziczą przedsiębiorstwo i będą kontynuowały jego prowadzenie.

Michał Krupiński

Do tej pory po śmierci przedsiębiorcy wykonującego działalność na podstawie wpisu do Centralnej Ewidencji i Informacji o Działalności Gospodarczej (CEIDG) jego następcy nie mogli płynnie kontynuować prowadzenia firmy. Większość przepisów nowej ustawy zacznie obowiązywać po upływie trzech miesięcy od ogłoszenia, a więc już od IV kwartału 2018 r. To jednak dopiero początek pewnej drogi legislacyjnej i zmian w przepisach dotyczących sukcesji – także w większych spółkach, niejednokrotnie działających na giełdzie, a będących firmami rodzinnymi z polskim kapitałem.

Maciej Wośko: Zacznijmy od wyjaśnienia kilku podstawowych pojęć. Co właściwie oznacza sformułowanie „polska firma" i dlaczego powinno zależeć nam na tym, by nasze przedsiębiorstwa pozostały polskie. Chodzi o podatki, PKB, tzw. pilnowanie własnego, państwowego bytu?

Jadwiga Emilewicz: To złożone pytanie – czy chodzi o „made in Poland", czy też „made by Poland"? Poza oczywistymi korzyściami ekonomicznymi, w tym podatkowymi, nie można zapomnieć o wartości społecznej, tworzeniu poczucia dumy narodowej i budowaniu tym samym marki polskiej gospodarki. To ma znaczenie choćby w dyplomacji. Silne polskie firmy, zwłaszcza te małe i średnie, są też mniej podatne na ruchy tektoniczne kryzysów gospodarczych. Jak pokazały ostatnie zawirowania na rynkach światowych, to właśnie wtedy okazało się, że kapitał ma narodowość. W takich sytuacjach zawsze bowiem zwycięża interes spółki matki, a nie jej oddziałów w innych krajach.

To właśnie mali i średni przedsiębiorcy są tkanką naszej gospodarki, a polskie firmy rodzinne stanowią większość przedsiębiorstw, zatrudniają najwięcej osób i to one decydują o rynku pracy. Zatem kiedy administracja publiczna mówi o porządkowaniu obszaru sukcesji, to dlatego, że kondycja tych firm ma realne przełożenie na całą gospodarkę. Co równie ważne, firma to nie tylko jej właściciel, lecz i pracownicy, podwykonawcy etc. Jest to więc znacznie szersze środowisko, na które kwestia sukcesji ma realny wpływ.

Maciej Wośko: Co oznacza „polski bank", przekonaliśmy się choćby w kontekście powrotu do macierzy Banku Pekao S.A. Co daje klientom banku „polskość" Pekao?

Michał Krupiński: To nie dotyczy tylko Banku Pekao S.A., bowiem tam gdzie jest centrum decyzyjne danej jednostki, powstaje też wartość dodana. Krajowe firmy lepiej i szybciej reagują na potrzeby polskiej gospodarki. Pamiętajmy, że w ciągu ostatnich 20 lat odnieśliśmy wiele sukcesów, jednocześnie przechodząc szerokie zmiany własnościowe. W ograniczony sposób zachęcano przedsiębiorców, by wzięli udział w prywatyzacji. Należy pamiętać, że fala rozwoju przedsiębiorczości lat 90. była spowodowana masowymi zwolnieniami pracowników, którzy nie mieli wyboru i zakładali własne firmy. Są to przedsiębiorcy w pierwszym pokoleniu. PRL spowodował, że nie ma w Polsce wielu firm o długich tradycjach rodzinnych.

Maciej Wośko: Dziś te firmy szukają odpowiedzi na pytania: co dalej? Jak zachować ich charakter?

Michał Krupiński: Celem powinno być zabieganie o obecność i pozostanie centrów decyzyjnych firm w Polsce. W przedsiębiorstwach rodzinnych przekazanie międzypokoleniowe wymaga starannego zbudowania planu sukcesji, następnie przekazania wartości, zarządzania, aż w końcu – przekazania własności. Proszę pamiętać, że nasz problem nie różni się od sytuacji w innych krajach. Choć istnieją takie firmy jak Mars, które od czterech pokoleń znajdują się w rękach jednej rodziny, to przeprowadzenie sukcesji jest podobnym wyzwaniem na całym świecie. 70 proc. firm rodzinnych nie ma planu sukcesji.

Dużo zależy od tego, jak państwo podchodzi do sukcesji przedsiębiorstw. U nas właściciele 50-60 proc. firm rodzinnych, generujących 20 proc. PKB, mają powyżej 60. roku

eprasa.pl a957fc2aa1

życia. To oznacza, że problem sukcesji będzie narastał w ciągu pięciu lat, także w związku z deklaracjami właścicieli, chcącymi zwyczajnie przejść na emeryturę i przekazać komuś z rodziny prowadzenie firmy.

Przez lata Bank Pekao S.A. wspiera w rozwoju przedsiębiorców. Z wieloma współpracujemy od pokoleń. Znamy i przedsiębiorców, i przedsiębiorstwa, i dlatego jesteśmy w stanie przygotować ofertę, która jeszcze bardziej wspiera rodzinne przedsiębiorstwa w rozwoju.

Paweł Borys

Wracając do sukcesji, to także rola dla banków. Bank Pekao S.A. podejmuje takie wyzwania, w których widzi swoją rolę jako pomoc w zaplanowaniu sukcesji i doradztwie dla klientów. Na wypadek gdyby właściciele nie chcieli przekazać przedsiębiorstwa, rolą Pekao S.A. jest pomoc przy jego sprzedaży. Innym rozwiązaniem jest konsolidacja firm w ramach tego samego sektora. W Polsce wciąż obserwujemy niższy poziom kapitału społecznego w tej sprawie, ale w coraz większym stopniu przedsiębiorcy chcą ze sobą współpracować. Jako bank korporacyjny chcemy być niezależnym brokerem, który pomaga przy konsolidacji. Usługi polegające na wsparciu w procesie sukcesyjnym mają dziś duże uzasadnienie biznesowe.

Sławomir Łoboda

Maciej Wośko: LPP jest największą polską firmą odzieżową. Jak podkreśla założyciel i prezes spółki Marek Piechocki, 65 proc. produktu powstaje w Polsce, stąd metka „Made in Poland". To także firma rodzinna, choć jest spółką akcyjną notowaną na GPW. W rękach dwóch założycieli pozostaje jednak nadal kontrolny pakiet akcji. Już teraz myślą, jak będzie wyglądać przyszłość firmy. Gwarantem sprawnej sukcesji przy jednoczesnym zachowaniu obecnych wartości i kultury LPP ma być prywatna fundacja Semper Simul, w której zarządzie znajdzie się rodzina prezesa LPP.

Sławomir Łoboda: Silne polskie podmioty są ambasadorami Polski. Przekonaliśmy się o tym, gdy otwieraliśmy salon na Oxford Street w Londynie. Mieliśmy wiele publikacji w brytyjskich mediach chwalących polskie firmy i Polaków.

Czy warto być firmą rodzinną? Z perspektywy właścicielskiej to bardzo trudna decyzja. Chodzi o ryzyko nie tylko biznesowe, lecz właśnie ryzyko sukcesji, a więc ryzyko potencjalnego konfliktu między założycielem a sukcesorem, także między rodziną a firmą. Ale jeśli uda się stworzyć firmy wielopokoleniowe, to wreszcie w Polsce powstanie kapitał, którego w tej chwili brakuje. My w LPP będziemy dalej realizować nasz cel, aby stać się jedną z największych firm fashion w Europie. Kierowanie się przez LPP systemem wartości, którymi są pasja, uczciwość, fair play, i przekazanie sukcesorowi tej zasady, systemu wartości jako pewnego DNA firmy jest bardzo ważne. Taka jest intencja właściciela.

Maciej Wośko: Kamis, Wedel, Allegro, Hortex, Winiary, a także ITI czy w ostatnich tygodniach Solaris – to polskie marki, firmy założone w Polsce i prowadzone w pierwszym pokoleniu (pokoleniach) przez Polaków, choć dziś już do polskiego kapitału nie należą. Czego zabrakło?

Paweł Borys: Ważne są z pewnością dobre regulacje ułatwiające sprawną sukcesję. Ale pewnych rzeczy nie przeskoczymy, a zasadniczą barierą jest czas na akumulację kapitału. Ciągle mamy za mało kapitału w Polsce. Chodzi o pewną pulę oszczędności, aby móc kupować firmy i inwestować. To jest dziedzictwo PRL. Wciąż mamy jeden z najniższych w UE wskaźników poziomu aktywów finansowych na mieszkańca, a to z prywatnych oszczędności tworzy się lokalny kapitał. Potrzebujemy więcej czasu, aby zgromadzić go tyle, ile jest w bogatszych krajach. Jednym z ważnych programów w ramach tzw. planu Morawieckiego, które mają zbudować oszczędności, są Pracownicze Plany Kapitałowe. Wierzę, że gdyby polski rynek kapitałowy był wystarczająco głęboki, wiele firm, także te wymienione przez pana redaktora, znalazłoby inwestora w Polsce, a sektor przedsiębiorstw w ogóle posiadałby silną bazę finansowania i plan ekspansji.

To oczywiście nie znaczy, że zagraniczni inwestorzy są źli, ale chcemy więcej firm polskich i równych zasad konkurencji. Różnica między gospodarką peryferyjną a liderami polega właśnie na szerokiej bazie lokalnych przedsiębiorstw zdolnych do ekspansji międzynarodowej, mających nowe technologie oraz lokalny kapitał. Nie osiągniemy tego, nie tworząc lepszych warunków dla przedsiębiorców, rozwoju nauki i silnego systemu finansowego. Nie do końca jednak zgadzam się z opinią, że sukcesja firm rodzinnych powinna następować w ramach rodzin. Mamy bardzo rozdrobnioną strukturę gospodarki. Owszem, jest dużo silnych firm międzynarodowych, rozwiniętych technologicznie i kapitałowo, jest kilka rodzynków rodzimych – LPP jest przykładem takiego sukcesu. Za to nie ma prawie firm średnich. I wreszcie jest mnóstwo małych firm, które generują 60 proc. zatrudnienia, 50 proc. PKB, a pracują w łańcuchach kooperacji. Czyli 2/3 polskiego eksportu to eksport firm w ramach łańcuchów

eprasa.pl a957fc2aa1

międzynarodowych. Jest potrzeba konsolidacji. Dobrym sposobem sukcesji byłoby, moim zdaniem, gdyby firmy się łączyły i rosły. Większe firmy to większe możliwości, wyższe nakłady na badania i rozwój – szansa na dołączenie do liderów technologii.

Maciej Wośko: Łatwiej dużej firmie inwestować w badania i rozwój, w innowacyjność. W małych firmach jest z tym problem...

Jadwiga Emilewicz: Nie do końca tak jest. Zainteresowanie pracami B+R rośnie zarówno wśród dużych, jak i mniejszych firm, czego potwierdzeniem jest m.in. dynamiczny wzrost nakładów na B+R po stronie sektora przedsiębiorstw. Co prawda małym firmom trudniej taki wysiłek podjąć, np. z powodu ograniczeń finansowych. Dlatego większość publicznych instrumentów wsparcia B+R+I skierowano właśnie do małych i średnich firm, w tym do start-upów. Chcemy ułatwić tym firmom stawanie się coraz bardziej innowacyjnymi.

Paweł Borys: Nadal mamy dużo do zrobienia, jeśli idzie o przyjazne otoczenie biznesowe, podatkowe, administracyjne dla start-upów i – szerzej – sektora przedsiębiorstw, ale także do budowy kompletnego rynku finansowego. To jedna z misji PFR, a PPK jest główną reformą, która ma zapewnić dostępność kapitału i finansowanie na każdym poziomie na rynku lokalnym.

Jadwiga Emilewicz: To, czego nam brakuje, to szybszy rozwój małych firm, tak by z czasem stawały się firmami średnimi. Warto tu jednak uświadomić sobie różnicę między start-upem a małą firmą. Start-up to z założenia firma, która chce być globalna i – można powiedzieć – ma odwagę oraz apetyt na więcej. Inna sytuacja jest z małymi przedsiębiorcami. Ich trzeba zachęcać do wychodzenia poza strefę bezpieczeństwa. Dlatego wspieranie małych firm wymaga innego podejścia. Inne instrumenty są potrzebne MŚP, a inne start-upom.

Radosław Kwiecień: Jako państwowy bank rozwoju mamy istotną rolę do odegrania w realizacji inicjatyw społecznych i gospodarczych w Polsce. BGK tworzy mechanizmy, dzięki którym programy gospodarcze – w tym Strategia na rzecz Odpowiedzialnego Rozwoju – są wdrażane w życie. Wspieramy różne segmenty gospodarki. Sporo mówimy tu o małych i średnich przedsiębiorstwach, dla których BGK prowadzi programy gwarancyjne, poręczeniowe. Dzięki nim mała firma może uzyskać finansowanie z banków komercyjnych i spółdzielczych. Mogą być to kredyty finansujące działalność bieżącą, ale także, a raczej przede wszystkim, inwestycje i innowacje. Bo inwestycje i innowacje budują ich siłę oraz pozycję rynkową. W mojej ocenie nie wszystkie elementy budowania potencjału są właściwie rozwijane i muszą ewoluować.

Modny i jakże ważny temat ze względu na strukturę polskiej gospodarki to industrializacja 4.0. Konieczne jest zwiększenie nakładów inwestycyjnych na modernizację, robotyzację, cyfryzację, analizę danych, ponieważ przyszłość polskich firm produkcyjnych jest związana z możliwością uczestniczenia w globalnym łańcuchu dostaw. Konkurowanie jedynie na poziomie dostarczania taniej siły roboczej, której i tak zaczyna brakować, sprawi, że wypadną z gry.

Aby procesy, o których mówię, mogły się zakończyć sukcesem, konieczna jest zmiana kulturowa. Procesy inwestycyjne realizowane są w długim okresie, dlatego kwestia sukcesji jest bardzo ważna. Gdy rozmawiamy z naszymi klientami, zadajemy im pytanie o strategię funkcjonowania firmy w perspektywie wieloletniej. Ostatnio rozmawialiśmy z właścicielem i prezesem dużego przedsiębiorstwa. Powiedział: „Moje dzieci do firmy się nie garną". Wniosek: nie ma jej komu przekazać. Tu jest rola państwa i całego systemu, aby stworzyć możliwość dokonania sukcesji; aby firma inwestowała bez ryzyka, że za pięć lat nie będzie miał kto tego biznesu poprowadzić.

eprasa.pl a957fc2aa1

Z podobnymi problemami borykają się inne kraje europejskie. Upatruję tu szansę dla polskich firm, inwestorów, którzy myślą o ekspansji zagranicznej poprzez przejęcia tamtejszych spółek. BGK ma instrumenty finansowe, dzięki którym taka ekspansja może być realizowana. Za granicą jest wiele firm, także rodzinnych, których właściciele odeszli, dzieci przejęły przedsiębiorstwa i chcą je sprzedać. Można je przejąć i zbudować mocną pozycję polskiej firmy na nowym rynku. Robiliśmy takie transakcje z naszymi klientami.

Radosław Kwiecień

Sławomir Łoboda: Istotne jest, aby stworzyć mechanizmy sukcesji w polskich spółkach, a to, jak będzie przeprowadzana – czy założyciele przekażą firmę dzieciom, czy dojdzie do konsolidacji, czy też do swoistej „adopcji" menedżera – to kwestia dobrowolnych decyzji właścicielskich, inwestorskich, zarządczych. Ważne jest stworzenie mechanizmów legislacyjnych, by sprzedaż firm nie była jedynym wyjściem...

Michał Krupiński: Zastanawiamy się, jak sprawić, aby wzrost gospodarczy w kraju był większy. Mamy silne zasoby ludzkie, ale na poziomie technologii, innowacyjności i konkurencyjności jest jeszcze sporo do nadrobienia. Jednakowo ważną kwestią jest konkurencyjność podatkowa, w dziedzinie wydatków publicznych, polityki fiskalnej czy monetarnej. Wszystkie kraje, które rozwijały się przez przedsiębiorczość, miały bardzo dobrą politykę makroekonomiczną – fiskalną i monetarną. Polityka makro ma zatem bezpośrednie znaczenie dla przedsiębiorców i nie wolno jej bagatelizować.

Zgoda – do sukcesu firm potrzebny jest kapitał. Po raz pierwszy w historii Polski mamy kompletne spojrzenie, wiedzę na temat całego łańcucha dostarczania kapitału – od start-upów, przez MŚP, po rynki kapitałowe. Mam nadzieję, że ten system jest systemem trwałym.

Maciej Wośko: Rozmawiamy o przyszłości średnich firm mających ambicje, by stać się dużymi, a także w kontekście sukcesji w ramach polskiego rynku.

Michał Krupiński: Pierwszą kwestią jest pytanie, jak sprawić, aby dzieci nestorów, pracownicy i sami przedsiębiorcy – tj. profesja najbardziej mobilna na świecie – chcieli żyć i pracować w Polsce. Rodacy wracają z zagranicy m.in. dlatego, że w kraju jest bezpiecznie. Reemigranci aplikują do Pekao, bo tu „mogą się rozwijać" i „jesteśmy bardziej zaawansowani technologicznie niż np. Niemcy"... Pytanie, jak sprawić, aby dzieci założycieli chciały pozostać w Polsce? Miasto powinno przyciągać również najlepszych menedżerów, dla których warunki w Polsce nie będą odbiegać od tych za granicą.

Rafał Dróbka: Mechanizm postępowania sukcesyjnego jest potrzebny, bo zapewnia wartość dodaną gospodarce. Do tego trzeba systemu, który zachęca do sukcesji, ale muszą być następcy, to jest sfera „miękka", wymagająca pewnego klimatu społecznego i kultury.

Konieczna jest też sfera „twarda" – regulacyjna. Przygotowaliśmy założenia do zmian regulacyjnych, które mogłyby wzmocnić sukcesję. Skupiliśmy się na stworzeniu mechanizmu z sukcesyjnym funduszem rodzinnym, co pomaga oddzielić realną warstwę właścicielską od warstwy zarządczej. Nasza propozycja polega na stworzeniu oddzielnej instytucji prawnej dla sukcesji, innej niż fundacja – z natury powoływana raczej w działalnościach charytatywnych. Trzeci duży ważny punkt to element podatkowy. Założenia mają na celu stworzenie mechanizmu, dzięki któremu zachowujemy neutralność podatkową. Nie ma dziś elementu, który tworzy zachętę podatkową albo inaczej – tworzenie takiej instytucji utrudnia raczej sytuację podatkową firmy.

Jadwiga Emilewicz: Potrzebujemy więcej polskich marek, które będą atrakcyjne i rozpoznawalne za granicą. Bez rozwoju, ekspansji, konkurencji nie będzie innowacyjnej gospodarki. Potrzebujemy więc przedsiębiorców, którzy będą odważnie inwestować i eksportować. To nie kaprys, to kwestia fundamentalna. Wiele polskich firm jest mocnych na lokalnych rynkach, ale nie chce lub nie potrafi zwiększać skali swojego działania ani mierzyć się z zagraniczną konkurencją. Konieczne są więc praca z nimi, pokazywanie, jakie korzyści niesie rozwój firmy. Chcemy też, aby właściciele nie bali się przekroczyć progu 250 pracowników, czyli ze średniej firmy wejść do kategorii dużej.

Rafał Dróbka: Szukamy miękkiej sfery, ale w regulacjach potrzebujemy rozwiązania konkurencyjnego wobec innych krajów. Stwórzmy takie rozwiązanie, które umożliwi zbudowanie platformy sukcesji, ramy prawnej rozumianej niezwykle szeroko.

Radosław Kwiecień: Musimy promować kulturę i świadomość budowania strategii sukcesji, edukować w zakresie nowych modeli zarządczych, stworzyć możliwość swobodnego zarządzania majątkiem, aby nie generować dodatkowych podatków i obciążeń.

Michał Krupiński: Temat nie był do tej pory szeroko poruszany, stąd mogą pojawiać się braki uregulowań w tej kwestii. Nowa ustawa jest dobra, ale jest kilka innych luk w prawie, które powinny zostać uporządkowane.

Sławomir Łoboda: Potrzebujemy edukacji oraz regulacji. Jeden aspekt to możliwość przekazania przedsiębiorstwa do podmiotu rodzinnego, ale potrzebujemy też zachęt, aby przedsiębiorcy chcieli budować firmę rodzinną i przekazywać ją sukcesorom. Pozostaje jeszcze kwestia wspierania tych najlepszych, bo to oni będą ciągnąć technologię, rozwijać tych mniejszych i budować kapitał.

eprasa.pl a957fc2aa1

Wsparcie dla polskich sadowników i olimpijczyków

Indywidualne wsparcie polskich sportowców w przygotowaniach do tokijskiej olimpiady czy wprowadzenie polskich soków na stacje Orlen to tylko ostatnie przykłady społecznej odpowiedzialności biznesu, jakie daje innym przedsiębiorcom PKN Orlen pod kierownictwem Daniela Obajtka

Mamy odpowiedzialność społeczną biznesu i ta odpowiedzialność nakazuje nam, abyśmy pomagali innym, abyśmy wspierali polską gospodarkę, ponieważ wszystkim to się opłaci. Tylko patriotyzm gospodarczy może spowodować, że polskie firmy będą się rozwijać – podkreśla prezes PKN Orlen Daniel Obajtek.

PIJMY POLSKIE SOKI

„Pij polskie soki" – pod takim hasłem ruszyła sprzedaż soków z polskich sadów na stacjach Orlen. Daniel Obajtek liczy, że w ciągu roku sprzedaż tych produktów na stacjach wzrośnie o 150 proc. Zdaniem prezesa PKN Orlen taka akcja doskonale pokazuje, jak patriotyzm gospodarczy i biznes mogą się przełożyć na dobre wyniki sprzedażowe i finansowe.

– Zdajemy sobie sprawę ze znaczenia, jakie sieć detaliczna PKN Orlen ma dla polskiej gospodarki. Dlatego wspieramy polskich sadowników poprzez zwiększenie dostępności i promocje ich produktów na naszych stacjach – podkreślał Obajtek, dodając, że jest to akcja nie tylko pomocowa, lecz również biznesowa.

WAŻNE, BY OŻYWIAĆ PATRIOTYZM GOSPODARCZY

PKN Orlen chce zwiększyć udział polskich produktów w sprzedaży na stacjach do 60 proc. Warto przypomnieć, że od września 2017 r. we współpracy z Ministerstwem Rolnictwa i Rozwoju Wsi oraz Agencją Rynku Rolnego płocki koncern realizuje projekt Spiżarnia Regionów, w ramach którego sukcesywnie na swoje stacja wprowadza produkty wytwarzane przez polskich producentów.

Według zapowiedzi prezesa Obajtka już wkrótce zainaugurowana zostanie podobna akcja z regionalnymi piwami.

– Dla nas jest ważne, by ożywiać patriotyzm gospodarczy, bo ten patriotyzm gospodarczy przełoży się na solidarność, a ta solidarność przełoży się na zwiększenie produkcji, co ustabilizuje ceny i ułatwi funkcjonowanie polskim sadownikom – stwierdził. – Poprzez konsumpcję możemy pomóc sadownikom i producentom, by za odpowiednie środki nie tylko sprzedawali swoje produkty, lecz również kupowali surowiec od polskich rolników – dodał Daniel Obajtek.

BEZPOŚREDNIE WSPARCIE DLA SPORTOWCÓW

Orlen nie waha się wyjść przed szereg w kwestii patriotyzmu gospodarczego. Zarząd spółki stawia przede wszystkim na realne projekty i realne talenty, które mają szansę na rozwój. Tworząc Grupę Sportową Orlen, koncern zdecydował się na

Fot. Orlen

indywidualne wsparcie poszczególnych zawodników, pomijając szczebel związków sportowych, które – nierzadko – nie potrafią się dostosować do współczesnych realiów.

– Od lat jesteśmy głównym partnerem sportu w Polsce. Współpracujemy zarówno ze sportowcami indywidualnymi, jak i reprezentacjami narodowymi. Lekkoatletyka zajmuje szczególne miejsce, będąc z jednej strony nośnikiem bliskich nam wartości, z drugiej zaś obfitując w znakomite wyniki polskich zawodników. Wierzymy, że wsparcie, jakiego udzielamy, przełoży się na kolejne sukcesy na imprezach międzynarodowych, a tym samym na rozwój polskiego sportu, jak i pojawienie się następców dzisiejszych mistrzów – mówi Obajtek, prezes płockiego koncernu.

W GRUPIE GWIAZD

Elitarne grono Grupy Sportowej Orlen wzmocnili m.in. Łukasz Krawczuk, Jakub Krzewina, Rafał Omelko i Karol Zalewski, złoci medaliści i rekordziści halowych mistrzostw świata w sztafecie 4 x 400 m (Birmingham 2018), srebrny medalista mistrzostw świata w skoku o tyczce Piotr Lisek (Londyn 2017), mistrzyni Europy w biegu na 1500 m Angelika Cichocka (Amsterdam 2016) czy Agata Ozdoba-Błach, wielokrotna medalistka mistrzostw świata i Europy w judo. Projekt indywidualnego wsparcia spotkał się z aprobatą Ministerstwa Sportu i Turystyki, które rekomendowało sportowców dołączających do grupy.

– Dodatkowe, indywidualne wsparcie utalentowanych zawodników jest niezwykle istotnym elementem budowania spójnej strategii rozwoju polskiego sportu, zwłaszcza w kontekście igrzysk olimpijskich. Myślimy o jego kształcie w perspektywie długoterminowej. Niezwykle mnie cieszy, że dzięki zaangażowaniu PKN Orlen możemy coraz efektywniej tę strategię realizować – zaznacza Witold Bańka, minister sportu i turystyki.

(Sz)

eprasa.pl a957fc2aa1

Normalność kontra totalny odlot

Nawet mając skrajnie inne wizje oraz poglądy polityczne i społeczne niż rząd, wypadałoby jednak zachować odrobinę rozumu i kontaktu z rzeczywistością, ale na to najwyraźniej się nie zanosi

Fot. Shutterstock

JANUSZ SZEWCZAK

Ostatnie dwa i pół roku rządów PiS w znacznym stopniu przywróciło wreszcie w Polsce normalność, choć jest jeszcze nad czym popracować po prawie 30 latach zaniedbań. Obudziło jednak totalne wariactwo polityczne i niesłychaną frustrację ze strony przegranej opozycji – coraz bardziej antypolskiej i antypaństwowej. Przypomniało w ich wydaniu takie stare demony jak liberum veto, zdrada i zaprzaństwo, powszechne wręcz kłamstwo stosowane w debacie politycznej i wzywanie obcej pomocy. Wzmogły się jeszcze szaleństwa szkodników polskiego interesu narodowego, zaktywizowało tzw. piątą kolumnę, wszelkich wrogów polskości, patriotyzmu, tradycji, a nawet zdrowego rozsądku.

Program 500+, jak trafnie stwierdził niedawno w Łodzi premier Mateusz Morawiecki, wydobył polskie rodziny wielodzietne i kilka milionów polskich dzieci z prawdziwej biedy, rozkręcił koniunkturę gospodarczą, napędził konsumpcję (10-procentowa sprzedaż detaliczna w czerwcu), produkcję przemysłową (ok. 8 proc.), zyski w handlu i wzrost PKB (na poziomie ok. 5 proc.). Osza-

eprasa.pl a957fc2aa1

lała z nienawiści opozycja twierdziła, że Polacy przepiją, przepalą, przebalują te miliardy i zwolnią się z pracy. Co zrobiły polskie rodziny? Ruszyły na zakupy, pojechały wreszcie na upragnione wakacje nad polskie morze i jeziora, i to nawet bez kanapek z jajkiem, których tak nienawidzą redaktorzy Onetu. Po prostu dają zarabiać innym Polakom, zwiększając też dochody podatkowe.

Od niemal trzech lat znacząco rośnie polska gospodarka, stabilizują się finanse publiczne, a produkcja przemysłowa po maju 2018 r. rosła najszybciej w Europie. W 2017 r. to właśnie w Polsce powstało najwięcej miejsc pracy w przemyśle w całej Unii Europejskiej. Bezrobocie systematycznie maleje (to już tylko 5,9 proc.), liczne wskaźniki makroekonomiczne biją kolejne rekordy. Rząd podniósł minimalne płace i zasiłki, a wzrost płac jest najszybszy od 10 lat, choć niewykluczone, że czekają nas poważne spory ze związkami zawodowymi dotyczące podwyżek płac w sferze budżetowej, zamrożonych już od blisko ośmiu lat. Były wicepremier i minister finansów Leszek Balcerowicz tak dalece odleciał, że twierdzi dziś, iż „trzeba być idiotą, żeby wierzyć w sukcesy gospodarcze rządu", a były premier rządu PO-PSL Donald Tusk martwi się o „rządy złodziei". Niewątpliwie w materii „rządów złodziei" Donald Tusk wie najwięcej, i to z autopsji. To prawdziwy ekspert. I tacy ludzie rządzili Polską oraz Polakami przez lata.

Obecny rząd proponuje zreformowanie sądownictwa, próbuje sprawić, by wszyscy byli równi wobec prawa (również sędziowie), naprawić i oczyścić sądy z ludzi, którzy nigdy nie powinni się tam znaleźć w praworządnym państwie, z kłamców lustracyjnych, byłych współpracowników i oficerów służb cywilnych oraz wojskowych, politycznych zadymiarzy i ludzi „roztargnionych". Co proponuje opozycja wraz z nadzwyczajną kastą nietykalnych? Obstrukcję, cichy pucz czy wręcz – jak radzi były sędzia Trybunału Konstytucyjnego Jerzy Stępień – „stosowanie nagiej, gołej siły" lub – jak proponował były wiceprezes TK Stanisław Biernat – dożywotnie pełnienie funkcji przez takiego „orła intelektu i prawa" jak prof. Andrzej Rzepliński czy też pełnienie obowiązków przez byłą prezes Sądu Najwyższego Małgorzatę Gersdorf na niemieckim uchodźstwie w Karlsruhe.

To właśnie obecny rząd w znacznym stopniu, choć jeszcze nie całkowicie, ukrócił rabunek finansów publicznych i wyprzedaż za bezcen majątku narodowego, co miało miejsce w III RP, a szczególnie przez osiem lat rządów koalicji PO-PSL, w tym zwłaszcza gigantycznych wyłudzeń w podatku VAT (262 mld zł), a łącznie z akcyzą w kwocie ok. 400 mld zł. Dziś rosną wpływy ze wszystkich podatków: VAT, CIT, PIT, akcyzy, a maleje szara strefa. Co robi totalna opozycja i kasta sędziowska, bo przecież nie zwykli sędziowie? Zwalnia z aresztów największych hochsztaplerów, szefów mafii paliwowych czy VAT-owskich, skorumpowanych menedżerów i urzędników, byleby tylko zaszkodzić rządowi, a przecież szkodzą głównie Polsce i Polakom.

Polska reprezentacja piłkarska w kompromitującym stylu jako jedna z pierwszych odpadła z mundialu, a europoseł PO Janusz Lewandowski, który tak zaciekle szkaluje Polskę w Brukseli, twierdzi, że „to czas, by się cieszyć z sukcesów polskiej piłki nożnej", to ten sam, który niedawno twierdził, iż należy większą uwagę zwracać na Warszawę niż na syryjskie Aleppo. Zupełne wariactwo, totalna frustracja, całkowite odklejenie się od rzeczywistości, jawna nienawiść i genetycznie wręcz wbudowane w postawy oraz deklaracje opozycji kłamstwo i kabotyństwo budzą już tylko zdziwienie i politowanie, bo przecież kogo Bozia pokarze, temu rozum odbiera.

Samorządy zdominowane przez PO, PSL czy SLD o dziwo nie chcą zniesienia użytkowania wieczystego, choć 2,5 mln Polaków z prawdziwą radością przyjęło przywrócenie im przez Sejm pełnych praw własności w ich domach i mieszkaniach. No cóż, wielu podejrzanych biznesów dla wybrańców nie da się już tak łatwo robić. Wprowadzone przez Sejm i rząd nowe prawo o aptekach miało spowodować, według antypolskiej opozycji, masowy upadek aptek i brak dostępu do leków. Okazało się, że jest zupełnie inaczej. Wprowadzenie zakazu handlu w niektóre niedziele miało oznaczać olbrzymie spadki w obrotach, a jest odwrotnie. Podatek bankowy według PO i Nowoczesnej miał grozić załamaniem rentowności banków, choć zyski banków rosną i wynoszą rocznie ok. 14 mld zł. Według „totalnych" inwestycje miały być dramatycznie niskie, choć w czerwcu 2018 r. inwestycje budowlano-montażowe wzrosły aż o ok. 25 proc., inwestycje zagraniczne w pierwszej połowie b.r. wyniosły już ok. 8 mld euro, a przed nami jeszcze inwestycje samorządowe z kwotą ok. 60 mld zł. Wkrótce mają też ruszyć wielkie inwestycje infrastrukturalne i energetyczne. NBP pozytywnie ocenia kondycję polskich przedsiębiorstw i przewiduje stabilizację na rynku finansowym.

> Samorządy zdominowane przez PO, PSL czy SLD nie chcą zniesienia użytkowania wieczystego, choć 2,5 mln Polaków z prawdziwą radością przyjęło przywrócenie im przez Sejm pełnych praw własności

Być może już wkrótce totalna opozycja powoła alternatywny Sejm, rząd czy prezydenta na wygnaniu w Budzie Ruskiej, a niewykluczone, że i własny Sąd Najwyższy, w końcu wreszcie alternatywny naród i alternatywne państwo. Nawet mając skrajnie inne wizje oraz poglądy polityczne oraz społeczne niż rząd, wypadałoby jednak zachować odrobinę rozumu i kontaktu z rzeczywistością, ale na to najwyraźniej się nie zanosi. Róbmy więc swoje, bo to się już nie sklei. Widać wyraźnie, że obecna opozycja, wspierana przez stare esbeckie zaplecze i zagranicznych beneficjentów, chce raczej krwi, a nie debaty, zwłaszcza w sferze gospodarczej i społecznej. Dziejowych wyzwań dla Polski i Polaków nie brakuje.

eprasa.pl a957fc2aa1

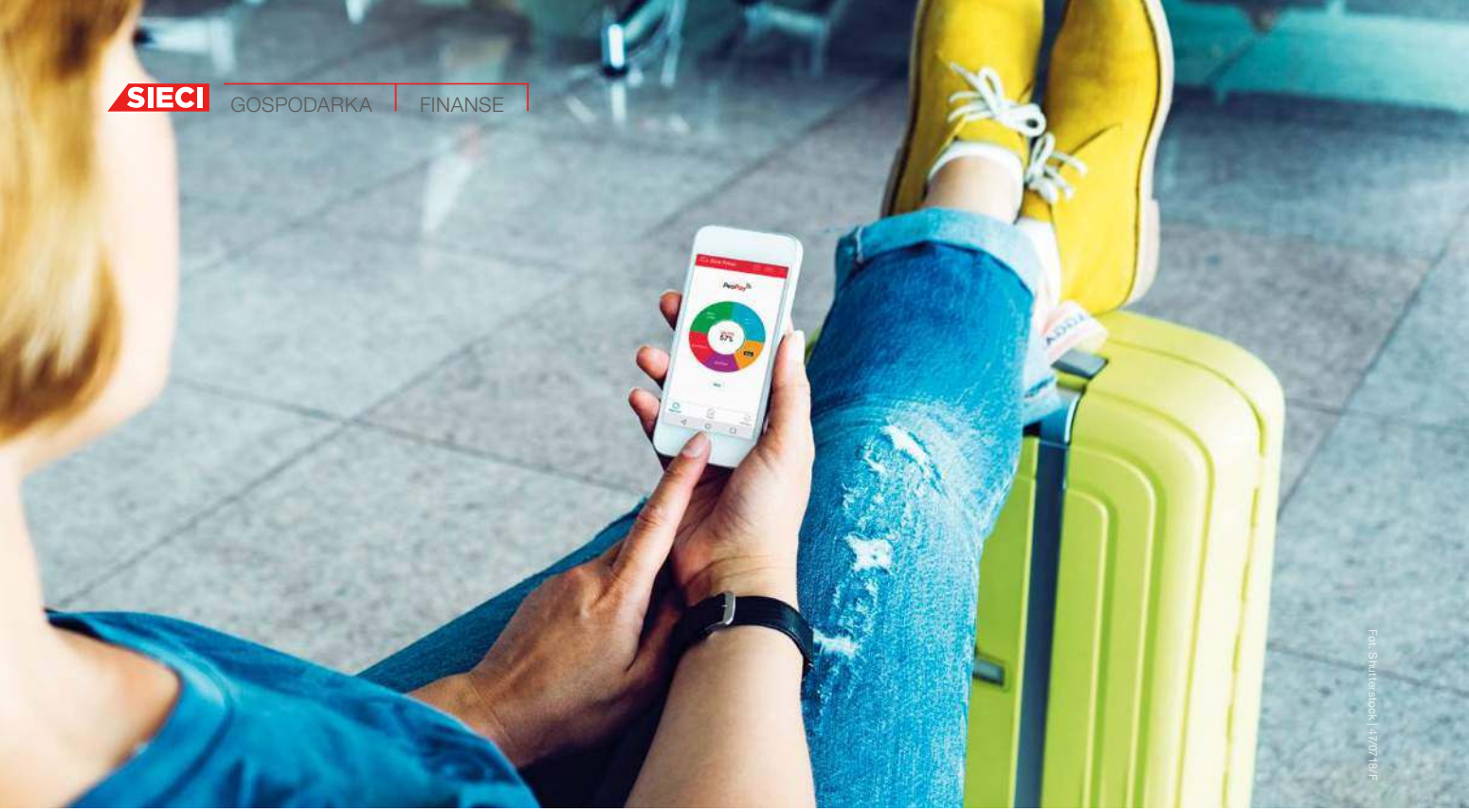

Fot. Shutterstock | 47/0718/F

Elektroniczny portfel zawsze pod ręką

Wakacje trwają w najlepsze, a my zwiedzamy świat. Leniwy „plażing" czy aktywna wspinaczka – to już zależy od naszych upodobań. Jest jednak coś, co łączy wszystkich urlopowiczów – potrzeba kontroli naszych pieniędzy. Do tego wystarczy telefon i dobra aplikacja bankowości mobilnej

Badania użytkowników internetu pokazują, że planowanie wakacji zwykle odbywa się w wolnej chwili: w czasie podróży komunikacją miejską, w przerwie na lunch w pracy, w poczekalni u lekarza czy wieczorem w łóżku przed zaśnięciem. W takich momentach – co również potwierdzają wyniki sondaży – pod ręką mamy zwykle tylko smartfon. W dzisiejszych czasach jesteśmy jednak przyzwyczajeni, że to właśnie telefon i zainstalowane na nim aplikacje wystarczają do organizacji, poszukiwań, rezerwacji i opłacenia podróży.

SMARTFON NASZYM CENTRUM DOWODZENIA

Prędzej zapomnimy portfela lub dokumentów, niż wyjdziemy z domu bez telefonu komórkowego. To jednak już nie tylko nawyk bycia w ciągłym kontakcie. Dziś smartfon z całą gamą aplikacji stał się naszym centrum zarządzania. Przeciętny użytkownik ma na swoim smartfonie blisko 50 aplikacji. Wiele z nich służy różnym sposobom komunikacji: głosowej, wideo, tekstowej. Inne zapewniają rozrywkę: dostęp do gier, telewizji, muzyki, e-booków. Telefon stał się dla nas aparatem fotograficznym o wyśrubowanych parametrach. Zmierzy, zapisze, przeanalizuje, zapamięta dla nas wszystko to, na czym nam zależy: od liczby kroków podczas spaceru po kaloryczność posiłków. To także podręczna encyklopedia, w której szukamy odpowiedzi i otrzymujemy ją od ręki. Smartfon okazał się też wygodniejszą wersją elektronicznego portfela.

Dziś rzadko odwiedzamy stacjonarne oddziały banków. Szczególnie podczas wakacji za granicą, gdy trudno się porozumieć i szkoda czasu na kontakt osobisty w sprawach, które swobodnie możemy załatwić sami. Bankowość elektroniczna była ogromnym skokiem technologicznym, ale dopiero udostępnienie bankowości mobilnej na telefonach klientów pozwoliło klientowi na pełną kontrolę swoich finansów, gdziekolwiek jest. Wiedzą o tym instytucje finansowe i dlatego inwestują duże środki w rozwój swoich aplikacji,

eprasa.pl a957fc2aa1

by dorównać oczekiwaniom klientów i technologicznym trendom.

Tym, co decyduje o popularności aplikacji, jest nie tylko jej funkcjonalność, lecz również wygoda i intuicyjna obsługa. Świadomi klienci oczekują również pełnego bezpieczeństwa danych i transakcji dokonywanych smartfonem. Zagrożenia, jakie niesie cyberprzestępczość, mobilizują banki do wprowadzania coraz nowocześniejszych metod zabezpieczania.

ZAMIAST KARTY PŁATNICZEJ

Nie lubimy zabierać portfela na plażę i wolimy schować go bezpiecznie w hotelowym sejfie. I bardzo dobrze. Na pewno w kieszeni jest komórka. A jeśli jest się posiadaczem konta w Banku Pekao S.A. i korzysta się z bankowości mobilnej PeoPay, zapłacić można przy użyciu telefonu. Wygodnie przełączymy się pomiędzy funkcjami płatniczymi a dostępem do rachunków i operacji bankowych. Do aplikacji zalogujemy się kodem PIN, odciskiem palca (Touch ID) lub skanem twarzy (Face ID). Metody biometryczne są obecnie najdoskonalszym zabezpieczeniem dostępu i akceptacji. W ten sam sposób możemy zatwierdzić każdą wykonaną operację finansową.

Będąc użytkownikiem smartfona z Androidem i funkcją NFC, mamy możliwość dokonywania płatności zbliżeniowych w sklepach stacjonarnych zarówno w kraju, jak i za granicą. Jeżeli smartfon ma system operacyjny iOS, to możemy korzystać z płatności Apple Pay, którego aktywacja następuje bezpośrednio z aplikacji PeoPay (dodawanie kart Mastercard Banku Pekao S.A. lub rachunku powiązanego z aplikacją PeoPay nawet bez konieczności posiadania karty). Płacenie telefonem odbywa się od razu w walucie – będąc za granicą użytkownik zbliża telefon do terminala (jak kartę), aplikacja rozpoznaje walutę transakcji i pobiera pieniądze bezpośrednio z rachunku walutowego klienta (EUR, USD, GBP, CHF).

Do innych opcji udostępnianych w bankowości mobilnej Banku Pekao S.A. należą płatności w internecie przez skanowanie kodu QR czy też kody BLIK pozwalające na szybkie i wygodne płatności w sklepach stacjonarnych oraz internetowych. BLIK służy również do wypłaty gotówki ze wszystkich bankomatów w Polsce oznaczonych logo BLIK.

Aplikacja umożliwia także dokonanie natychmiastowych przelewów na numer telefonu do innych użytkowników PeoPay (wpisany ręcznie lub wybrany z listy kontaktów). Oczywiście możliwe jest też płacenie w internecie bezpośrednio z rachunków walutowych (tak jak kartą wielowalutową).

CAŁY BANK W MAŁYM URZĄDZENIU

Bankowość mobilna PeoPay dla klientów detalicznych i biznesowych korzystających z bankowości internetowej to również wygodny dostęp do rachunków w Banku Pekao S.A.

Ikonki w dolnej części ekranu pozwalają się szybko przełączać między ekranem głównym, czyli ekranem płatności, a częścią bankową aplikacji. Na ekranie mamy też informację, czy użytkownik jest zalogowany, czy wylogowany z aplikacji. Niektóre z funkcjonalności bowiem nie wymagają logowania.

Jeszcze przed zalogowaniem można kontrolnie rzucić okiem na stan konta. Podgląd salda widoczny jest wtedy w procentach, aby nikt niepożądany nie miał okazji poznać kwoty, jaką dysponujemy.

A po zalogowaniu mamy podgląd szczegółowej historii operacji na rachunkach – w ten sposób monitorujemy stan naszych pieniędzy i upewniamy się, że nikt nie wykonał żadnej operacji bez naszej wiedzy.

Nawet za granicą nie jesteśmy odcięci od możliwości wykonania przelewów krajowych i zagranicznych na dowolne rachunki oraz doładowania telefonów. Możemy przetwarzać przelewy z historii i w razie potrzeby wykonać przelew zwrotny.

Dużym ułatwieniem jest przelew na zeskanowany numer rachunku, który widnieje na fakturze – czy to w hotelu, czy w restauracji. Wystarczy wybrać na ekranie głównym aplikacji opcję „skanuj i płać", skierować telefon na wydrukowany na dowolnej kartce papieru lub podany w e-mailu numer rachunku – automatycznie otwiera się wypełniony formularz przelewu, pozostaje tylko uzupełnić inne pola.

Czasem potrzebny jest dowód wykonania przelewu – z aplikacji wykonamy eksport potwierdzenia operacji do PDF.

POMOCNY ANALITYK I WŁASNY KANTOR WALUT

Podsumowanie i analiza wydatków danego miesiąca wg podziału na kategorie to kolejna funkcja, która pozwala się zorientować, w jaki sposób wydajemy pieniądze. Ta opcja uświadamia nam, czy jesteśmy gospodarni, i pozwala zaplanować kolejne wydatki. Warto do niej zerkać również na wakacjach – to odmienny od całego roku okres, w którym możemy się pogubić. Wtedy jednak – również poprzez aplikację PeoPay – możemy posiłkować się ofertą pożyczki gotówkowej oraz karty kredytowej „na klik". Pomocne mogą się okazać zmiany limitów i inne opcje zarządzania kartami do rachunków – łącznie z koniecznością zablokowania czy odblokowania, a nawet zastrzeżenia zagubionej w podróży karty.

W aplikacji mamy szybki dostęp do dodatkowych informacji, np. niezbędnych w podróży kursów walut. To jednak nie wszystko, bowiem aplikacja umożliwia także wymianę walut po atrakcyjnych kursach. Ta funkcja dostępna jest dla klientów 24 godziny na dobę, 7 dni w tygodniu. Gdziekolwiek spędzamy urlop, wymiana walut jest w zasięgu naszej ręki.

Jeżeli konieczna okaże się wizyta w oddziale, aplikacja pomoże nam znaleźć zarówno placówkę, jak i bankomat, a także sprawdzić godziny dostępności i dane kontaktowe.

Co więcej, bankowość mobilna PeoPay pozwala kontrolować w kalendarzu zaplanowane płatności, daje wgląd w aktywa na rachunkach maklerskich w DM Pekao i umożliwia przelew na rachunek własny z rachunku inwestycyjnego. Możemy również sprawdzić historię operacji kont regularnych funduszy Pekao TFI.

Jak widać, z dobrą aplikacją mobilną Banku Pekao S.A. nieprzerwanie mamy pełną kontrolę nad swoimi finansami. Smartfon, niczym prywatny doradca bankowy, umożliwia dokonywanie płatności i zarządzanie rachunkiem o każdej porze dnia i pod każdą szerokością geograficzną.

Anna Raciniewska

Materiał powstał przy współpracy z Bankiem Pekao S.A.

eprasa.pl a957fc2aa1

Nowy Exatel zaskakuje

Byliśmy dużym polskim operatorem telekomunikacyjnym B2B, skupionym na usługach dla firm, innych operatorów i sektora publicznego. Zmiany rynkowe i rozwój technologii sprawiają, że nie można stać w miejscu. Odpowiedź Exatel na to wyzwanie jest prosta – nie podążaj za zmianą, tylko sam ją twórz

Kiedy równo dwa lata temu rozpocząłem pracę w Exatel, miałem świadomość, że to ostatni liczący się polski telekom, którego sytuacja na rynku nie jest łatwa. Od 2010 r. EBIDTA (wynik finansowy firmy) stale się pogarszał.

Działo się tak, gdyż firma budująca niegdyś ponad 1000–1200 km światłowodów rocznie wyhamowała swoje inwestycje prawie do zera, by w kolejnych latach oscylować wokół budowania 200 km nowej sieci rocznie. Te dwa trendy powodowały, że konkurencja uciekała Exatel, a pozycja na rynku stawała się coraz trudniejsza.

ZMIENIAMY SIĘ NA LEPSZE

Odpowiedzią na tę sytuację były zmiany wprowadzane od 2016 r. przez nowy zarząd Exatel kierowany przez Nikodema Bończa Tomaszewskiego.

Ukończyliśmy budowę Security Operations Center, czyli zespołu ekspertów zapewniającego cyberbezpieczeństwo zarówno naszej sieci, jak i naszych partnerów oraz klientów.

Po drugie, postawiliśmy na rozwój nowych usług i oferowanie kompleksowych rozwiązań, a nie jedynie prostej usługi internetu czy transmisji danych.

W końcu zbudowaliśmy własny zespół R&D, który pracuje nad rozwiązaniami z zakresu software i hardware. Ta ostatnia decyzja zaowocowała pozyskaniem ponad 10 mln zł grantów na badania i rozwój. Pozwolą one na budowę nowych polskich technologii zarządzania siecią światłowodową, a także jej zabezpieczania.

KIM DZIŚ JESTEŚMY

Pewnie nie każdy wie, że polski telekom zarządza i stale rozbudowuje jedną z największych sieci światłowodowych w Polsce (ponad 20 tys. km światłowodów). Stworzyliśmy trzecią największą sieć światłowodową w Polsce, obok Orange i połączonego Polkomtela z Netią. Exatel jest dużym operatorem telekomunikacyjnym B2B, skupionym na usługach dla firm, innych operatorów i sektora publicznego. Zmiany rynkowe i rozwój technologii sprawiają, że nie można stać w miejscu. Odpowiedź Exatel na to wyzwanie jest prosta – nie podążaj za zmianą, tylko sam ją twórz.

Prawie połowa naszego biznesu jako telekomu to klienci międzynarodowi. Jesteśmy hubem transmisji danych na linii wschód–zachód. Posiadamy najszybsze łącze na trasie Moskwa–Frankfurt, a także własne węzły we Frankfurcie i w Londynie. Poza tym uczestniczymy w globalnym handlu głosowym ruchem telekomunikacyjnym. To swego rodzaju globalna giełda dla operatorów telekomunikacyjnych.

NAJBEZPIECZNIEJSZA POLSKA SIEĆ

Większość naszego zaangażowania to jednak rynek polski. Zbudowaliśmy jeden z największych, a na pewno najważniejszy dla państwa WAN – sieć OST 112, i nią zarządzamy. To po niej przesyłane są dane wszystkich Polaków pomiędzy gminami, powiatami a rejestrami centralnymi (m.in. PESEL, rejestr dowodów, CEPIK).

Wyróżnikiem oferty Exatel jest gwarancja bezpieczeństwa klientów. Stabilność, rozległość i jakość sieci, 20 lat doświadczenia firmy, najbardziej wymagający klienci, polska własność oraz najlepsze na rynku kompetencje w cyberbezpieczeństwie to absolutnie unikalny na rynku zestaw cech.

Poza świadczeniem usług dla klientów z rynku publicznego (m.in. dla MON, MSWiA, MSZ, KPRM, Sejmu, Naczelnej Dyrekcji Archiwów Państwowych) pracujemy głównie dla banków i sektora energetycznego, a także dla operatorów mobilnych. Exatel powstał z połączenia spółki Telbank, która obsługiwała Narodowy Bank Polski i banki komercyjne, oraz Tel-Energo, która pracowała dla firm energetycznych. Stąd nasza silna pozycja wśród klientów z rynku finansowego, którą nie tylko utrzymujemy, lecz staramy się umacniać.

Z usługi transmisji danych Exatel korzystają również telekomy mobilne (Orange, T-Mobile, Polkomtel, PLAY), a także dziesiątki lokalnych operatorów.

BUDOWANIE CYBERBEZPIECZEŃSTWA

Strategia zmian w Exatel opiera się na czterech filarach: rozwoju sieci światłowodowej, cyberbezpieczeństwie, zintegrowanych usługach teleinformatycznych oraz inwestycjach w innowacje.

eprasa.pl a957fc2aa1

Obok tradycyjnych usług telekomunikacyjnych proponujemy naszym klientom wiele usług świadczonych przez wspomniane Security Operations Center, a także usługi integratorskie. Od lat cieszymy się zaufaniem podmiotów kluczowych na polskim rynku finansowym, jak NBP, KIR czy BIK, oraz banków, w tym PKO BP, mBanku, BZ WBK, Deutsche Banku czy Alior Banku.

Z naszych kompetencji integratorskich w zakresie wdrażania usług sieciowych, chmurowych, dostaw sprzętu czy budowy contact center korzysta od lat grupa PGE, ale także wielu innych klientów z sektora utilities. Właśnie w tym sektorze dynamicznie rośnie zapotrzebowanie na usługi cyberbezpieczeństwa. Daje nam to szanse na wykorzystanie kompetencji SOC Exatel na rzecz ochrony systemów IT spółek zarządzających w Polsce krytyczną infrastrukturą energetyczną.

Widzimy duży potencjał w proponowaniu kompleksowych usług partnerom, którzy znają i cenią nas tylko jako telekom. Rozwijamy współpracę z wiodącymi dostawcami technologii sieciowych oraz cyberbezpieczeństwa. Oczywiście by dać wartość dodaną, trzeba mieć własne kadry, dlatego Exatel konsekwentnie rozwija zespół kilkudziesięciu inżynierów wdrożeniowych.

Rozwój kompetencji integratorskich przekłada się na sukces biznesowy. Nie zapominamy jednak o misji Exatel, jaką jest budowanie cybersuwerenności naszego państwa. Jak pisał na łamach „Rzeczpospolitej" prezes Exatel Nikodem Bończa Tomaszewski: „Dziś suwerenność to nie tylko posiadanie przez naród własnego terytorium, prawa oraz państwa i armii. Silne narody rozciągają ją na inne dziedziny: kulturę, naukę, gospodarkę. Ale państwo w XXI w. musi być również suwerenne w cyberprzestrzeni".

UNIKALNE KOMPETENCJE

Cybersuwerenność to zdolność do samodzielnego funkcjonowania w cyberprzestrzeni. W Exatel rozumiemy, że jej istotnymi składnikami są własne kadry, własna infrastruktura, zdolność do ochrony posiadanych przez państwo baz danych oraz systemów. Dzięki nim działają publiczne e-usługi, a także kompetencje w zakresie cyberbezpieczeństwa oraz silny polski sektor ICT.

Na każdym z tych pól staramy się rosnąć, wciągając do współpracy polskie firmy mające unikalne kompetencje. Takie podejście pokazaliśmy m.in. w projekcie realizowanym dla Totalizatora Sportowego (VPN MPLS, IaaS, cyberbezpieczeństwo), jak również przy zaawansowanych projektach budowy systemów bezpieczeństwa dla klientów z sektora energetycznego i kolejowego.

Wierzymy, że rozwijając kompetencje i realizując zaawansowane projekty, a także budując najbezpieczniejszą sieć w Polsce, dokładamy swoją cegiełkę do budowy cybersuwerenności Polski.

PRACA PRZYNOSI EFEKTY

Kiedy w czerwcu bieżącego roku zarząd Exatel prezentował pierwsze wyniki firmy, wzbudziły one spore zainteresowanie. Exatel wraca do rozbudowy sieci w tempie przekraczającym 800 km światłowodu rocznie, wniesie 6 mln wkładu własnego do projektów B+R. Po raz pierwszy od wielu lat zatrzymaliśmy tendencję spadkową EBIDTA, a wynik finansowy firmy zaczyna rosnąć. Kolejne miesiące 2018 r. potwierdzają ten trend. Wykonanie planów sprzedażowych w pierwszym półroczu przekracza 100 proc. To z kolei przekłada się na lepsze niż planowane wyniki finansowe spółki. Przestaliśmy dostarczać jedynie usługi oparte na sieci. Budujemy naszym partnerom systemy bezpieczeństwa i wdrażamy nowe technologie. Dzieje się tak w sektorze publicznym, energetyce, bankach, korporacjach oraz spółkach kolejowych.

Otwieramy nowe punkty wymiany ruchu międzynarodowego (do Frankfurtu, Londynu i Moskwy dołączył Kijów). Poza obsługą gigantów telekomunikacji (Verizon, AT&T, BT) zdobywamy nowych globalnych klientów, jak China Unicom.

EXATEL MOŻE WIĘCEJ

O sile spółki świadczy dziś także stabilna pozycja na rynku. Obecnie z naszych usług korzysta 990 firm i instytucji w kraju i za granicą. Staramy się stale wspierać ich rozwój i zwiększać ich bezpieczeństwo.

Zwraca na to uwagę Marcin Malicki, członek zarządu Exatel odpowiedzialny za rozwój biznesu: – Wiemy, że dziś organizacjom nie wystarczy infrastruktura telekomunikacyjna. Potrzebują całościowych rozwiązań dostosowanych do ich potrzeb, a także partnera, któremu mogą naprawdę zaufać. Takiego, który zapewni im bezpieczne i stabilne środowisko technologiczne, adekwatne do ich celów. Dlatego nasza obecna oferta jest bardzo szeroka. Obejmuje np. własne Data Center czy dostawy urządzeń. Posiadamy zespół certyfikowanych inżynierów wdrożeń i utrzymania, programistów, architektów, project managerów czy pentesterów. Udaje nam się konsekwentnie to zaufanie zdobywać. Dowodem jest 30 dużych wdrożeń sprzętowych w ciągu ostatniego roku czy 67 proc. wzrostu przychodów z usług cyberbezpieczeństwa już w pierwszych czterech miesiącach tego roku.

Uważni obserwatorzy mogli zauważyć zmianę identyfikacji wizualnej Exatel. To dowód na to, że zmiany nie są powierzchowne, ale podkreślają nowe możliwości firmy. Sieć Exatel jest coraz bardziej rozległa, a więc łatwiej dostępna dla klientów. Portfolio usług cyberbezpieczeństwa nie tylko jest coraz szersze, lecz zostało zweryfikowane w działaniu przez prawie 50 klientów. Także innowacyjność w Exatel to nie idea. To konkretne sześć projektów badawczo-rozwojowych, w tym pierwsze w Europie testy technologii 5G w przestrzeni publicznej zrealizowane w 2017 r. w Warszawie.

Wierzymy, że jesteśmy na dobrej drodze do odbudowy polskiego potencjału w telekomunikacji i cyberbezpieczeństwie, choć wiemy, że przed nami długi marsz.

Szymon Ruman

Autor jest prawnikiem, menedżerem, dyrektorem sprzedaży w Exatel SA. Pełnił funkcję podsekretarza stanu w Ministerstwie Cyfryzacji (2015–2016)

EXATEL

36/0718/F

eprasa.pl a957fc2aa1

MOJE SMAKI Z SERIALEM „RODZINKA.PL"

Z rodzinką w upalne dni

Na dworze skwar, a na telewizyjnym ekranie „Rodzinka.pl". Także w kuchni kreatywna. Z kulinarnymi pomysłami, które pozwolą z uśmiechem i w dobrej formie przebrnąć przez gorące dni lata.

Serialowy Kuba proponuje dla ochłody aksamitny koktajl truskawkowy z owocami granatu. W wersji kilkuosobowej wystawia na stół: kilogram truskawek, jedno mango, trzy banany, 800 g jogurtu naturalnego i granat. Obrane owoce miksuje z jogurtem, rozlewa do szklanek i zdobi listkiem mięty. Proste, ale podbije serca rodziny i przyjaciół.

Natalia na ochłodę i osłodę letniego wieczoru przygotowuje brzoskwiniowy sernik na zimno. Z galaretką. Decyduje się na herbatniki, ale pełnoziarniste (200 g). Kruszy je i miesza ze stopionym masłem (80 g), przekłada do tortownicy (dno wyłożone papierem do pieczenia, a boki folią aluminiową) i wkłada do lodówki.

W tym czasie myje i kroi czereśnie (lub wiśnie, 200 g) oraz tnie na kawałki trzy brzoskwinie. W 150 ml gorącej wody rozpuszcza cztery łyżeczki żelatyny i przestudza. 800 g jogurtu naturalnego (jakże by inaczej, o niskiej zawartości tłuszczu) łączy z sześcioma łyżkami cukru (oczywiście brązowego), skórką otartą z jednej cytryny i żelatyną. Wsypuje połowę owoców, delikatnie miesza i przelewa na herbatniki. Chłodzi w lodówce przez dwie godziny. Kiedy masa stężeje, na wierzchu układa pozostałe owoce i zalewa galaretką (dodając jeszcze łyżeczkę żelatyny). Całość wstawia do lodówki na kolejne dwie–trzy godziny. Wieczorem słyszy gromkie „wow", gdy rodzinka najpierw docenia efekt wizualny, a potem zaczyna się delektować deserem.

Zosia, szkolna koleżanka Kacpra, woli owocowe lody na patyku. Najchętniej truskawkowe. Potrzebuje 500 g truskawek, 100 g cukru i 250 ml śmietany kremówki 30 proc.

Fot. Maria Wytrykus/TVP

Umyte i oszypułkowane truskawki na godzinę trafiają do zamrażarki. Chyba że są mrożone, wtedy od razu miksuje je z cukrem. Śmietanę ubija na sztywno, następnie miesza z owocami. Masę przekłada do foremek na lody i wstawia do zamrażarki na pięć godzin. Można też pokroić truskawki na malutkie kawałki i ułożyć w foremce, aby każdy lód miał w środku owoc.

Serialowe nastolatki, Agata i Paulina, dbając o dobrą formę i urodę, szykują sobie na początek gorącego dnia pachnący malinami, czerwony sok z buraków i jabłek. Umyte buraki (2 kg) i jabłka (1 kg) obierają, pozbywając się niepotrzebnych części, i kroją na mniejsze kawałki. Maliny (500 g) płuczą. Wrzucają po kolei do wyciskarki. Wykonanie jest banalnie proste, a ile dobrych składników dla organizmu! Warto przy tym pamiętać, że podłużne buraki są najbardziej soczyste.

Jolanta Gajda-Zadworna

Domowe lody jogurtowe z wiśniami i czekoladą

(Przepisy pochodzą z książki „Gotuj z Rodzinką.pl", Wyd. Dream Books)

Alternatywą dla sernika na zimno, gdy temperatura wokół rośnie, są domowe lody rodzinki Boskich. Wystarczy się zaopatrzyć w 600 ml jogurtu greckiego, 300 g wiśni, 60 g cukru pudru, 150 ml śmietany kremówki 36 proc., 1/4 tabliczki czekolady.

Śmietanę i jogurt mocno schładzamy. Wiśnie myjemy i drylujemy, następnie gotujemy, aż zaczną się rozpadać. Zdejmujemy z ognia, studzimy, a na koniec lekko miksujemy. Śmietanę ubijamy na sztywno i dodajemy stopniowo cukier puder. Miksujemy, aż dodamy cały. Jogurt mieszamy ze zmiksowanymi owocami. Dodajemy stopniowo do ubitej śmietany i miksujemy na wolnych obrotach. Gotowy krem przekładamy do pojemnika i wstawiamy do zamrażalnika na około pięć godzin. Po tym czasie lody powinny być już gotowe. Przekładamy je do pucharków i dekorujemy startą czekoladą.

Boska rada: Aby lody były gładkie i aksamitne, podczas mrożenia należy je (dopóki się to udaje) co jakieś 30 minut wymieszać, aby pozbyć się kryształków lodu.

Fot. Shutterstock

eprasa.pl a957fc2aa1

SŁODKO-SŁONY

Zaślubiny z morzem

ANNA MONICKA

Nie sądziłam, że dożyję czasów, kiedy będę odradzała jedzenie polskiej ryby. Ale ostatnie wyprawy nad morze – nasze i znajomych – były wielce pouczające.

Pierwsza w maju – akurat spędzaliśmy długi weekend u wujostwa niedaleko Kalisza Pomorskiego. Kierunek wyprawy nasunął się niejako sam, skoro w lesie jeszcze nie było grzybów. Już sam zapach smażonej ryby powinien być dla mnie ostrzeżeniem, bo woń przypalonej frytury spowijała wydmy na kilkaset metrów, ale oszukiwałam się, że zalatuje nie z tej smażalni, którą sobie upatrzyłam. Dostałam więc to, o co się prosiłam – dorsza w panierce przypominającej beton – i smakiem, i wyglądem. W tym tłustym kokonie bujały się smętne pasemka ryby. Gorzej mieli ci, którzy połakomili się na flądrę – smażona w głębokim tłuszczu składała się niemal wyłącznie z ości (i panierki). Gdy próbowaliśmy dociec, dlaczego jest tak ohydna, jeden z gości wyjaśnił, że mąka kukurydziana, z której powstaje ten beton, lepiej pije tłuszcz, więc ryba robi się cięższa na wadze. Jak się sprzeda kilka ton, można się w sezonie nieźle odkuć...

Druga wyprawa – miesiąc temu. Sąsiedzi ciotki, którzy niedawno wybrali się do Mrzeżyna, ostrzegali ją, żeby broń Boże nie jeść w lokalnych nadbałtyckich tawernach. Oni zjedli, bo dzieci prosiły, i potem cała rodzina zganiała się z ubikacji.

Gdy więc my zaplanowaliśmy zaślubiny z morzem, wiedzieliśmy jedno: trzeci raz nie popełnimy tego samego błędu. Jedziemy poszukać dzikiej plaży, żeby posłuchać szumu fal. I żadnych ryb. Jedzenie bierzemy z domu. Noc poprzedzającą wypad spędziłyśmy więc z ciotką na pieczeniu kaczych nóżek. Tłuściutkie pekinki są wymarzone na takie eskapady – wszystko jedno czy nad morze, czy w góry, czy na grzyby. Natarte solą, czosnkiem i majerankiem, obłożone kwaśnymi jabłuszkami, pieką się góra półtorej godziny. W tym czasie wytapia się z nich cały tłuszcz. Takie mięso świetnie znosi podróże w torbie lodówce, a na plaży każdy bierze swoją nogę w garść i ogryza. Do tego pomidory, ogórki, chleb. Piknik marzenie. Trzeba tylko uważać na mewy. Chętnie wyrwą z ręki taki kąsek.

Fot. Shutterstock

WILCZYM OKIEM

Kurka na depresję

PRZEMYSŁAW BARSZCZ

Kurka, znana lokalnie pod najróżniejszymi imionami, której nazwa naukowa brzmi pieprznik jadalny *Cantharellus cibarius*, to grzyb pogodny i niezobowiązujący. Nie sili się na szlachetność borowika, nie jest też tak pretensjonalna jak trufle. Kiedy trudno znaleźć inne grzyby, zawsze można liczyć na kurki.

Kurki zacząłem darzyć sympatią wiele lat temu, gdy spędzałem wakacje w Jodłówce Tuchowskiej. Jodłówka, niedaleko której przez porośniętą wiklinami dolinę toczy swe wody rybna rzeka Biała i wznosi się lesiste pasmo Brzanki, to rejon polskiego bieguna ciepła. Mała wieś, szkoła, pola i sosnowy las, w którym na zakończenie grzybobrania zawsze zaglądałem na pewną polankę i za każdym razem natrafiałem na stadko niedużych, żółtych kapelusików, wyglądających istotnie jak przycupnięte na podwórku kurczaki.

Wzorem innych grzybów kurka to naturalne laboratorium chemiczne, o którym wiemy niewiele. Czasopisma naukowe o nazwach tak intrygujących jak „International Journal of Medicinal Mushrooms" powstają jak grzyby po deszczu i stale donoszą o kolejnych odszyfrowanych mykotajemnicach (mykologia – nauka o grzybach). Zgodnie z naukowymi ustaleniami kurki, które najlepiej smakują w jajecznicy, są wyjątkowo bogatym źródłem serotoniny nazywanej hormonem szczęścia i przeciwdziałającej depresji. Jak donosi dwumiesięcznik naukowy „Psychiatria Polska" w artykule z 2015 r. „Surowce naturalne mające znaczenie w profilaktyce i wspomagające leczenie depresji", kurka vel pieprznik jadalny ma wyjątkowo wysoką zawartość poprawiającej nastrój serotoniny, sięgającą aż 29,61 mg na 100 g suchej masy, najwyższą wśród poddanych badaniom gatunków grzybów. Sympatyczne kurki, wykazujące wprawdzie upodobanie do uboższych, kwaśnych i piaszczystych gleb, nie są przy tym wybredne i występują powszechnie we wszystkich typach lasów. Zbierając kurki, pozostawmy wśród mchów najmniejsze spośród żółciutkich grzybków i dajmy im szansę na rozsianie zarodników. Uważajmy też, ostrożnie wykręcając lub ucinając nóżkę, żeby nie uszkodzić i nie odsłonić grzybni, a dzięki temu zawsze będziemy mieli szanse na kolejne spotkanie z pogodną kurką.

eprasa.pl a957fc2aa1

Gasnąca iskra

PIOTR SKWIECIŃSKI

Można być wierzącym. Można też w ogóle nie podzielać wiary w istnienie świata niematerialnego, niemniej być do religii i Kościoła przywiązanym. I wspierać go jako najważniejszy zwornik społecznej spójności i polskiej tożsamości (a także nośnik czegoś jeszcze ważniejszego i bardziej uniwersalnego, ale o tym czymś w końcowej części tego felietonu).

Jeśli zajmuje się jedną z tych postaw, trudno nie czuć niepokoju, zapoznając się z faktami dowodzącymi postępującej laicyzacji Polaków. Od dawna powoli, ale stale spada odsetek uczęszczających na msze niedzielne. Także odsetek małżeństw zawieranych w świątyniach. I – co bardziej spektakularne – liczba powołań do seminariów duchownych. Do jednego z nich w tym roku nie zgłosił się podobno żaden kandydat... Jeśli ten trend się utrzyma, to za kilkanaście lat w polskich parafiach, które do niedawna wysyłały księży do cierpiących na brak kapłanów kościołów starej Unii, pojawią się duchowni z czarnej Afryki – oto symboliczne zakończenie Jano-Pawłowych nadziei na reewangelizację przez Polskę Europy.

Kościół wyczuwa ten proces. Nie wie, co z nim zrobić, więc przede wszystkim stara się nie drażnić. Dystansuje się więc od polityki. Wszelkimi siłami stara się nie sprawiać wrażenia, jakoby popierał niecierpianą przez sporą część społeczeństwa, sprzyjającą katolicyzmowi władzę. Oczywiście bywa z tym różnie; w niegdyś bardzo zdyscyplinowanym polskim Kościele instytucjonalnym dziś nie ma realnie żadnej władzy centralnej, jest on nieledwie luźną federacją samodzielnych biskupstw, ale generalnie taka jest tendencja. Czy to pomaga? Nie wiedząc, jak wyglądałaby sytuacja, gdyby hierarchowie zachowywali się inaczej, trudno orzec – ale ta ostrożność co najwyżej spowalnia destrukcyjne procesy. Nie stopuje ich, tym mniej – odwraca.

Wyczuwa to też opozycja. I między innymi dlatego czynione przez Schetynę nieśmiałe próby kulturowego ucentrowienia jej spaliły na panewce. Paradoksalnie, to dobre wyczucie społecznego trendu działa doraźnie na szkodę opozycji, bo procesy laicyzacyjne nie są obecnie wystarczająco zaawansowane, by na nich politycznie pojechać. A w dodatku odchodzenie Polaków od religii (to nasza specyfika) nie owocuje raczej wzrostem postaw agresywnie antyreligijnych, tylko przechodzeniem w sferę obojętności (to skądinąd zgodne z podstawową cechą naszego charakteru narodowego, jaką jest letniość). Nie zmienia to jednak faktu, że owe procesy są, by zacytować klasyka, oczywistą oczywistością.

Wyczuwa je również PiS i między innymi dlatego stara się nie kojarzyć z poglądami mogącymi się zakwalifikować jako ultrasowskie. Czyni to niekonsekwentnie, wbrew samemu sobie (vide dalekie od wizji zdyscyplinowanej kohorty zachowanie klubu parlamentarnego w sprawach aborcyjnych), bo jest to sprzeczne z naturą tej partii, ukształtowaną w okresie światopoglądowej i kulturowej radykalizacji oraz tożsamościowej eskalacji. Niemniej próbuje.

Laicyzacja w Polsce, inaczej niż na Zachodzie, raczej nie prowadzi do agresywnej antyreligijności. Ale postępuje

Czy można jakoś pocieszyć zaniepokojonych tym, co się dzieje? To trudne zadanie, bo to, co postępuje w Polsce, wydaje się w dużym stopniu częścią procesów uniwersalnych. Ale w pewnym stopniu można. Po pierwsze, można bowiem zwrócić uwagę na to, że w historii już wielokrotnie się zdarzało, że procesy uznawane za nieuniknione okazywały się jedynie zjawiskiem czasowym i ustępowały. W latach 20., 30. i 40. naprawdę wielu niegłupich ludzi uważało na przykład, że globalne zwycięstwo komunizmu jest nieuniknione. I co?

Po drugie, można przywołać przykład krajów islamskich, które – dziś trudno w to uwierzyć – jeszcze 50 lat temu laicyzowały się na potęgę, by potem dokonać widowiskowego zwrotu. Wiem, że to nie jest nasz ideał, że my byśmy nie chcieli w ten sposób, ale nie zmienia to faktu, iż dowodzi to, że laicyzacja nie musi być nieodwoływalnym wyrokiem historii.

Po trzecie wreszcie, nie trzeba osobiście wierzyć w Boga, by dostrzec, że realnie w znaczącej społecznie skali tylko ta wiara (nawet gdyby była złudzeniem) daje ludziom poczucie sensu ich egzystencji. I w jakimś stopniu łagodzi ich strach przed śmiercią. Działa jak egzystencjonalna morfina. A to poczucie sensu jest ludziom bardzo potrzebne; ten strach jest dla nich czymś udręczającym. Dlatego osobiście nie wydaje mi się, żeby porzucenie wiary mogło być, na dłuższą metę, zjawiskiem trwałym. Oczywiście to samo w sobie nie oznacza pewności odrodzenia Kościoła i katolicyzmu – religię mogą zastąpić różne gusła. Ale stwarza to przestrzeń dla pewnej nadziei. Okienko możliwości.

Zdaję sobie sprawę z tego, że wszystko to razem jest pocieszeniem wątłym. Zwłaszcza dla tych, którzy jeszcze nie tak dawno triumfalnie cytowali przepowiednie siostry Faustyny o iskrze, która wyjdzie z Polski i przemieni świat.

Ale chyba lepsze takie niż żadne.

Fot. Andrzej Wiktor

eprasa.pl a957fc2aa1

Przewróciło się, niech leży...

Jesteśmy w środku sezonu wakacyjnego, zwanego – i słusznie – sezonem ogórkowym, jako że w tym właśnie czasie przypada czas zbioru ogórków i stawiania ich na małosolne. Przysmak wschodniosłowiański, niestety krótkotrwały, który z upływem czasu zmienia się w ogórki kiszone.

W politycznym sezonie ogórkowym powinno być pusto i głucho, w parlamentach, państwowych urzędach i w świątyniach kultury oraz sztuki. Powinno, ale nie jest. I wprawdzie czołowi politycy obowiązkowo wraz z rodzinami udają się na urlopy, a paparazzi za nimi, to jednak dzięki nad wyraz rozwiniętej komunikacji międzyludzkiej na ich miejsce do przekaźników wskakują ludzie, o których istnieniu nie słyszelibyśmy w pełnym sezonie politycznym. A na ekranach telewizyjnych w charakterze wybitnych publicystów, a nawet ekspertów, po pięć razy dziennie plotą to samo żurnaliści wzięci z tzw. medialnej łapanki. Tacy redaktorzy korzystają ze swoich pięciu minut, nawet gdyby mieli przyjechać z Koziej Wólki na piątą rano, żeby zabrać głos na każdy temat. W nadziei, że zostaną docenieni i zapamiętani przez zapraszającą redakcję i wejdą na stałe do jej repertuaru. Taką nadzieję mają młodzi żurnaliści, starzy nie mają złudzeń, poza parciem na szkło.

Dzięki tej nieokiełznanej komunikacji w ostatnich latach sezon ogórkowy nie jest wcale taki nudny i gnuśny, jak bywał drzewiej. Politycy i wybitni publicyści wyjeżdżają na krótkie urlopy, bo tempo życia jest wręcz zawrotne, czas ucieka. A jeżeli się nie dzieje nic spektakularnego, to dzięki internetowi, w którym nic nie ginie, można wywlec na światło dzienne jakiegoś haka i rozpętać medialną awanturę. A media żyją awanturami i sensacjami z życia słowiańskich celebrytów, ludzi uważających się za elity. Czy w lutym albo w marcu zrobiłoby wrażenie na internautach kolejne już w ostatnich dniach wystąpienie prof. Staniszkis, w którym grozi prezydentowi Dudzie Trybunałem Stanu? Albo uwaga wulkanu intelektu polskiego feminizmu Manueli Gretkowskiej: „Nie sądzę, by Polacy mieli duży mózg w tych słowiańskich czaszkach", a PiS zmniejszy go jej i innym Polakom, bo nie ma demokracji. Pani Gretkowska jest Słowianką, urodziła się w mieście Łodzi, więc nie sądzę, by miała duży mózg, ona ma ten mózg mniejszy niż większość Polaków, bo dodatkowo należy do plemienia rozumnych inaczej.

Multikulti przewróciło się w Starej Europie. I leży, bez nadziei, że się podniesie. Policja niemiecka poszukuje 126 tys. nielegalnych imigrantów, a w sumie 300 tys., doliczając tych, którzy podali fałszywe dane i fałszywe adresy

Ona o mózgach Polaków, a ja o mózgach lewacko-liberalnych Europejczyków, którym ten organ służący do myślenia i wyciągania wniosków kurczy się coraz bardziej, by na koniec wydalić z siebie ostatnią klepkę. I jak w tej piosence Elektrycznych Gitar zaśpiewać z rezygnacją: „Przewróciło się, niech leży". Nasza wspólnota leży i kwiczy, i nie rozumie, co się takiego stało, że się rozsypało. I już nie jest tak, jak było. I nie będzie. Przewodniczący Komisji Europejskiej Jean-Claude Juncker spotkał się w Białym Domu z prezydentem Trumpem i zawarł porozumienie, w którego myśl Unia zobowiązała się do zwiększenia importu amerykańskiego gazu skroplonego, czyli dywersyfikacji dostaw energii, a USA nie podniosą, na razie, taryf celnych na europejską stal i aluminium, ale ograniczą import europejskich samochodów. Kto zyskał, a kto stracił? Jedno jest pewne – to Waszyngton dyktuje warunki, a nie Bruksela.

Donald Trump właśnie rozbija tzw. jedność UE, bo przyjął w Białym Domu premiera nowego rządu włoskiego Giuseppe Contego. Trump oświadczył, że Conte jest jego przyjacielem, bo podobają mu się poczynania nowego premiera Włoch w dziedzinie imigracji, nielegalnej imigracji i nawet tej legalnej. Włosi nie wpuszczają łodzi z imigrantami do swoich portów. Natomiast Hiszpanie wręcz przeciwnie. Zapraszają ich entuzjastycznie od czasu, gdy rządy przejęli socjaliści. I teraz proszą UE o nadzwyczajną pomoc, bo codziennie dopływa do ich brzegów kilkuset Afrykanów, a przybyło ich od początku roku 20 tys.

Multikulti przewróciło się w starej Europie. I leży, bez nadziei, że się podniesie. Policja niemiecka poszukuje 126 tys. nielegalnych imigrantów, a w sumie 300 tys., doliczając tych, którzy podali fałszywe dane i fałszywe adresy. A we Francji ochroniarze prezydenta biją demonstrantów. Gdyby nie internet, nigdy byśmy się o tym nie dowiedzieli. Bił Marokańczyk, Alexandr Benalla, a media sugerują, że ten Benalla jest kochankiem prezydenta Francji. Prezydent zaprzecza. Establishment zrozpaczony słabnącym autorytetem Merkel typuje Macrona na nowego przywódcę UE. Z tą charyzmą maminsynka? Docenił ją Donald Trump, poklepując protekcjonalnie Macrona po plecach.

Krystyna Grzybowska

eprasa.pl a957fc2aa1

WOJCIECH RESZCZYŃSKI

Daty Niepodległej

Tą szczególną datą, w pełni oddającą początek całkowicie wolnego Wojska Polskiego, jest 12 listopada 1918 r.

Gdyby nie specjalna ustawa sejmowa z 23 kwietnia 1937 r. ustanawiająca dzień 11 listopada oficjalnym świętem odzyskania niepodległości, pewnie byśmy do dziś toczyli spory o tę właściwą datę. Przyjęto wtedy, że dzień przekazania przez Radę Regencyjną władzy i dowództwa nad Wojskiem Polskim Józefowi Piłsudskiemu jest tym najwłaściwszym dniem, choć – jak wiadomo – Piłsudski przybył do Warszawy z Magdeburga dzień wcześniej. Święto obchodzono jedynie przez dwa lata, w 1937 i 1938 r. Nie zdążyło się ono zadomowić, ale istniał za to kult Komendanta – Marszałka.

Po wojnie komuniści zlikwidowali to święto i ustanowili swoje – w dniu 22 lipca na cześć Manifestu PKWN napisanego własnoręcznie przez Stalina. W szkole zaś uczono nas, że tą właściwą datą odzyskania przez Polskę niepodległości był 15 października 1917 r., kiedy ogłoszono Dekret Lenina proklamujący „równość i suwerenność wszystkich narodów i prawo do samostanowienia". Ten jeden z pierwszych po rewolucji październikowej dokumentów był reakcją bolszewików na niemiecko-austriacki akt z 5 listopada 1916 r. oraz powołanie do życia rok później „pierwszego rządu Polski" z Radą Regencyjną. Zaborcy sprytnie licytowali się o poparcie Polaków dla swoich wojennych planów. Ale – jak stwierdził wówczas komendant Piłsudski w liście do płk. Edwarda Rydza-Śmigłego: „Po raz pierwszy w tej wojnie światowej w miastach naszych publicznie z ust przedstawicieli wielkich armij – narodów padają poza Polską słowa – Niepodległość Polski, Rząd Polski, Wojsko Polskie". I dodał: „Sądzę, że teraz musicie wykazać uzasadnioną cierpliwość i ufność, że żołnierz polski w tej wojnie światowej znajdzie wreszcie Ojczyznę w postaci własnego Rządu i własnego Wojska".

Zapewne nie byłoby tego „aktu" ze strony austriackiego zaborcy, gdyby nie fakty dokonane, które tworzył Józef Piłsudski. Za zalążek Wojska Polskiego, a tym samym wolnej Polski, można by uznać powstanie Pierwszej Kompanii Kadrowej złożonej ze związków strzeleckich. 3 sierpnia 1914 r. w Krakowie Józef Piłsudski mówił: „Odtąd nie ma Strzelców ani Drużyniaków. Wszyscy, co tu jesteście zebrani, jesteście żołnierzami polskimi. [...] Jedynym waszym znakiem jest odtąd Orzeł Biały". Takim samym dniem wskrzeszenia WP jest też 6 sierpnia 1914 r., kiedy Pierwsza Kompania Kadrowa, ruszając z krakowskich Oleandrów, przekroczyła granicę Królestwa Polskiego, łamiąc rosyjskie słupy graniczne. Licząc na wywołanie zbrojnego powstania, Piłsudski posłużył się nawet mistyfikacją, ogłaszając się 12 sierpnia 1914 r. w Krakowie komendantem głównym Wojska Polskiego w imieniu nieistniejącego wówczas Naczelnego Rządu Narodowego. Niewiele skłamał, gdyż już 16 sierpnia 1914 r. Naczelny Komitet Narodowy powołał do życia Legiony Polskie, a Pierwsza Kompania Kadrowa weszła w ich skład jako I Brygada, której komendantem został Józef Piłsudski, a szefem sztabu generalnego Kazimierz Sosnkowski. Informując o tym żołnierzy zgromadzonych w Kielcach, Komendant dopieszczał ich: „Żołnierze! Koniecznym było, by najśmielsi i najenergiczniejsi wzięli na swoje barki odpowiedzialność, inicjatywę rzucenia iskry na proch. Tę iskrę rzuciliście, dając przykład innym, jako przodownicy walki Narodu polskiego o niepodległość Ojczyzny".

W walkach toczonych przez I Brygadę (późniejszy 7. Pułk Piechoty Brygady Piłsudskiego) na Podkarpaciu, nad Nidą, w Lubelskiem, tylko od maja 1915 r. do września 1916 r. na ogólną liczbę 2 576 legionistów zginęło ich 742. Zbierający pieczołowicie te dane lekarz pułkowy Sławoj Felicjan Składkowski zauważył w swoim pamiętniku: „Dzisiaj każdy musi przyznać, że dobrze musiał się bić pułk, w którym straty bojowe wynoszą 30 proc. stanu, i to nie w jednej bitwie, ale w ciągu 15 miesięcy".

W kwietniu 1917 r. Legiony Polskie wcielono do Polskiej Siły Zbrojnej, a w lipcu je rozwiązano. Legioniści, którzy odmówili przysięgi na wierność cesarzowi Austrii, zostali internowani. I to może być jeszcze jeden początek datowania polskiej siły zbrojnej, Wojska Polskiego, które najpierw walcząc o wolną Polskę z Rosją, kończy swoje „usługi" na rzecz Niemców i Austriaków. Z pewnością jednak tą szczególną datą, w pełni oddającą początek całkowicie wolnego Wojska Polskiego, jest 12 listopada 1918 r., dzień pierwszego rozkazu Józefa Piłsudskiego do Wojska Polskiego: „Z Wami razem ślubuję życie i krew swoją poświęcić na rzecz dobra Ojczyzny i szczęścia Jej Obywateli. Chciałbym [...] powiedzieć sumiennie o sobie i o Was, że byliśmy nie tylko pierwszymi, ale i dobrymi żołnierzami zmartwychwstałej Polski". Z tego pokolenia wyrośli przyszli bohaterzy powstania warszawskiego.

eprasa.pl a957fc2aa1

LOKAL DLA AWANTURNYCH

Choroba

Pierwsze objawy są zwykle lekceważone i mijają niezauważone. Ot, jakaś drobna wysypka lepszego samopoczucia, większej pewności siebie zyskanej dzięki dobremu ulokowaniu się w partyjnym towarzystwie. Kilka miesięcy później pojawiają się jednak pierwsze objawy gorączkowania. Już czuje się na swoim miejscu, zaczyna mieć poczucie pewnej przewagi, ba, może nawet wyższości nad innymi, gdy siada w swoim prezesowskim fotelu.

Skrzętnie to wszystko ukrywa, jeszcze chodzi na stołówkę, aby widzieli go pracownicy, ale już w duchu cieszy się na wieczór, gdy umówił się w drogiej restauracji z ludźmi ze swojej klasy. Jeszcze pamięta, że niedawno zarabiał nieco ponad 3 tys. zł miesięcznie i trudno było pospłacać obowiązkowe rachunki, ale to wspomnienie coraz mocniej blaknie przy nowych barwach, które otwiera mu pensja prezesa. Następne objawy choroby są już coraz bardziej uciążliwe dla otoczenia i coraz mniej zauważalne dla samego chorego. Powoli zaczyna się unosić ponad chodnikiem, gdy idzie. Systematycznie napełnia go też przekonanie o własnej niepowtarzalności i genialności. Zaczyna dobierać sobie nowych znajomych. Przecież nie wypada, aby ludzie pamiętali, że kiedyś był ot takim sobie zwykłym człowieczkiem. Poszukuje herbowych korzeni, zmienia hobby: kiedyś biegał po boisku za piłką, teraz jednak potajemnie zatrudnił instruktora, aby szybko pojąć arkana golfa. Coraz częściej – w swojej sferze – słyszy, że mężczyźnie nie przystoi również stara, sfatygowana żona i najlepiej czym prędzej wymienić ją na jakiś „nowy model". Nosi się z zamiarem opublikowania swojej książki, w której zawarłby złote myśli, które tak wzbudzają taki entuzjazm wśród podwładnych.

Witold Gadowski

Całemu procesowi towarzyszy coraz mocniejsze przekonanie, że nasz delikwent jest absolutnie zdrowy, dobra zmiana jest przecież najlepszym lekarstwem na choroby, które trapiły ludzi poprzednich ekip rządowych.

Nagle przychodzi jednak dzień, gdy dotychczasowy asystent okazuje się bardziej sprytny, niż wyglądał, i „decyzją rady nadzorczej..." prezes zostaje odwołany. Informacja zastaje go w trakcie sutej kolacyjki w dobrym towarzystwie, więc początkowo łapie powietrze jak wyjęty z wody karp, a potem zaczyna się krztusić tak, że ktoś wali go po plecach.

Usłużny asystent zjawia się niezwłocznie, aby... przejąć złotą kartę, laptopa i kierowcę.

Na chodniku stoi „były". Gorączkowo przebierając we wspomnieniach, szuka odpowiedzi na pytanie: jak to się mogło stać?!

Służba nie drużba

Służby mundurowe. Jedne działają incognito, poza błyskami fleszy i obiektywami kamer. Sporadycznie – przy okazji spektakularnego wydarzenia (np. wydalania dyplomatów za szpiegostwo) – dowiadujemy się o istnieniu wywiadu czy kontrwywiadu. Podobnie ma się sprawa z inwigilacją środowisk przestępczych – im ciszej, tym lepiej dla pracujących tam funkcjonariuszy. Co jakiś czas panowie w kominiarkach modulowanymi głosami informują nas o przejęciu transportu narkotyków lub o wykryciu afery korupcyjnej. Znacznie więcej mówi się w mediach o wojsku (na którym znają się dziś wszyscy) – a to przy okazji manewrów NATO, zakupu nowego uzbrojenia dla polskiej armii czy zaprzysiężeniu kolejnej brygady Wojsk Obrony Terytorialnej.

Ale są też służby, które wręcz nie schodzą z przekazów medialnych. Należą do nich policjanci, ochoczo filmowani przez „totalną" stronę politycznego sporu, szalejącą na ulicznych demonstracjach i wiecach. To również nasi dzielni strażacy – z racji sezonowego wzrostu zagrożeń (powodzie, pożary, wypadki samochodowe, utonięcia) itp. – obecni non stop w programach informacyjnych; ostatnio hołubieni również w Szwecji. W czasach pokoju to nieliczne formacje mundurowe ryzykujące własne życie dla ratowania naszego mienia, zdrowia i życia. Dlatego martwi mnie i wkurza poziom agresji „pokojowych" manifestacji tzw. Obywateli RP, traktujących szeregowych policjantów jako chłopców do bicia. To rodzi frustrację wśród funkcjonariuszy i zniechęca nowych kandydatów do podejmowania służby. Jeszcze bardziej drastycznie ma się sprawa ze strażakami, cieszącymi się dotąd największym zaufaniem społecznym. Informacje o celowych podpaleniach pewnych obszarów (nielegalne wysypiska śmieci, tereny przydatne dla deweloperów) są porażające! Pożary – jako środek destabilizacji państw – mogą być również wykorzystywane w wojnach hybrydowych wojującego islamu czy „zielonych ludzików". Czy UE ma już tego świadomość?

Lech Makowiecki

eprasa.pl a957fc2aa1

BĄDŹ SOBĄ – PRZECZYTAJ

Nagrody, tylko nagrody!

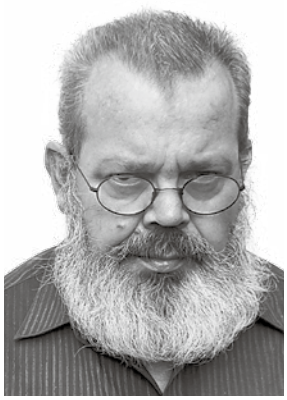

Aleksander Nalaskowski

Po hucpie pod Pałacem Prezydenckim totalne portale na bogato zamieszczały fotografie „rannych" uczestników zajść. Uważnie przeglądnąłem te foty i nijak ran dostrzec nie mogłem. Z jednym wyjątkiem, rany na twarzy policjanta. Ale tego akurat totalni nie pokazywali. Pozostali „poturbowani" mieli przyłożone do twarzy chusteczki, jakieś inne szmatki, tylko jakoś krwi ani ran widać nie było. Jeśli zechcę, to przyłożę sobie do ucha, do oka albo Bóg wie gdzie jeszcze smarkałkę i podpiszę, że to kombatanckie rany spod Sądu Najwyższego albo nawet z batalii o wolne media. I oczywiście zrobię serię zdjęć. Wszystko to razem pachniało, a właściwie cuchnęło kretyńską zupełnie inscenizacją Diduszki. On to bowiem jest bodaj „ojcem założycielem" tej polskiej odmiany polityki oszustwa i inscenizowanych krzywd. W jego ślady szli puczyści sejmowi, którzy „cierpieli", rotacyjnie okupując Sejm i „głodując" przy pasztetowym kateringu w Wigilię, Scheuring-Wielgus łkająca „nie płacz, Adrianku", drewniany Petru popychający wózek inwalidzki i szukający wzrokiem kamer (czy aby dobrze wygląda), Budka deklarujący pomoc prawną sprawcy kolizji z limuzyną rządową w Oświęcimiu czy niedopałek w toi-toiu, który w relacjach posła Brejzy urósł do rangi brygady pancernej atakującej jego dom. Myślę, że te wcześniej wspomniane „rany" są mocno rzekome, a wręcz ich nie ma, bo przecież byśmy już dawno mieli fotokopie rozmaitych obdukcji i zdjęcia krwi. Jakoś ich nie było widać. Takie rany, jakie bohaterstwo. Jakkolwiek nie wątpię, że jest taka grupa idiotów, którzy w diduszkowanie uwierzyli. Każdy idiotyzm ma swoich wyznawców. Tak więc wierzą oni w łamanie konstytucji, polski neonazizm i polski Holokaust. Wprawdzie najczęściej słów tych kompletnie nie rozumieją, ale chętnie je wykrzykują przy wtórze zagranicznego lewactwa.

Jestem ciekaw jednak, czy w policyjnych kamerach utrwalono kolesia, który napisał „wy...laj" na trotuarze pod Pałacem Prezydenckim. Przypomnę, że naruszył na kilka sposobów polskie prawo. Po pierwsze, użył w przestrzeni publicznej określenia uznawanego powszechnie za wulgarne, po drugie, dokonał aktu wandalizmu, po trzecie, obraził głowę państwa. Czy i jemu włos z głowy nie spadnie? Czy kara za ten wyczyn będzie ograniczeniem wolności słowa? Na wiadomości w tej sprawie czekam z niecierpliwością. Podobnie jak na informację, czy już zidentyfikowano owego krewkiego (pijanego? naćpanego?) młodego człowieka, który z wrzaskiem prowokował policjantów. Filmik z jego „odwagą" obiegł internet w tempie błyskawicy. Najwyraźniej chciał dostać w dziób i być Diduszką. Ale policjanci byli opanowani jak głazy. Kapelusze z głów! Gdyby to było ZOMO, to młodzian już leżałby cały w gipsie. Myślę, że gdy już dobrze wytrzeźwieje, to powinien dać na mszę za tych policjantów.

Wszystko to razem każe mi zadać pedagogiczne pytanie. Czy władza ma jakiś pomysł poza nagradzaniem? Czy sprawowanie rządów będzie już polegać tylko na prezentach w postaci 500+, „piątki Morawieckiego", hossy gospodarczej? Idea wychowania bezstresowego legła bowiem w gruzach już dawno. Niesfornych trzeba czasami zdyscyplinować, a niekiedy dać klapsa albo nie puścić na karuzelę. Od tego jest właśnie policja, prokurator, sędzia i służba więzienna. Czy ktokolwiek jeszcze pilnuje przestrzegania prawa? Czy już tylko dokuczliwa najczęściej drogówka z „suszareczkami"? Swego czasu zatrzymał mnie patrol za przekroczenie prędkości. Była pusta droga, po lewej kukurydza, po prawej kukurydza, żadnych zabudowań. Grzałem jak szalony 68 km/h. Nie zauważyłem, że władze gminy przesunęły znak „teren zabudowany". I już mandacik. Wściekły zapytałem funkcjonariusza, czy naprawdę nie ma nic lepszego do roboty, jak pilnować urodzajów. A on spokojnie, że za takie wykroczenie są widełki, że chciał dać mniej, ale... I natychmiast kwota poszybowała do maksymalnej. Trudno mieć pretensje, trzeba uważać na znaki, a nade wszystko nie podskakiwać. Życzyłbym sobie, aby tyle determinacji mieli dowodzący uspokajaniem rozwrzeszczanego motłochu w stolicy. Na co czekali? Aż ich oplują, obleją kwasem, obrzucą koktajlami Mołotowa? Wariatom też się nakłada kaftan bezpieczeństwa, gdy stają się agresywni. Chociaż to bez wątpienia narusza ich osobistą wolność. Czy to stróże porządku i prawa, czy jakieś zbiorowe wcielenie superniani?

Niesfornych trzeba czasami zdyscyplinować, a niekiedy dać klapsa albo nie puścić na karuzelę. Od tego jest właśnie policja, prokurator, sędzia

Granice zostały poważnie przesunięte. Już wolno nabluzgać prezydentowi RP pod jego domem, wolno lżyć nieżyjącego prezydenta, wolno nawoływać do bezczeszczenia pomnika smoleńskiego, wolno demonstrować zboczenia, wolno donosić za granicę. Kraj samych nagród. Chciałbym zatem zapytać – to czego w Polsce tak naprawdę nie wolno? Za co w takim razie się karze? Już tylko za przekroczenie prędkości?

eprasa.pl a957fc2aa1

PRZEZ ŚWIETLIK

Wyłówmy „Titanica”

Podczas kiedy my toczymy nasze karczemne, doczesne spory i kłótnie, są tacy, którzy się martwią za nas już nie tylko losami świata, lecz i wszechświata, a ich zmartwienie jest nader rozciągnięte w przestrzeni i czasie. W internetach przeczytałem, że znani naukowcy apelują, by zaprzestać planów terraformowania planety Mars. Miłośnicy filmów i seriali science fiction wiedzą, że chodzi o doprowadzenie do tego, by na Czerwonej Planecie zaistniała atmosfera zbliżona do ziemskiej, a w efekcie tego wiadomo – pantofelki, ryby, ptaki, ziemniaki, marihuana, powietrze. Wszystko, czego człowiek potrzebuje. Równocześnie najodważniejsi lub najbogatsi mogliby uciec przed teściową, cyklami koniunkturalnymi albo Michałem Szczerbą w telewizji. Pierwsze kroki zostały już poczynione i łazik, który za dwa lata zostanie wysłany na Marsa, ma badać możliwości produkcji tlenu na tej planecie. Brzmi nieźle, ale jak się okazuje, są wątpliwości.

Wiktor Świetlik

Choćby, jak czytam, taki prof. Bruce Jakosky, który jest kosmicznym wymiataczem, brał udział w opracowywaniu rozlicznych misji kosmicznych, w tym Vikinga 1, pierwszej sondy wysłanej w stronę Marsa, uważa, iż pomysł jest do luftu. Wtóruje mu wielu innych naukowców. Dlaczego? Czy coś grozi w związku z tym Ziemi? Nie. Czy się zepsuje, będzie za dużo kosztować albo będzie szkodliwe dla ludzkości? Też nie. Otóż, uwaga, uwaga, jest to nieetyczne, bo zaburzy obecną naturalną równowagę panującą na Marsie. Te wszystkie skały, wąwozy i pustynie, po których z mrówczą prędkością poruszają się kolejne łaziki, ucierpią, gdyż zakłócony zostanie ich spokój.

Nie znam się na Marsie, ale skoro jest argument etyczny, to chyba musi być oparty na jakimś kodeksie. Któż nadał ten kodeks, opracował, na czym opiera się ów zakaz majstrowania przy marsjańskiej atmosferze? Kto to taki tak zabrania, że nie wolno? Bardzo mnie to intryguje, powiem szczerze.

Bo np. żaden ze znanych kaznodziejów zjawiska nie potępia. Papież, Dalajlama, cerkiewni podwładni Putina, pastorzy i rabini milczą w tej sprawie. Nawet, może przez zaniedbanie, żaden z imamów nie ogłosił świętej wojny przeciwko giaurom chcącym kolonizować Marsa. Więc to nie to. Co więcej, naukowcy od kosmosu z reguły deklarują daleko idący ateizm. Pytam więc jeszcze raz, kto zabrania dłubać przy Marsie? Duch dziejów, Zaratustra, gwiaździsta flaga, Karol Marks, Einstein? Skoro pod maseczką humanitaryzmu można na Zachodzie przeprowadzać czystą eugenikę, zabijając chore nienarodzone dzieci, to dlaczego nie można trochę pomęczyć latającej pustyni, na której istnienie życia graniczy z niemożliwością?

Dziwnymi meandrami krąży etyka dzisiejszego świata. Jacek Kaczmarski kpił z postmodernizmu, śpiewając: „Wszystko wolno, hulaj dusza, do niczego się nie zmuszaj, niczym się nie przejmuj za nic, nie wyznaczaj sobie granic i nie próbuj nic zrozumieć, nie pochodzi mieć od umieć”. Mamy więc jakieś nowe kosmiczne kodeksy etyczne, nie wiadomo, skąd wzięte, nad którymi zapewne już wkrótce wszyscy będą się pochylali z niezbędną powagą. Dobre w tym wszystkim jest tylko to, że być może już za kilkadziesiąt lat paru najbardziej nawiedzonych ekologów wyruszy bronić Marsa przed kolonizacją, a my z należytą troską o środowisko będziemy mogli wreszcie pociągnąć autostradę do krajów bałtyckich.

Autor jest dyrektorem Programu 3 Polskiego Radia

REKLAMA

RADIO Warszawa 106,2 FM

106,2

www.radiowarszawa.com.pl

1/0718/F

eprasa.pl a957fc2aa1

Cały Stasio (Gawłowski)

Jerzy Jachowicz

Szanowny Sekretarzu Generalny, Drogi Stasiu,

nigdy nie zapomnę, jak stanąłeś odważnie w mojej obronie, kiedy startowałem na radnego. Prawicowi bojówkarze, chyba faszyści, przyszli sprowokować awanturę. Zaczęli krzyczeć: „Skąd masz pieniądze na częste wizyty w agencji towarzyskiej?!". Wtedy ty wstałeś i oznajmiłeś spokojnie, że to zakład „masażu leczniczego metodą Dalekiego Wschodu". Dodałeś, że wiesz dobrze, bo to ty wynajmujesz mieszkanie na tę klinikę. Faszyści niczym zbite psy opuścili spotkanie.

Z osłupieniem przyjąłem wiadomość, że decyzją prokuratury znalazłeś się w areszcie, podejrzewany o korupcję. Widać prokuratura zwariowała, skoro postawiła ci tak bzdurne zarzuty. Nie wierzę, że ci, którzy o tym decydowali, zdawali sobie sprawę, kogo oskarżają. Człowieka gołębiego serca, który każdemu jest gotowy przychylić nieba. Dać mu raczej coś własnego. Pomóc, a nie żerować na innych. Czy też uszczuplać w naganny sposób ich w wyniku ciężkiej i uczciwej pracy zasobne finansowe konta. Wstrętne to doprawdy insynuacje. A może w grę wchodzi polityka? A Ty padłeś jej ofiarą?

Oj, Stasiu, Stasiu. Zawsze ci mówiłem: „Ostrożnie. To nie jest pewne środowisko. Poprzestań na wiceministrze. Najlepiej weź się wycofaj albo przynajmniej przyhamuj. Niech Ci wystarczą władze miasta. Po co Ci te splendory?". Przepraszam Cię, to pewnie niedobry czas na wyrzuty.

Piszę do Ciebie z dalekiej Zambii, która dla swego rozwoju potrzebuje wielkich inwestycji melioracyjnych. I tu także niestety wprowadzili przetargi. Wiesz najlepiej, co to znaczy. Czasami odczuwam brak twojego moralnego wsparcia. Mimo różnych przeszkód nie narzekam.

Cieszę się, że również Ty, po „wydobywczym" areszcie, nie poddałeś się. Dobrze, że opowiadasz, jak media reżimowe cynicznie podsycają do Ciebie nienawiść. Łotry skończone. Jak okrutna była prokuratura, odmawiając Ci rozmów z bliskimi, po to tylko, aby Cię złamać. Widzę, że nie udało im się, skoro mówisz otwarcie: „Dla winnych, którzy mnie dziś prześladują, nie będzie litości". Cały Stasio. Tak trzymaj.

CO MNIE BARDZO WKURZA

P.P.P.

Katarzyna Łaniewska

Te trzy litery niosą z sobą różne treści i różne znaczenia.

Dla mnie P.P.P. to Porozumienie ponad Podziałami – klub dyskusyjny, którego szefem i założycielem był Czesław Biecki, architekt. Także mój szef i szef wielu ludzi współpracujących z nim w stanie wojennym w wydawnictwie CDN. Jako uczestnicy pracy podziemnej byliśmy założycielami i najczęściej bywaliśmy w naszym klubie CDN. Mnie przypadł zaszczyt – czasami wątpliwy – bycia gospodynią techniczną. Udało mi się wynająć lokal, byłam odpowiedzialna za jego wyremontowanie i urządzenie pod okiem Sławka. Potem witałam gości, podawałam kawę, kupowałam kwiaty, czasem je wręczałam. Zbierałam też składki, które nie zawsze było mi łatwo wyegzekwować, zwłaszcza od tych, którzy – wydawałoby się – byli osobami zamożnymi.

W klubie spotykali się ludzie z różnych ugrupowań politycznych, różnych zainteresowań, ale wszyscy skupiali się wokół tego, co nazywamy Polską, ojczyzną. I choć dyskusje były gorące, to na poziomie.

Można tam było zobaczyć tych wszystkich, którzy potem przez wiele lat byli i są w polityce. Zostali przy niej, zmieniając – łagodnie mówiąc – swoje kierunki myślenia, odeszli w sławie lub niesławie. Bywał tam premier Olszewski, pan Sikorski po swojej przygodzie w Afganistanie, pan Romaszewski, pan sędzia Strzembosz. Zdarzał się i Janusz Lewandowski. Mnóstwo ludzi przewinęło się przez ten nasz klub Porozumienie ponad Podziałami. Nazwa była naprawdę adekwatna.

Inny skrót P.P.P. zaczął się ukazywać, kiedy Sławek został nominowany do Sejmu z partii Stu. P.P.P. pojawiło się na ulicach. Zastanawiałam się, co to oznacza, a to była Partia Przyjaciół Piwa. Oni też w ten sposób dostali się do Sejmu. Partię Reprezentował Janusz Rewiński – znakomity satyryk. Myślę, że w tamtym Sejmie było bardziej wesoło i kulturalnie niż teraz.

Ostatnio P.P.P. kojarzy mi się jako pigułka tych wszystkich obywateli szukających demokracji. Nazwałabym tych z różami, tych walących i kpiących oraz plujących na policjantów: Płatne Pachołki Piniądza.

Specjalnie piszę „piniądza", cytując byłego wicepremiera i ministra finansów zarządzającego piniędzmi, których na nic nie było. To ostatnie skojarzenie w niczym nie jest adekwatne do Porozumienia ponad Podziałami.

Autopromocja

eprasa.pl a957fc2aa1

2018.pl

100. rocznica odzyskania niepodległości

Tak Polska dochodziła do niepodległości...

Dawne czasy

I wojna światowa

Międzywojnie

II wojna światowa

Wiek XX

Współczesność

PARTNERZY: LOTOS PZU niepodległa POLSKA STULECIE ODZYSKANIA NIEPODLEGŁOŚCI

PROJEKT REALIZOWANY W RAMACH OBCHODÓW STULECIA ODZYSKANIA NIEPODLEGŁOŚCI

eprasa.pl a957fc2aa1

TRENDY I OWĘDY

Za Rafała!!!

Spot wyborczy sprzed dziewięciu lat okazał się hitem aktualnej kampanii

Ryszard Makowski

Fajnie jest zrobić coś ponadczasowego. Wiadomo: dzisiejsze gazety wyścielą jutrzejsze kosze na śmieci. A w czasach mediów elektronicznych news sprzed godziny już nudzi i wypiera go następny. Tak że stworzenie czegoś, co po prawie dekadzie nadal robi piorunujące wrażenie, jest warte odnotowania. Jak widać, prawdziwa głupota zawsze się przebije i mocno oddziałuje.

Na filmiku wspierającym start Rafała Trzaskowskiego do europarlamentu, aktor Michał Żebrowski tuż przed rozstrzelaniem wykrzykuje: Za Rafała! Przed egzekucją wyjmują mu ostatniego papierosa z ust. Dramatyzm jest jak ta lala. Solidnie dopełnia kpinę z tych, co stanęli przed plutonem egzekucyjnym, szczególnie w okupowanej w czasie II wojny światowej, Polsce. Po tej wsypie aktor tłumaczył się, że tu chodzi o jego rolę Kordiana i że dałby się zabić za Rafała. Prawdziwy bohater. Aż łzy wzruszenia się cisną.

Coś, czego się nie da obronić, tzw. salon broni w swoim niezapomnianym stylu. Wyciągnąć reklamówkę sprzed dziewięciu lat? Niegodziwość! Starocie odgrzewać i się jeszcze tym jarać. Przecież jarać się trzeba tym, że 13 grudnia 1981 r. Jarosław Kaczyński zaspał na stan wojenny.

Takie spoty poniżające Polaków popłacały. Michał Żebrowski dostał teatr na VI piętrze PKiN, Rafał Trzaskowski dostał się do PE. Tak dobrze szło i zdechło. To całe towarzycho nie może się nadziwić, że przyszedł inny czas. „Takiego wała dla Rafała" i jego kamaryli.

eprasa.pl a957fc2aa1

Zawistowski prezentuje: Zawieszenie

Wycinki z przeszłości

Niezwykłą statystykę" podaje „Rocznik Gebethnera i Wolffa na rok 1915". Oto pewien zmarły we Francji staruszek od 18. roku życia zapisywał swoje wydatki, odnotowując nawet najdrobniejsze koszty, a po ponad pół wieku dokonał podsumowania. Oto one: „W ciągu lat 59 wypalił 628 713 cygar, z tych 43 602 rozdał między przyjaciół, co w sumie kosztowało go 50 895 franków. W tym samym okresie zużył 86 par spodni, płacąc za nie 2 314 franków; 75 surdutów i kamizelek za cenę 3 954 franków, 63 par butów kosztem 1 653 franków. Białej bielizny spodniej zużył 320 zestawów, kołnierzyków 353, za co zapłacił 1 329 franków. Wydatki na tramwaje i omnibusy wyniosły 2 324 franków. Według tych samych zapisków w 15 latach swego życia wypił 28 875 szklanek piwa, za które łącznie już z 40 303 kieliszkami wódki zapłacił 20 640 franków. Z sumy tej przypada kwota 6 234 franków na same napiwki".

Redakcja podsumowuje: „Z cyfr przytoczonych powyżej można nabrać przekonania, ile w ciągu lat i w ogólnej sumie wyniosą drobne na pozór wydatki codzienne, zwłaszcza te, które ponosimy dla uprzyjemnienia sobie życia".

A przecież – dodajmy – dzisiaj nasza konsumpcja to wielokrotności tamtych, sprzed ponad wieku, wydatków i liczb.

(mk)

Reklamy w prasie polskiej z roku 1915 r.

Te „Wiersze wojenne"

Leszek Długosz

Scenariusz" z wierszy Baczyńskiego jest dziełem autora muzyki, czyli Zygmunta Koniecznego. W sumie powstało arcydzieło. Na podobne określenie zasługuje wykonanie Ewy Demarczyk. Ta pieśń to jeden z najświetniejszych klejnotów z ówczesnej Piwnicy pod Baranami (premiera w Sopocie '65). Na powracający uporczywie motyw wojskowej orkiestry kompozytor nałożył dwie relacje – grozę wojny i równoległy, tragicznie uwikłany w ów czas intymny świat miłości. Potężne wrażenie robiło wykonanie tej piosenki. I to się nie zmienia. Wybrałem dziś fragmenty z tej „lirycznej strony".

Krzysztof Kamil Baczyński (1921–1944)

Niebo złote ci otworzę,
w którym ciszy biała nić
jak ogromny dźwięków orzech,
który pęknie, aby żyć
zielonymi listeczkami,
śpiewem jezior,
zmierzchu graniem,
aż ukaże jądro mleczne ptasi świst.

Jeno wyjmij mi z tych oczu
szkło bolesne – obraz dni,
które czaszki białe toczy
przez płonące łąki krwi.
Jeno odmień czas kaleki,
zakryj groby płaszczem rzeki,
zetrzyj z włosów pył bitewny,
tych lat gniewnych
czarny pył. [...]
Kto mi odda moje zapatrzenie
i ten cień, co za tobą odszedł?
Ach, te dni jak zwierzęta mrucząc,
jak rośliny są – coraz młodsze.
I niedługo już – tacy maleńcy,
na łupinie orzecha stojąc,
popłyniemy porom na opak
jak na przekór wodnym słojom.
I tak w wodę się chyląc na przemian popłyniemy nieostrożnie
w zapomnienie,
tylko płakać będą na ziemi
zostawione przez nas nasze cienie...

CENNIK PRENUMERAT*	OKRES PRENUMERATY		
	3 miesiące	6 miesięcy	12 miesięcy
SIECI	69 zł	129 zł	229 zł
wSIECI HISTORII	21 zł	39 zł	75 zł
pakiet SIECI i wSIECI HISTORII	84 zł	158 zł	280 zł

*dane do przelewu w stopce redakcyjnej

eprasa.pl a957fc2aa1

OD A DO ZYBERTOWICZÓW

Postęp się potyka

Europa dryfuje. Traci panowanie nad własnym losem. Za dużo postępu oznacza ryzyko utraty kontroli nad podstawowymi warunkami życia społecznego

Renomowany brytyjski tygodnik „The Economist" w lipcu 2018 r. zamieścił tekst zatytułowany: „Wojna domowa o suwerenność Europy rozdziera jej duszę".

Niepodpisany, zgodnie z obyczajem tego tygodnika, autor pisze: „Wykopano okopy, załadowano broń, narysowano linie frontu. Po jednej stronie stoją obrońcy europejskiego porządku liberalnego, walczący o postęp, otwartość i wartości zawarte w misji Unii Europejskiej. Naprzeciw nich stoją zwolennicy polityki bardziej przyziemnej, zakorzenionej w tradycji, przywiązanej do narodu i podejrzliwej w stosunku do zmian, zwłaszcza jeśli są przynoszone przeze kogoś z zewnątrz".

OKOPY

To ciekawa metafora. Tak, spór istnieje i można powiedzieć, że przedstawiciele stron odnaleźliby się w takich charakterystykach. Ale tekst koncentruje się na niedojrzałości niektórych krajów naszej części Europy do życia w warunkach ładu liberalnego. A może – wbrew oczekiwaniom elit oświeconego Zachodu – to dobrze... Dlaczego?

Po prostu obraz zachodniej Europy, w jakiej dobrze czują się zwolennicy demokracji liberalnej, jest jednostronny i nierealistyczny. Obok chwalebnej walki o postęp, o otwartość i tzw. wartości europejskie istnieją jeszcze rzeczywiste procesy polityczne, gospodarcze i kulturowe. Procesy, których faktyczne rezultaty powodują, że nie sposób nie przypomnieć porzekadła, że dobrymi intencjami wybrukowane jest... piekło.

Jakie owoce przyniósł krajom starej Unii pełnowymiarowy (jak mówi tekst) liberalizm, do którego my, Europejczycy wschodni, dopiero od niedawna cieszący się wolnością, jeszcze ponoć nie dorośliśmy?

LIBERALNY „PORZĄDEK"

We Francji mamy falę brutalnych, pełnych przemocy konfliktów społecznych. Wielka Brytania stała się przytuliskiem oligarchiczno-mafijnych pieniędzy z Rosji. Luksemburg kojarzy się z aferą Luxleaks – międzynarodowymi nadużyciami podatkowymi na wielką skalę. Niemcy, budujące z Rosją rurociąg Nord Stream, łamią zasady unijnej solidarności i otwarcie zlekceważyły dublińskie regulacje migracyjne. Malta i Słowacja słabo radzą sobie z korupcją na najwyższych szczeblach władzy państwowej. Włochy od wielu lat pozostają bezradne w obliczu mafii. W Brukseli lobbyści owijają sobie polityków i urzędników wokół palca. A łamiący ustalone procedury wybór Martina Selmayera na najwyższe stanowisko urzędnicze w aparacie UE przełykany jest bez większego wrażenia.

Mamy bezradność w obliczu kolejnych niekontrolowanych fal migracyjnych oraz ekspansji agresywnych form islamu. Obrońcom postępu jakoś nie przeszkadza głoszona przez wielu muzułmanów niższość kobiet i pogarda dla niewiernych. Tak jak nie przeraża drastycznie niska dzietność Europejczyków, rozpad rodziny i upadek autorytetów (z wyjątkiem autorytetu pieniądza).

To hiperindywidualizm dla wielu stał się prawdziwą wartością europejską. Przybierające na sile fale antysemityzmu w zachodniej Europie izolujące się od siebie grupy etniczne i zakazane dzielnice miast mają być nierzeczywistością. A poprawność polityczna – ograniczająca zdolność establishmentu UE do samorefleksji i rozpoznawania wiodących trendów współczesności – stała się wygodnym alibi.

WYPADKI PRZY PRACY POSTĘPU

To wszystko są wypadki przy pracy, potknięcia postępu, wymagające tylko kilku korekt czy raczej poważny błąd w założeniach projektu nowej, otwartej, postępowej przyszłości?

Europa dryfuje. Traci panowanie nad własnym losem. Za dużo postępu – często zmian dla zmian, różnorodności dla różnorodności – oznacza ryzyko utraty kontroli nad podstawowymi warunkami życia społecznego.

Wypieranie tradycji, w tym chrześcijańskiej, powoduje, że „postępowcy" nie są w stanie już dostrzec faktycznego oblicza rzeczywistości, jaka urosła im pod bokiem.

Wspólna Europa zapewne może wiele osiągnąć, ale przy większej pokorze dla naturalnych procesów przemian, przy szacunku dla ludzkiej potrzeby zakotwiczenia w rodzinie, wspólnocie, w narodzie.

Katarzyna i Andrzej Zybertowiczowie

Autopromocja | Autopromocja

eprasa.pl a957fc2aa1

Nowe wydanie w kioskach!

wSIECI HISTORII

W numerze:

- **MĘSTWO '44**
  Wstrząsający pamiętnik sanitariuszki z Powstania
- **SB NA TROPIE**
  Henryk Kasperczak w latach 70. na celowniku bezpieki
- **ISLAMSCY REKRUCI**
  Muzułmanie mieli wesprzeć Hitlera w podboju świata

DOŁĄCZ DO NAS NA FACEBOOKU.
WWW.FACEBOOK.COM/wSIECIHISTORII

TELEWIZJA

W POLSCE PL

Pilnujemy **Polski!**

OGLĄDAJ NAS CODZIENNIE

TERAZ JESTEŚMY TAKŻE W

upc

NA POZYCJI

339 dekoder Mediabox

121 dekodery KAON i Horizon

oraz w internecie:

www.wPolsce.pl

www.wPolityce.pl

eprasa.pl a957fc2aa1